

Ilu morderców żyje w normalnych rodzinach?
Thriller psychologiczny, którego **nie zapomnisz.**

**MAX
CZORNYJ**

I N N A

JESTEM PORYWACZEM, A MOŻE **MORDERCĄ.**
CO 48H TRACĘ ŚWIADOMOŚĆ
I NIE PAMIĘTAM NICZEGO.
W PIWNICY JEST DZIEWCZYNA.
TO CHYBA **MOJA** DZIEWCZYNA.

FILIA

MAX CZORNYJ

INNA

FILIA

Copyright © by Max Czornyj, 2019
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2019

Zdjęcie na okładce: © cristinairanzo/Getty Images

Redakcja: Agnieszka Zygmunt/Słowne Babki
Korekta: Lena Marciniak-Cąkała/Słowne Babki
Skład i łamanie: TYPO Marek Ugorowski

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-781-3

FILIA

Wydawnictwo Filia
ul. Kleberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
tel. 691962519

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl

Spis treści

[Karta tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Motto](#)

[OSIEDLE BALTIC RESORT, GDZIEŚ, DZIŚ, PRZED CHWILĄ](#)

[OSIEDLE BALTIC RESORT, GDZIEŚ, DZIŚ, PRZED CHWILĄ](#)

[OSIEDLE BALTIC RESORT, GDZIEŚ, DZIŚ, PRZED CHWILĄ](#)

[OSIEDLE BALTIC RESORT, GDZIEŚ, DZIŚ, PRZED CHWILĄ](#)

[CZAS START](#)

[GODZINA 8.](#)

[GABRIELA KRAUS](#)

[GODZINA 9.](#)

[GABRIELA KRAUS](#)

[GODZINA 10.](#)

[GABRIELA KRAUS](#)

[GODZINA 11.](#)

[GABRIELA KRAUS](#)

[GODZINA 12.](#)

[GABRIELA KRAUS](#)

[GODZINA 13.](#)

[GABRIELA KRAUS](#)

[DZIEŃ DRUGI](#)

[GODZINA 23.](#)

[GABRIELA KRAUS](#)

[GODZINA 24.](#)

[GABRIELA KRAUS](#)

GODZINA 25.
GABRIELA KRAUS
GODZINA 26.
GABRIELA KRAUS
GODZINA 27.
GABRIELA KRAUS
GODZINA 28.
GABRIELA KRAUS
GODZINA 28.
GABRIELA KRAUS
GODZINA 29.
GABRIELA KRAUS
GODZINA 30.
GABRIELA KRAUS
GODZINA 30.
GABRIELA KRAUS
GODZINA 31.
GABRIELA KRAUS
GODZINA 32.
GABRIELA KRAUS
GABRIELA KRAUS
GODZINA 33.
GABRIELA KRAUS
GODZINA 34.
GABRIELA KRAUS
GODZINA 35.
GABRIELA KRAUS
GODZINA 36.
GABRIELA KRAUS
GODZINA 37.

DZIEŃ TRZECI

GODZINA 41.
GABRIELA KRAUS
GODZINA 46.
GABRIELA KRAUS
GODZINA 47.

GABRIELA KRAUS

GODZINA 47.

GABRIELA KRAUS

GODZINA 48.

GABRIELA KRAUS

GODZINA 48.

GABRIELA KRAUS

POSŁOWIE

Aleksandrze, która tchnęła życie w ten tytuł

Jedyny sposób, żeby uwolnić się od pokusy, to jej ulec.

George Bernard Shaw

*A ci, którzy tańczyli, zostali uznani za szalonych
przez tych, którzy nie słyszeli muzyki.*

Fryderyk Nietzsche

Wyobraź sobie, że się budzisz i nie pamiętasz ostatnich lat własnego życia. Co przez ten czas robiłeś, gdzie pracujesz ani – z kim przestajesz. Skonsternowany, przytłoczony milionem pytań, włóczysz się po wielkiej rezydencji i trafiasz na przerażający widok. Na piękną nagą kobietę. Nie, to nie ona jest przerażająca, ale fakt, że została skrupowana, a w usta ma wciśnięty wymyślny knebel.

Teraz przychodzi czas na prawdziwe pytania.

Czy jesteś mordercą? Zwykłym porywaczem? A może to wszystko jest tylko seksualną zabawą?

Odważysz się zdjąć knebel, aby usłyszeć prawdę o sobie?

Czy raczej dasz się ponieść instynktom?

OSIEDLE BALTIC RESORT, GDZIEŚ, DZIŚ, PRZED CHWILĄ

Od dwóch dni leje. Jak to nad polskim morzem.

Przesuwam po biurku maszynę do pisania: najnowszy model laptopa, marki... no, mniejsza z tym. Patrę przez okno. Podobne do wszystkich okien na tym osiedlu, podzielone jednym szprosem pionowym i dwoma poziomymi. Przez sześć kawałków szyby gapię się na nasączony jak gąbka trawnik. Chyba niedawno go kosiłem, lecz już widzę niedoskonałości. Cholernie nierówne pasy. Zboczenia.

Miejsc, w których straciłem równowagę, nie da się ukryć. Nie da się również ukryć poprawek i drugich podejść. Koła kosiarki zawsze pozostawiają ślady. Wyrte w mózgu głębokie koleiny na trasie, którą się pokonało. Wzdłuż czy wszerz? Z tym zawsze mam problem.

Zerkam na leżącą obok książkę i od razu przypominają mi się słowa ciotki.

„Używaj zakładek. Jeśli będziesz zostawiał książki w ten sposób, porozklejają się, a potem na pewno rozpadną”.

Nieważne, dlaczego je pamiętam, ale prześladują mnie przez całe życie. Dobrze, ciociu.

Wyciągam z podajnika drukarki kartkę i od linijki odrywam jej równy kawałek. Kawałki muszą być równe. Wkładam jeden z nich do książki, sprawdzam, czy nie ma rozklejeń, i spokojnie odkładam ją na bok. Nie rozkleiła się. Jeszcze nie tym razem.

Za oknem bez przerwy ulewa. Deszcz bębni o rynny, o blaszany parapet i o solidną dachówkę. Sennie jest. Wakacyjnie i bardzo

sennie. W kominku trzaska drewno, aromatyczna lipa. Lubię aromat sosny, ale sosna zawsze obkleja palenisko żywicą. Lipa musi więc wystarczyć.

Właściwie obyłoby się bez palenia, aż tak zimno na dworze przecież nie jest, ale lubię odrywać się od pracy i patrzeć w ogień. To podobno pierwotne, atawistyczne uczucie. Prapradziadowie naszych pradziadów siadali w jaskiniach wokół ognisk, snując pradawne opowieści. Widać byli bardziej odporni na zaczadzenia niż dzisiejsza młodzież zamykająca się romantycznie w garażach.

Patrzenie w ogień to atawistyczne uczucie. Podobnie jak to, że opowiadaną historią mogę przesłać wprost do Twojej wyobraźni. To, co właśnie wystukuję na klawiaturze laptopa i co jest obrazem w moim umyśle, teraz staje się również Twoim wyobrażeniem. Jeszcze nie wiem, do kogo trafi ten dziennik. Jeszcze nie mam co do tego koncepcji ani zielonego pojęcia.

Ale wkrótce będę miał.

Za oknem jest ta sama pora co u Ciebie. Przecież nie ma znaczenia, czy określe ją środkiem nocy, czy dniem. Ja siedzę tu, a Ty tam.

Oprócz zapachu palonego drewna lubię również aromat kawy. Nie znoszę za to jej smaku. Lubię stawiać przed sobą na biurku filiżankę z espresso, lubię się nią inhalować, ale na samą myśl o przełknięciu napoju robi mi się niedobrze. Kawa smakuje zaszczanym węglem. Dla jasności, nigdy nie jadłem zaszczanego węgla, lecz jestem przekonany, że ma identyczny posmak.

Dość o tym, bo zaraz zwrócę obrzydliwą, tłustą jajecznicę na boczku, której nie lubię tylko wtedy, gdy się nią przejem. A mam wrażenie, że ile razy najdzie mnie na nią ochota, dorzucam jeszcze dwa jajka. A potem kolejne dwa. W końcu łapczywie pochłaniam całą misę doskonale wymieszanej jajecznej papki. Nie lubię też, gdy żółtka są oddzielone od białek.

Ogień powoli dogasa, ostatnie polana z trzaskiem pękają i rozpadają się na żarowy miał. Trudno. Trzeba zejść do piwnicy. Trzeba zejść na dół.

Wstaję, choć wstawać teraz wcale nie mam ochoty. Wolałem ciszę, stukot deszczu i trzask drewna. Zostawiam to tylko na chwilę.

„Od każdej miłości trzeba odpocząć” – powiedział ktoś całkiem filozoficznie.

Chyba miał rację.

Z laptopa muszę się przenieść na telefon. Muszę dalej pisać, żeby w chwili, kiedy zapomnę, móc wrócić do swojego początku. Prawdę mówiąc, nie mam bladego pojęcia, dlaczego to robię.

[→ notatka przeniesiona na telefon komórkowy]

[→ notatka kontynuowana na telefonie]

Właściwie to dobrze, że nie ciągam się z tym całym sprzętem. Komórkę wymyślił ktoś mądry, ale udoskonalił – ktoś naprawdę wybitny. Mogę wciąż pisać, robić notatki, a przy tym oświetlać sobie drogę latarką.

Podważam rant płytki i delikatnie ją odsuwam. Tak by nie została żadna rysa. Żaden widoczny ślad.

To bardzo ważne.

Jeszcze ważniejsze od tego, żeby przy koszeniu starać się unikać jakichkolwiek poprawek, o czym ciągle zapominam. Muszę gdzieś umieścić karteczkę samoprzylepną.

Odciągam ukryty właz do schronu przygotowanego na wypadek, gdyby nad Bałtykiem pojawiły się huragany podobne do tych pustoszących amerykańskie wybrzeża. Opowiadał mi o tym poprzedni właściciel, ale to także pamiętam jak przez mgłę. Jak przez okno, w którym jest więcej szprosów niż szkła.

Schodzę na dół ostrożnie, zapisując to zdanie dokładnie w pół drogi. Stopni jest siedem, więc stoję na czwartym, licząc zarówno od góry, jak i od dołu.

Czas ruszać dalej.

W piwnicy śmierdzi wilgocią, rdzą i mokrym kamieniem. To przez tę cholerną ulewę. Woda nasącza trawnik, a potem wsiąka w chropawe mury fundamentów. Jeszcze kilka dni, a wilgotność wzrośnie na tyle, że do rozpalenia kominka będę potrzebował benzyny. Rozpalanie benzyną daje przykry aromat, który

utrzymuje się stanowczo zbyt długo.

Do tego, u licha, mamy wakacje! Sto metrów stąd, na plaży, zamiast kałuż powinny znajdować się bicepsy i piersi. Ale chrzanić to. Nie mój cyrk, nie moje małpy.

Oświetlam latarką pierwsze pomieszczenie. Znajduję się dokładnie pod kuchnią, o czym przypomina mi szereg przestarzałych zaworów. „Teraz tak się nie buduje, ale to porządna metoda” – powiedział mi agent nieruchomości, gdy kupowałem ten dom. Nie wiedział, że wcześniej właściciel zdradził mi, ile majstrował przy swoim schronie.

To są wspomnienia sprzed lat. Nie muszę ich spisywać, bo choć schowane za mgłą, przynajmniej istnieją.

Mijam metalową szafkę z narzędziami, ze sprzętem ogrodowym, szlauchem i szpargałami, których nigdy nie miałem czasu przejrzeć. Dotykam zimnej, lodowatej tafli stalowych drzwi. No tak, zapomniałem o kłódce.

Szukam klucza, bo gdzieś z tyłu głowy przewija się myśl, że noszę go zawsze przy sobie. W kieszeniach spodni? Nie. W małej kieszonce na piersi? Również nie.

Znajduję go przez przypadek. Jest tak mały, że w ogóle go nie czułem, a pewnie też dlatego nie schowałem go do kieszeni. W załamaniach materiału mógłby się po prostu zgubić. Dlatego przytroczyłem go sznurkiem do szlufki i przywiązałem do klamry paska.

Sprytna metoda, choć efekt nie rzuca się w oczy tak, jak bardzo bym chciał.

Wkładam klucz do dziurki, powoli przekręcam i z radością wyczuwam, że mechanizm ustępuje. Tam jest drewno. Tam jest materiał na moje domowe ognisko, przy którym będę mógł spisywać historie.

Popycham ciężkie drzwi i oświetlam małe, pomalowane na biało pomieszczenie. Dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że to nie farba pokrywa ściany. Zostały one starannie wyłożone grubą warstwą styropianu, z którego łączeń wypłynął czerwony klej. Przypomina

krew skapującą z czaszki po trepanacji.

Boże!

W kącie tej nory siedzi naga, skulona dziewczyna. Mruży oczy, zasłania je dłońmi, odwraca głowę, jej spojrzenie ucieka, ucieka... Ma zmierzwiłone lisie włosy, opuchnięty policzek i małe, naprawdę małe, niemal dziewczęce piersi. Nagle wszystko sobie przypominam.

Szczapy drewna trzymam w altance na podwórzu, a tutaj jest miejsce tylko dla niej. To jej prywatne królestwo.

– Cześć, Izabel, moja najdroższa – witam się z nią ze łzami w oczach, szczęśliwy, że na moment odzyskałem wspomnienia. – Tak bardzo cię kocham...

OSIEDLE BALTIC RESORT, GDZIEŚ, DZIŚ, PRZED CHWILĄ

Życie to gra dwustronna. Nie jak szachy, ale jak te kurtki, które można założyć puchem do środka lub na wierzch. Przynajmniej ja widzę je właśnie w ten sposób.

– Jak bardzo mnie kochasz, Izabel? – pytam niemal szeptem, żeby jej nie przestraszyć. Nie chcę, żeby się bała.

– Wypuść mnie! Proszę! Przecież nic ci nie zrobiłam...

Skomle. A ja nie lubię skomlenia. Jedną dłonią wystukuję tekst, a drugą nerwowo masuję się po udzie. Nie pamiętam, skąd się wzięła długa, chaotycznie zszyta rana. Choć przy Izabel pamiętam więcej niż wcześniej, to jednak i tak nie wszystko.

Szwy zaczynają swędzieć, a przecież nie swędziały. Szlag. Szlag. Szlag.

– Powiedz, że mnie kochasz.

– Kocham cię, kocham, tylko...

– Ciii... Żadnego tylko.

Przyzwyczała się już do światła na tyle, że bym mógł świecić prosto na nią. Nie krzywi się i nie mruży oczu. Wie, że machnięcia latarką są jak machnięcia batutą. Nie można ich przerywać.

– Wstań – proszę, a może też trochę jej każę. – Wstań, kochanie.

Najpierw niepewnie się odsuwa, dotyka pokrytego utwardzaczem styropianu i zastyga w bezruchu. Sprawdza mnie. Sprawdza, czy może mi zaufać.

– Nie bój się. Śmiało, wstawaj – zachęcam ją coraz bardziej niecierpliwie. Nie wiem, na jak długo starczy mi baterii telefonu. Czerwone dziewięć procent. To chyba dość mało. Gdybym pamiętał,

jak długo trzyma ten model. Ale znam go tak naprawdę dopiero od paru godzin.

Izabel podnosi się opieszale, rozciągając ścięgna i mięśnie.

– Chyba mówiłem, żebyś nie siedziała tak długo w jednym miejscu. Cała drętwiejesz.

Chyba mówiłem, bo nie do końca to pamiętam.

– Mówiłem? – dopytuję.

– Tak, tak – zapewnia, a ja, nie wiedzieć czemu, niezbyt jej wierzę.

Stoi naprzeciwko mnie, nieco dalej niż na długość ramienia, i jedną ręką zakrywa maleńkie piersi, a drugą – łono. Mierzy jakieś pięć i pół stopy, czyli po ludzku ma nieco ponad metr sześćdziesiąt wzrostu, kruchą budowę ciała i długie nogi. Pępek ma mocno wklęsnięty, żebra – odsłonięte, a brzuch – zapadnięty. Kiedy jadła? Kiedy ją karmiłem? Szlag by to trafił, ale nie jestem pewny.

W kącie, obok łańcucha, który prowadzi do jej nogi, leży metalowa psia miska. Jest pusta. Przenoszę na nią światło latarki, upewniam się, ale – bez dwóch zdań – w środku nie ma nawet śladu jedzenia. W drugiej, nieco mniejszej, widzę skrzącą się wodę. Świeżą?

– Nie ruszaj się – nakazuję.

Podchodzę do miski, nachylam się i wącham. Cuchnie. Ale to nie woda cuchnie, tylko kał, bo biedna Izabel właśnie popuściła. Czyli coś jadła. Oświetlam ją i przyglądam się, jak się kuli, ze strachu, ale chyba też nieco ze wstydu.

– Nic się nie stało, kochanie. – Szukam w kieszeniach chusteczek, ale znajduję tylko dwie monety. Zdążyłem o nich zapomnieć, odkąd przetrząsałem ubranie w poszukiwaniu klucza. – Nic się nie stało. Nie krępuj się, to przecież całkiem normalne. Miłość jest od zawsze odporna na obrzydzenie, na chorobę, ból i problemy. Nie możemy się siebie wstydzić. Na starość być może będziemy musieli sobie podcierać pośladki, wkładać czopki, a może nawet – wyciskać krosty. Choć chyba nie. Krosty, zdaje się, to problem dzieciństwa?

Izabel nie wygląda na rozbawioną tym prostackim dowcipem. Jeszcze się przyzwyczai. Raczej nie będzie miała innego wyjścia,

choć zdaję sobie sprawę, że słuchanie w kółko tych samych żartów może być męczące.

– Na starość może będziemy musieli... – Rozbawiony, chciałem powtórzyć to, o czym mówiłem przed chwilą, ale widzę, że Izabel drży.

Z jej oczu płyną łzy, a pod nosem zbierają się smarki.

– Zimno ci?

– T-tak.

– T-tak, t-tak – powtarzam, chcąc ją rozluźnić.

Telefonom komórkowym brakuje jeszcze tylko termometrów. Choć z pewnością są już i tak wyposażone modele, ale mój aparat, siłą rzeczy, był ze średniej półki. A średniacy najwidoczniej termometrów nie potrzebowali.

Rozpinam kołnierz koszuli, wyciągam głowę do góry i odsłaniam szyję. Szyja jest najbardziej wrażliwą częścią ludzkiego ciała. Wiem o tym, lecz nie mam pojęcia skąd. Coś mi podpowiada, że nie jest to jedynie wiedza książkowa, ale być może nigdy już tego nie ustalę. Szkoda. Naprawdę szkoda, jak wiele informacji ulatuje mi przez palce. Tfu. Przez palce. Jestem pewien, że prawie nikt nie zauważyłby tej różnicy.

Izabel nieudolnie stara się obetrzeć dłonią kał z nogi. Jednak jedynie go rozsmarowuje i smród się wzmacnia.

– Na Boga, nie mamy tu wentylacji – warczę. Nie chciałem, żeby to zabrzmiało niegrzecznie, lecz ze smrodem naprawdę może być problem. Jeśli wsiąknie w styropian, trzeba będzie zrywać całą warstwę. Na szczęście preparat usztywniający nieco temu zapobiega.

Nie pamiętam, po co rozpiąłem kołnierzyk koszuli. Nie pamiętam, czy zanotowałem, dlaczego to robię.

Muszę cofnąć się parę zdań...

Uf.

Dobrze jest notować wszystko, dokładnie, krok po kroku. To pozwala uporządkować sobie życie i nabrać do niego zdrowego dystansu. Naprawdę gorąco polecam.

Nie jest tak zimno, jak się mogło zdawać, skoro tak cholernie pada i wieje. Mamy w końcu sierpień. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Piwnica została dobrze odizolowana przez warstwę betonu, która ma chronić ją w trakcie ataku El Chapo, „Schleswiga-Holsteina” albo innego tajfunu. O tym też opowiadał mi poprzedni właściciel. Dziwne, że tyle pamiętam.

Na szyi nie czuję zimna, a to znaczy, że nie potrzeba dodatkowego grzania.

– Mógłbym ci przynieść kożę – mruczę trochę do Izabel, a trochę do siebie. – Ale boję się, że mogłabyś narozrabiać. Nie potrafisz się nawet załatwić do nocnika.

Oświetlam ją raz po raz, jakby była tancerką w klubie ze striptizem. Jednak ona się nie porusza. To znaczy porusza się tylko nieznacznie, dygocąc i chlipiąc. Wiodę latarką po podłodze piwnicy. Byłem pewny, że dałem jej nocnik i, oczywiście, się pomyliłem. Musiałem zapomnieć. Oprócz rzadkiego gówna, które obkleja jej nogi, w kącie widzę plamy moczu. Czuję też jego kwaśny...

– Wypuść mnie. Błagam. Nikomu o niczym nie powiem!

Niech to szlag. Podchodzę do Izabel kilkoma sztywnymi krokami i chwytam ją za włosy. W ostatniej chwili powstrzymuję się przed szarpnięciem, i to tylko dlatego, że boję się, że telefon wypadnie mi z ręki.

– Nigdy mi nie przerywaj, kiedy coś zapisuję – dyszę ciężko. – Nigdy! Rozumiesz?

Staram się uspokoić. Pisanie dobrze robi na emocje. Szczególnie jeśli trzeba trafić w małe, maleńkie klawisze i pilnować, żeby słownik nie poroże stawa, o właśnie, nie przekręcał słów. Z moją pamięcią byłoby to samobójstwo.

Izabel kuli się w samym rogu piwnicy. Łańcuch jest naprężony, ogniwa brzęczą. To piękny dźwięk, choć nie wiem, z czym mi się kojarzy.

– Nigdy, proszę, nie przerywaj mi, kiedy notuję – odzywam się całkowicie łagodnym tonem. – Kocham cię, bardzo cię kocham, ale

każda pieprzona miłość ma swoje granice. Nie chcę cię zabić,
kochanie. Naprawdę nie chcę.

Pięć procent.

Muszę spadać.

OSIEDLE BALTIC RESORT, GDZIEŚ, DZIŚ, PRZED CHWILĄ

Nie pamiętam prawie niczego.

Zegarek. Szybko szukam zegarka. Wiem, że muszę pisać. Zapisywać wszystko, choć nie jestem pewny, w jakim celu. To tak cholernie boli. Rozmasowuję udo, wyczuwam szew, piszę, bo laptop leży przede mną. Ostatni wpis, ostatnia linijka pochodzi sprzed prawie sześciu godzin.

[→ notatka przeniesiona na urządzenie mobilne]

Co jest, do cholery?!

Urządzenie mobilne. Na biurku, obok laptopa leży komórka – i muszę zapamiętać tę nazwę. Dwu-, może trzyletni blackberry, choć nie mam pojęcia, w jaki sposób mogę cokolwiek datować. Który mamy rok? Osiemnasty? A może już dwudziesty?

Albo jeszcze gorzej...

Dotykam klawiatury, przerażony, że przecież nie pamiętam żadnego PIN-u, ale niczego nie trzeba wpisywać. Ekran od razu się rozjaśnia i wyświetla się długa notatka.

Zaraz, chwila, muszę się wstrzymać, nim zacznę czytać. To jakieś szaleństwo. Obłąd.

Patrzę na kominek, w którym tylko na dnie paleniska hulają pojedyncze iskierki żaru. Musiałem go rozpalać dawno, co najmniej pół doby temu. Przez cały ten czas spałem? Chyba nie bardzo, bo nie czuję się przesadnie wyspany. Powieki lekko mi się kleją, a z tyłu głowy i na karku ktoś zamontował ciężarki.

Łupie mnie.

Rozglądam się po pokoju w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów,

jakichkolwiek wskazówek, co się dokładnie stało, ale doskonale wiem, że wszystko jest zapisane na telefonie. Tyle że ja nie chcę czytać. Boję się. Naprawdę bardzo się boję tego, co mogę tam znaleźć.

Pokój jest taki przytulny. Niewielki kominek, nad nim lustro w złoczonej ramie, po bokach dwa wielkie obrazy ze scenkami morskimi oraz z ubogim portem. To mi przypomina, że jestem w Baltic Resort lub Resort Baltica, będą się jeszcze musiał upewnić. Za podzielonymi na sześć części oknami leje deszcz. Monotonnie, jednostajnie i dosadnie. Ulewa wali w parapet, w rynny, w dach, który jest pewnie omszały i ceramiczny, w kolorze płomiennej czerwieni. Właśnie ten odcień przewija się w jakimś wspomnieniu, ale może dotyczyć czegoś całkiem innego. Auta? Ścian w sypialni?

Krwi?

Na biurku są laptop, telefon, opróżniona szklanka i blok kartek. Obok – książka założona papierkiem. Nieco dalej drukarka, a przy niej linijka. Wiem, że do czegoś całkiem niedawno była mi potrzebna, lecz... Nieważne. Przy krześle, na którym siedzę, leży podwójne opakowanie papieru toaletowego.

Niech to szlag.

Szedłem do kibla się wysrać i nagle wszystkiego zapomniałem? Nie, to raczej niemożliwe. Tym bardziej że nie siedzę na górze główna.

Musisz pisać.

Cholerny wewnętrzny głos, który molestuje mnie tym jednym rozkazem jak zepsuty gramofon. A jeśli nie będę pisał? Jeśli rzucę ten laptop w kąt i go zdepczę? Co się niby wtedy stanie?

Boję się. Tak bardzo się boję, że jeśli przestanę pisać, coś się wydarzy. Ale co? Nie przestanę, to z całą pewnością, będę pisał, pisał, pisał, choćbym nie wiedział, co i dlaczego. W pokoju są jeszcze piękny żyrandol i perski dywan w kolorze zgniłego mięsa, a oprócz tego na panoplium wisi interesująca kolekcja broni. Skrzyżowane szabla i pałasz oraz kilka pistoletów. To wszystko moje?

Chciałbym wstać, ale gdy wstanę, przestanę pisać. Chociaż... zaraz...

Przecież właśnie do tego musi mi służyć ta cholerna komórka. To mój przenośny respirator. Rozrusznik serca na wypadek, gdybym zapomniał. O czym? Oblewa mnie zimny, lodowaty pot. Spływa po karku i wzdłuż kręgosłupa, przeszywają mnie dreszcze. To chyba niepokój.

Kładę dłoń na blacie. Lewą, żeby prawą wciąż stukać. A teraz zamieniam je rolami. Nic. Żadnych śladów. Staram się dostrzec swoje odbicie w ekranie laptopa, ale kontrast jest zbyt mocny i widzę tylko niewyraźny zarys. Boże. Ile mam lat? Dłonie, odkąd je pamiętam, niby nic się nie zmieniły, włosy wciąż są ciemne, niepoprzetykane siwizną.

Muszę to zrobić.

Z obawą najeżdżam na ikonkę kalendarza w dole ekranu.

Dzisiaj. Teraz.

Wyświetlają mi się tylko te dwa słowa.

– Kurwa mać – nie powstrzymuję przekleństwa. – To jakiś obłęd.

Gładzę się po policzkach i wyczuwam jedynie delikatną szorstkość. To znak, że goliłem się nie wcześniej niż sześć godzin temu. Po dwunastu moja twarz przypomina papier ścierny. Po dwóch dobach muszę używać maszynki elektrycznej. Tyle wiem. Golenie...

Wydaje mi się, że niedawno kosiłem trawnik, i rzeczywiście wygląda na równy. Dość równy, ale nie całkiem. Za nim jest mur, kamienny, łączony grubą zaprawą. Nie widzę bramy. Furtki też nie. Główne wejście i podjazd muszą się znajdować z drugiej strony domu. Czy mam samochód? Czy tylko jeden?

O właśnie, czy tylko jeden, bo może mam żonę?

Obrączki brak, ale przecież są różne sytuacje. Są narzeczeństwa, związki partnerskie, relacje nieformalne – to wszystko wiem. W głębi duszy czuję, że kogoś kocham i że ten ktoś jest gdzieś blisko. Muszę się skupić. Zamyślić. Na chwilę odsunąć ten laptop.

Pamiętam.

Dzięki Bogu pamiętam jej imię.

Izabel.

To tobie wszystko zawdzięczam.

Tak bardzo cię kocham.

Gdzie jesteś?

No dobrze. Muszę sięgnąć po telefon. Od tego się nie ucieknie, a wiem też, że nie jestem tchórzem. Nie jestem. Tchórzem.

Automatycznie zerkam na wskaźnik baterii – dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Tuż obok rząd cyfr: 1.01.2001. To chyba automatyczna data. Razem z nią pulsuje wyświetlacz godziny. 00:00. Przewijam ekran szybkimi ruchami palca, przewijam długą, bardzo długą notatkę, a potem znów wracam do laptopa. Moje oczy zachodzą mgłą.

Boże, to jakieś piekło!

[Tę wiadomość, ten wpis, możesz wykasować albo ustawić jako codzienne przypomnienie – zdecyduj potem]

OSIEDLE BALTIC RESORT, GDZIEŚ, DZIŚ, PRZED CHWILĄ

Czeka cię dokładnie czterdzieści osiem godzin jasności. 48 h.
Zapamiętaj!

Ten klarowny komunikat napisałem umyślnie inną czcionką. Pulsuje na ekranie laptopa jak przestroga, ale i tak ostatnim razem musiałem go przegapić. Nie przeczytałem wszystkiego od początku i tak się skończyło. Nie poznałem jednego pełnego dnia. Zresztą może wtedy nie chciałem go poznać. Może zacząłem wszystko inaczej, bo świadomość spłynęła na mnie, gdy robiłem krok lewą nogą.

Teraz wiem znacznie więcej.

Chyba nie muszę się spieszyć.

Sprawdzam, czy telefon ma dostęp do internetu, ale to, oczywiście, jest wykluczone. W domu nie ma routera. Lepiej, żeby listonosz nie pojawiał się tu z rachunkami zbyt często. Płatności elektroniczne też nie byłyby specjalnie wskazane. Wskazane jest za to nie mieć konta bankowego ani karty kredytowej i nie zostawiać śladów. To zwykła profilaktyka.

Powinienem umieścić tę informację jako jeden z najważniejszych komunikatów. W moim przypadku to ważniejsze niż dekalog. Tak jak pisanie, jest nieco natręctwem, bo zdaje się, że wiem do czego zmierza. Ale pisanie przede wszystkim porządkuje. Pozwala okiełznać strumień myśli.

Biorę komórkę i wybieram pierwszy lepszy numer. Kołacze mi się w głowie, lecz oczywiście nie mam pojęcia, do kogo należy. Może do mojej matki? Może do sklepu mięsnego za rogiem.

[Brak środków na koncie].

Szlag by to.

Muszę ustalić wszystko, co wiem. To powinno posłużyć za wytyczne do kolejnych razów, gdyby mi się teraz nie udało. Tylko nie mam pojęcia, co ma mi się udać. Mam ogromny mętlik w głowie.

1. JESTEM MORDERCĄ? PORYWACZEM? To raczej na pewno.

2. Co 48 h tracę świadomość i nie pamiętam niczego.

3. W piwnicy jest dziewczyna o imieniu Izabel. To chyba MOJA dziewczyna.

4. Muszę ją karmić, dawać jej środki higieniczne i u niej sprzątać.

5. Muszę pisać o wszystkich swoich doznaniach, myślach i spostrzeżeniach. Dzięki temu podobno uporządkuję wspomnienia. Doktor Boston twierdzi, że tylko w ten sposób mogę je odzyskać. Kim jest doktor Boston?

6. Co 12 h na dom napływa zło. Ale czym jest zło?

W tych starych relacjach upchnąłem zbyt wiele poetyckości. Zbyt wiele pustych rozważań i zboczeń. Z tematu, oczywiście.

7. W domu są zapasy jedzenia i picia na wiele dni. Znajdują się w spiżarni, która znajduje się... Przyznaję się. Teraz nie mam pojęcia gdzie.

Staram się opanować i zebrać myśli. Ciągłe wracają do opisu Izabel i choć zdaje się, że jak cień przemyka mi gdzieś tuż za plecami, wiem o niej jeszcze mniej niż o sobie. Izabel, Izabel, Izabel... Na jej wspomnienie czuję się lepiej. Uspokaja mnie. Odpręża. To dzięki niej wiem, że ten dom to mój dom. Trzymam ją w piwnicy dla naszego wspólnego dobra, a ona to może nawet rozumie.

Okłamuję się.

8. Izabel nie ma pojęcia, dlaczego jest zamknięta w piwnicy. Ja chyba też nie, ale obawiam się, że gdybym puścił ją wolno, to stałoby się coś złego.

9. Muszę być u niej co najmniej raz na 48 h, żeby wpuścić świeże powietrze. Plus donieść jedzenie. I środki higieniczne.

Patrzę po drukarce, linijce, pliku kartek, ale wszystko to jakieś martwe, sztuczne i niemal nieużywane. Otacza mnie fikcja?

Przesuwam laptop na podkładce tak, żeby linie się zgadzały. Krawędź ekranu musi tworzyć kąt prosty z przedłużoną krawędzią drukarki. Do tego...

Książka. Jedynym żywym elementem jest książka, z której wystaje zakładka, znajdująca się prawie przy końcu, więc musiałem to czytać. Być może ma jakieś znaczenie, a może pomaga uporządkować wspomnienia. To również, w razie wątpliwości, powinienem dopisać do listy. Do dekalogu wciąż brakuje przecież jednego punktu.

Sięgam po książkę i przeglądam dłonią okładkę. Max Czornyj. O miłości.

Boli. Mózg chyba boleć nie może, a mnie strasznie ściska w głowie. Nieprawdopodobny, niewygodny ból.

Mrużąc oczy i kuląc się, otwieram książkę w założonym miejscu. Nagle jej cała treść wskakuje tam, gdzie powinna, i wiem, że czytanie przerwałem ledwie kilka godzin temu. Wiem nawet, w którym momencie.

Teraz jednak zdaję sobie sprawę, że skoro to wszystko wiem, to lektura może poczekać. Te wspomnienia, które miała uporządkować, już uporządkowała. Z całą resztą muszę sobie poradzić.

Jeszcze raz patrzę na okładkę i odkładam książkę tuż przy drukarce. Trumnę w trumnę wetknąłem, jakby napisał autor. Najwyższy czas wracać do tego, co już zaczęte. Czas wracać do prawdziwej miłości.

Do Izabel.

Ona na pewno udzieli mi odpowiedzi na część pytań.

Wcześniej muszę zrobić tylko jedno, choć raczej nie nastraja mnie to optymistycznie. Ustawiania telefonu, niestety, nie działają, podobnie jak ustawienia laptopa, na które założone jest hasło, a ja nie mam ani ochoty ani pomysłu na jego rozkodowywanie. Ale to nic. Hasło: HASŁO nie działa, 1234 też nie.

To nic.

Nic to.

Odłączam na chwilę laptop od ładowarki i podchodzę z nim do kominka. Na gzymsie stoi niewielki zegar z przeszklonym mechanizmem. Jego wskazówki, oczywiście, są zatrzymane na dwunastej, ale to też nieistotne. Ważne, że obok leży kluczyk. Jakby zostawiono go specjalnie dla mnie, bo wiem, że to nie ja go tu położyłem. Leży nierównolegle do niczego. Krzywo.

Otwieram drzwiczki i powoli nakręcam zegar. Tryby rzeżą, zgrzytają, ale po chwili czas rusza.

Kiedy się ocknąłem? Pół godziny temu? Trzy kwadranse?

Przesuwam wskazówki na za piętnaście pierwszą. Mniej więcej.

00:45.

Czas start.

CZAS START

GODZINA 8.

Laptop trzymam na drżących z nerwów kolanach. Tekst już zniknął, bo zacząłem go nadpisywać od początku. To opowiadanie? Początek powieści? Nie sądzę, żebym był pisarzem, a całkowity brak pamięci mógł tłumaczyć przedawkowaniem jakiegoś syfu. Coś jednak rzeczywiście każe mi ciągle pisać.

Muszę pisać.

Laptop na moich kolanach jest podłączony do prądu. Opis pomieszczenia się zgadza. Zegar na kominku wskazuje 8:08, za oknem jest jeszcze dzień, choć raczej już jego końcówka. Popołudnie lub wieczór.

Co mi się stało? Przedawkowałem jakieś chemiczne gówno, miałem wypadek czy po prostu mam nierówno pod sufitem? Nie rozumiem, o co chodzi z tą potrzebą pisania, ale oderwanie dłoni od klawiatury za każdym razem przyprawia mnie o mętlik w głowie. Jakbym odcinał się od przenośnego respiratora...

Raz po raz staram się odświeżyć szczegóły tekstu, który właśnie skończyłem czytać. To absurd. Nie wierzę, żebym mógł sam do siebie stworzyć tak kretyński list z jakiejś innej rzeczywistości. No a przede wszystkim, co to za bajka z Izabel? Nie kojarzę nikogo o takim imieniu. Nieważne, że nie kojarzę w tej chwili praktycznie nikogo, ale nie jestem przecież pieprzonym świrem. Nie jestem.

Prawda?

Ten cholerny przymus pisania da się jakoś wyjaśnić. Więzienie w piwnicy dziewczyny – już raczej nie. To musi być żart. To musi być idiotyczny żart kogoś z moich kumpli. Dlaczego teraz nie pamiętam imienia żadnego z nich? Piotrek, Paweł i Dawid. Ale to kumple z piaskownicy i chyba ze szkoły. Czy dalej się przyjaźnimy?

Poprawiam mankiety koszuli, bo są okropnie wywinięte. Oderwanie obu rąk od klawiatury sprawia mi fizyczny ból i staram się wszystko robić jak najszybciej.

Zerkam za okno. Wbrew temu, co czytałem, świeci słońce. Wali prosto w szyby, a jego wieczorny, czerwony blask rozlewa się po pomieszczeniu. Świetlne plamki pogrywają na ścianie z panoplium. To pierwsza rozbieżność, którą widzę, i pewnie jedna z wielu w tym steku bzdur.

Boże, niech wróci mi pamięć!

Jak przez mgłę pamiętam fragmenty tego, co się wydarzyło całkiem niedawno. Upływ czasu ocenia się za pomocą jakiegoś dzikiego instynktu. Szczątki rozmowy, rzucane przeze mnie groźby, ironiczny śmiech... Nie. To równie dobrze mogą być urywki snu albo filmu, który obejrzałem.

Komórka leży tuż obok. Przynajmniej pamiętam, żeby nie nazywać jej urządzeniem mobilnym, choć dwudziesty wiek chyba już dawno za nami. Pamiętam... Właściwie całkiem sporo. Jeżeli mamy dwa tysiące dziewiętnasty rok, wiem, kto jest premierem, prezydentem, wiem, kto ostatnio zmarł, pamiętam nawet reportaż o suszy i nadciągającym załamaniu pogody.

Ale teraz znów mamy słońce. Lato, na drzewach – zielone liście (choć nie da się ukryć, że poprzetykane żółtawymi – co jest na pewno winą suszy), wypalony trawnik, przyjęcie w ogródku tych nadętych buców, Lipickich. Pamiętam ich nazwisko. Ponad murem widzę przesuwające się sylwetki i mimo zamkniętych okien dolatują mnie sztuczne śmiechy i szczekanie drażnionego przez dzieci psa. Przeniosłem się tu całkiem niedawno, ale wspomnienia są poszatkowane. Nawet nie wiem, czy to mój dom.

Co mi się stało?

Nie. Z całą pewnością nie jestem popieprzonym sadystą. Jeżeli to idiotyczne wyglupy, to naprawdę mam dość! Ja pierdołę!

Vzczx

knbzz

Walę w klawiaturę, żeby pisać cokolwiek. Afassdfasadf!!

Chwila. Muszę się uspokoić. Przyspieszone klepanie przekleństw w niczym mi nie pomoże. Jak się nazywam?

Mikołaj Popławski. Swojego imienia nigdy nie zapomnę, podobnie jak tego, że przez całą podstawówkę dzieciaki wołały za mną, żebym im natychmiast dawał prezenty.

Ile mam lat?

Nie wiem. Chyba dwadzieścia dziewięć, ale to przy założeniu, że pamięć urwała mi się nie dawniej niż przed paroma miesiącami.

Boże. To brzmi jak... Nieważne.

Nazywam się Mikołaj Popławski, powinienem mieć dwadzieścia dziewięć lat i (to bez dwóch zdań) mam solidną dziurę w mózgu. Nie mam nawet żadnego konkretnego ostatniego wspomnienia. Zdaje się, że prowadziłem własną firmę zajmującą się marketingiem, reklamą, chyba też – fotografią. Może mam ją zresztą nadal? MePopU. Zwykle pogrubienie czcionki upewnia mnie, że tak się właśnie nazywa. Pisałem też scenariusze, z których dwa zrealizowano niedawno na Zachodzie.

Niedawno – jak złudne to określenie.

Do Baltic Resort / Resort Baltica przyjechałem wypocząć. Na tydzień? Dwa? Miesiąc? Może na całe życie?

[→ przełączenie się na komórkę]

Odłączam telefon od ładowarki i wiem, że jest tylko jedna rzecz, którą muszę zrobić. Tylko w jeden sposób udowodnię sobie, że to wszystko to.... Znowu brakuje mi słów. Najpierw idę jednak do łazienki. Znajduje się po lewej stronie krótkiego korytarzyka. Oddaję mocz, który rozbryzguje się na desce, ale nie zawracam sobie głowy wycieraniem. Z telefonem w ręce to utrudnione. Mógłbym go przez przypadek upuścić.

Oderwanie rąk od klawiatury na czas mycia przyprawia mnie o dreszcze, kołatanie serca i skok ciśnienia. Przynajmniej izopropanol pozwala mi poczuć się czystiej. Fizycznie. Bo przecież nie na duszy.

Wychodzę z łazienki i szybkim krokiem idę do kuchni. Podważam rant terakotowej płytki, a ona... Właśnie rozłamała mi paznokiec.

Trudno. Nie mogę się teraz tym przejmować, bo z każdą sekundą zaczynam wariować coraz bardziej. Płytkę podnoszę przy pomocy przywiązanego sznurkiem do szlufki klucza.

Udało się.

Uderza mnie ostry zapach wilgoci, zgnilizny i rdzy. Skąd ja to znam...

Jeden, trzy, siedem stopni – jak dotąd wszystko się zgadza. Znajduję się w piwnicy, mijam stojak z narzędziami, a moje kroki szurają o betonowe podłoże. Metalowe drzwi są zamknięte, przez skobel przeciągnięta jest solidna kłódka. Wcale mnie nie cieszy, że wiem, gdzie schowałem klucz. Wcale mnie to, kurwa, nie cieszy. Powinienem go wsunąć do zamka i nie zwlekać. Ale nie chcę. Wolę tu zostać, zawrócić do kuchni albo...

Podnoszę kartkę, która w świetle latarki wydaje się wyrwana ze starego zeszytu, lecz w rzeczywistości pewnie jest śnieżnobiała. Słowa na niej wydrukowane są pogrubioną czcionką. Do tego nie mam pojęcia, co znaczą.

To niemożliwe...

GABRIELA KRAUS

– Nie powinnaś się o nic martwić. – Elwira zawsze jest optymistką. Kiedy przed trzema laty doznałam paraliżu połowy ciała, też powtarzała, że to tylko chwilowy niedowład. „Tyle w życiu się narobiłaś, że jedna druga Krausa postanowiła odpocząć”.

Nie znoszę, gdy mówi do mnie per „Krausie”. Ale ten typ tak ma, więc szkoda polemizować.

– Teraz napijemy się wina? Nalewki?

Zatrzymuję się przy rozległej wyspie i opieram się na blacie lewą dłonią. Elwira, pocieszając mnie, miała trochę racji. Po roku rehabilitacji osiągnęłam stan jako takiej używalności. Mogę samodzielnie chodzić (choć najlepiej asekurując się laską), ubrać się, a nawet jeździć samochodem. Przed paroma miesiącami z przerażeniem wybrałam się na pierwszą przejażdżkę nowiuteńkim volvo z automatem i muszę powiedzieć, że poszło mi naprawdę dobrze. Wygodniej byłoby prowadzić auto z kierownicą po prawej stronie, ale wtedy każde wyprzedzanie groziłoby czołówką. Powiedziałam, że przywrócono mnie do stanu jako takiej używalności, a nie, że zostałam gimnastyczką.

– Może być wino.

– Coś konkretnego?

Win mam pod dostatkiem. W życiu sprzed „incydentu”, jak kazał mi to nazywać terapeuta, alkohol stanowił taką samą walutę jak pieniądze. A może nawet lepszą, bo mniej pretensjonalną. Dlatego poza dwiema szafkami ze specjalnie przystosowanymi półkami miałam jeszcze pełną piwniczkę.

– Tylko błagam cię, wybierz coś, co mam tutaj. – Celuję w Elwirę palcem i staram się nie okazać zdenerwowania. – Za każdym

razem, gdy złażę na dół, mam wrażenie, że już stamtąd nie wrócę.

– Cokolwiek. Byle kopało.

No tak. Mogłam się spodziewać tej odpowiedzi. Wyciągam trzyletniego cabernetisa z winnicy Equus, którym zachwyciłam się w poprzednie wakacje. Stawiam butelkę na stole i kładę przy niej korkociąg.

– Polskie i dobre. – Staram się uśmiechnąć. – Otwieraj, jeśli nie chcesz wszystkiego zaraz ścierać z podłogi.

Do pewnych czynności nadal potrzebuję pomocy. Na upartego dałabym radę, ale przez trzy lata można się nauczyć, że dawanie rady potrafi przede wszystkim dać w kość. A z sadomasochizmu wyleczyłam się już dawno temu.

– Napij się i po problemie. – Elwira nalewa wina nieco powyżej połowy obu kieliszków. Robi to z zawodową wprawą. – Nawet nie zwróci na nic uwagi, bo jest skręcony tak samo jak ty.

Gdy tylko wypowiada ostatnie słowo, zdaje sobie sprawę z gafy. Spogląda na mnie ukradkiem, przykładą dłoń do permanentnie wymalowanych ust i wydaje z siebie stłumiony chichot. Jej ponaciągana operacyjnie twarz nawet nie drgnie. Może z wyjątkiem kurzych łapek, które złośliwie pojawiają się w kącikach wielkich oczu.

– Przepraszam. Wiesz, że...

Macham ręką. Przecież wiem.

Czasem się zastanawiam, czy też nie powinnam się położyć pod skalpel przystojnego chirurga. Chirurdzy plastyczni są zawsze przystojni, prawda? Poprawka tu, poprawka tam i mogłabym rankami patrzeć w twarz kogoś całkiem innego. To kusząca wizja. Szczególnie jeśli w czterdziestodzieciolatnym życiu zdołało się spieprzyć wszystko, co tylko możliwe. Włącznie z samą sobą.

– Za brak zmartwień! – Elwira delikatnie unosi kieliszek.

Robię to samo i stukamy się. Kryształ brzęczą. To piękny dźwięk, który kojarzy mi się z wszystkimi sukcesami. Przy porażkach kryształ bębnił jedynie o moje zęby.

– Cin, cin! – dopowiadam.

– Za związki.

– Za miłość.

– Z tym ostatnim to może nie przesadzajmy. – Elwira chichocze i wypija wino niemal do dna. – Nie oczekujmy od życia zbyt wiele.

Nie zamierzam się upić. Pociągam niewielki łyk i przez chwilę przytrzymuję go w ustach. Cierpki posmak oblepia mój język. To wino pasowałoby do tłustej pieczeni, ale nie do przedpołudniowego spotkania przyjaciółek. Poprawka, kumpelek. Do tego nie wtedy, gdy jedna z nich robi jedynie za przyzwoitkę w trakcie randki. Nie wiem, dlaczego poprosiłam Elwirę o przyjście. Kiedyś nie miałam problemu z uwodzeniem facetów, z dawaniem im kosza i wodzeniem ich za nosy. Lubiłam to. Ściąganie smyczy, kajdanki, kneble, cały nimb BDSM.

Po incydencie straciłam pewność siebie i wiarę we własną seksualność. Niby moja ułomność była niemal niedostrzegalna, ale ja ją widziałam. A to aż nadto wystarczało.

– Pamiętasz ze szkoły, jak na tablicach pisało się ktoś plus ktoś równa się WNM? – Elwira sama sobie połała. Ma problem z alkoholem, ale na razie nic sobie z tego nie robi. Jeszcze nie zaczął niszczyć jej życia.

– Coś takiego było – przytakuję zamyślona.

– Gabriela plus Maciej. WNM.

– Nawet nie pamiętam, co znaczyło to WNM.

Nie zobaczyłam, kiedy Elwira opróżniła kolejny kieliszek. Szybka jest. Na dnie została jedynie krwistoczerwona kropla.

– Jak to: co?! – Oblizuje wargi i lustruje mnie swoim żabim, przenikliwym spojrzeniem. Uważam, że znacznie lepiej wygląda w okularach, ale kiedy jej o tym powiedziałam, obraziła się. Ja natomiast od trzech lat uważam, że szkoda czasu na kłótnie i obrażania. – Wielka nieskończona miłość. Taka, która połączy was do końca świata i jeden dzień dłużej.

Wzruszam ramionami.

– I po co mi jeszcze ten jeden dzień? Żeby zobaczyć, jak wiele straciłam?

Chyba nie mam nastroju na babskie pogaduchy. Choć może po prostu wlałam w siebie zbyt mało alkoholu, lecz gdzieś w dołku skręca mnie z dziwnego lęku. Mam bardzo złe przeczucia.

29.08 13:55

@izakiziasmutaska

#ikilledmyselftoday brzęczy mi dzisiaj w myślach i chyba coś w tym jest. Wstajesz rano, idziesz do kibla, ale nie masz czym się wysrać, bo nie jadłaś od wielu dni albo wszystko wyrzygałaś. Zamiast tego wyściełasz podłogę ręcznikiem i sięgasz po żyletkę. Tak zaczynam kolejny dzień. Znacie to?

Komentarze: 27 Udostępnień: 14

DarkMoon Mam tak co rano. Można się przyzwyczaić.

Patrycja Krzyska Jesteś popier* * * Idź się leczyć, kobieto, a nie publikujesz takie gówno!

Kościarz Skąd ja to znam :)

Niedoszła Samobójczyni To kolejny taki wpis... Naprawdę namawiam Cię na konsultację ze specjalistą. Kiedyś też się cięłam, ale to nie ma żadnego sensu. Życie jest piękne, a zatapiając się we własnym żalu, wszystko pieprzymy.

Jan Karwowski Niech robi, co chce. Jednego wariata będzie mniej ;D

Wiktoria Nowak Zgłaszam to konto do adminów, powinno zostać zablokowane.

Piotr Bielski @WiktoriaNowak a Ty co? Komisja obyczajowa jesteś? Cenzura?

Wiktoria Nowak @PiotrBielski To mogą czytać dzieci! Nie ma żadnego ograniczenia dostępu.

Piotr Bielski To po co tu wchodzisz?

[Pokaż następne komentarze]

* * *

Punkt południe rozlega się dzwonek do drzwi. Maciej jest zawsze punktualny, ale to nie jest takie dobre, biorąc pod uwagę, że co najmniej od godziny jesteśmy wstawione. To znaczy: uśredniając. Ja wypiliśmy dwie lampki wina, a Elwira jest najzwyczajniej w świecie pijana.

Ledwie uchylam drzwi, gdy w moich dłoniach ląduje piękny

bukiet. Kilkanaście amarantowych wysokich róż z niewielkimi czarnymi plamami. Wyglądają pięknie i nie są tak banalne jak czerwone. Poza tym, do diabła, nie mamy piętnastu lat.

– Ojej, dziękuję. – Uśmiecham się i robię niezgodny ruch. Zabrakło kilku centymetrów, a wbiłabym łaskę prosto w wypolerowany na glanc lakier Macieja. – Przepraszam...

Tylko się uśmiecha. Szeroko, szczerze. Na jego twarzy marszczą się nie tylko kurze łapki, lecz także dołki policzków i delikatne bruzdy pod oczami. Ma w końcu trzy albo cztery lata więcej ode mnie. Wdycham cierpki, ziołowy aromat jego perfum.

– Chyba przesadziłam z winem na rozgrzewkę – tłumaczę się.

– Musiała chlapnąć parę łyków, żeby nie rzucić się na ciebie jeszcze w progę. – Elwira prawie krzyczy. Dobrze wiedziałam, że zabieranie przyjaciółki na randkę to kiepski pomysł. Kolejny z serii życiowych błędów...

– Alkohol ponoć podkreśla atmosferę. Bo chyba nie studzi?

Maciej puszcza do mnie oko. Zdaje się, że w ogóle nie jest przejęty. Całują się z Elwirą w policzki i wymieniają kilka uprzejmości. Chwilę później on polewa nam wino, ale sam – jak zwykle – nie pije. Wystarcza mu tonik z limonką, który, jak twierdzi, doskonale przygotowuje jego kubki smakowe na prawdziwą ucztę. Na królewską ucztę u księżniczki Gabrieli.

Księżniczka Gabriela brzmi lepiej niż Kraus.

Prawda jest jednak taka, że zamiast uczyty może być wtopa. Wstawiam kwiatki do wazonu, wlewam do środka zimną wodę i zerkam do piekarnika. Mięso z pewnością się nie spaliło, ale sos pod nim ledwie bulgocze. Półtorej godziny w temperaturze stu pięćdziesięciu stopni na każdy kilogram to chyba zbyt mało. Nie powinnam była eksperymentować. Podkręcam piekarnik do oporu i sięgam po szczypce. Wokół mam dość blatów, by w razie czego się podeprzeć, więc mogłam odstawić łaskę. Podnoszę kolejne pokrywki idealnie lśniących garnków.

Czarny ryż jest już prawie gotowy. Chiński sos, który przygotowałam zgodnie z instrukcjami kucharza z warszawskiej

knajpki, również. Choć mogę się założyć, że nie podyktował mi najważniejszego składnika. Albo umyślnie coś podmienił.

– W razie czego o rzut beretem mamy niezłą restaurację rybną. – Żartem pokrępiam przede wszystkim siebie. – Podają tam świetnego halibuta.

– I mają widok na Bałtyk. – Elwira chyba poradziła sobie z kolejnym kieliszkiem. Zaczyna plątać się jej język. – Ty też masz niezły widok na morze – mamrocze. – Powiedz Maciejowi skąd.

Kręcę z rezygnacją głową. Odwracam się, bo cała sytuacja dziwnie mnie peszy.

– Z sypialni – szepczę jak spłoszona guwernantka. Albo jak młokosowata uczennica.

– No więc właśnie.

Elwira wymownie cmoka. Kątem oka widzę, że Maciej się uśmiecha, poprawiając sztućce na obrusie. Nie potrzebowali mojego zaproszenia, by usiąść przy głównym stole. Nakrywałam go przez cały ranek i liczyłam na słowa pochwały. Ale mniejsza z tym. Specjalnie dobierane serwetki, ręcznie szyte stroiki oraz zabytkowe koziółki to tylko część detali.

Najważniejsze jednak zawsze jest przecież żarcie.

– Może otworzymy jeszcze wino? – Elwira głośno odstawiała kieliszek. – Chyba czas na coś nieco lżejszego.

– Wybierzcie, na co tylko macie ochotę.

– Ja zostanę przy toniku. – Maciej podnosi się i zapina marynarkę. Rusza w moją stronę, ale nie czuję przy tym dawnego przyjemnego dreszczyku. – Pomóc ci w czymś?

Zatrzymuję wzrok na jego idealnie ułożonych, poprzetykanych siwizną włosach. Musiał poświęcić mnóstwo czasu, żeby uzyskać tak wymuskaną fryzurę. Tak samo zarost. Dwumilimetrowy, z doskonale wygoloną szyją i zaznaczonymi baczkami. Nie jest lalusiem, ale przykłada wagę do elegancji. To akurat duży plus.

– Wybierz wino dla Elw – rzucam, szukając żaroodpornych rękawic. – Śmiało, nie krępuj się.

Jedyną osobą, która się krępuje, jestem ja. Maciej mija mnie

i delikatnie przeciąga dłonią po mojej talii. Odsuwam się zdecydowanie bardziej nerwowo, niżbym chciała. Właściwie wolałabym się w ogóle nie ruszać. Mógłby mnie przytulić, objąć swoimi długimi rękoma i wtedy zapadłabym się w niego. Świat przestałby istnieć. Czas przestałby biec. A ja przestałabym...

Tak naprawdę przez cały czas myślę o czymś innym.

Nie mogę ciągnąć tych smutnych myśli już ani chwili dłużej, bo inaczej wpadnę w szal i zrobię z siebie pośmiewisko. Wyłączam piekarnik, uchylam jego drzwiczki, a potem ruszam w stronę holu. Obcasy na przemian z laską stukają o posadzkę, a echo wżyna się w mój mózg.

Dłużej nie wytrzymam. Złe przeczucia najlepiej gasić w zarodku, bo szybko przekształcają się w natręctwa i fobie.

– Przepraszam na chwilę – rzucam, wychodząc z połączonej z kuchnią jadalni. – Zaraz wracam, goście się jak u siebie.

– Idź, Krausie, czyń swoją powinność. – Elwirze płacze się język, co jest normalne, jeżeli w ciągu półtorej godziny obaliło się półtorej flaszki. Następna będzie jej gwoździem do trumny.

Kieruję się ku schodom. Oblepiona potem rączka laski ślizga mi się, więc wbijam paznokcie w skórzany oplot. Lekarze mieli rację, mówiąc, że najlepsza byłaby zwykła laska ortopedyczna, lecz wtedy jeszcze siliłam się na oryginalność. Wybrałam przedwojenny bambus z rączką pokrytą pasami zdartymi z grzbietu krokodyla oraz posrebrzaną główką. Teraz częściej czułam się jak cyrkowiec niż elegancka dama. Perspektywa, jak widać, zmienia się z wiekiem.

Od incydentu śpię w sypialni na dole, która pierwotnie miała być pokojem dla gości. Jednak przez ostatnie lata żaden z nich (nie wliczając mojej córki, ale córka przecież nigdy nie jest gościem w domu rodzica) nie zdecydował się na nocleg. Maciej kilka razy się do tego szykował, lecz w przypiływie niespodziewanej pruderyjności zawsze hamowałam jego zapędy.

Mimo fizycznego inwalidztwa złe przeczucia przydają mi dodatkowych sił. Po schodach wchodzę tak szybko, jakby nigdy nic

mi się nie przytrafiło. Zatrzymuję się tylko na chwilę, by rzucić okiem na mieniący się w słońcu Bałtyk i gnące się korony sosen. Na szczęście bryza jest ciepła, a na plaży pewnie nie ma gdzie szpilki wcisnąć. Między innymi dlatego przed dwunastoma laty zdecydowałam się kupić ten absurdalnie drogi, zdecydowanie zbyt wielki dom. Przepłaciłam prawie dwukrotnie, by zostać dumną obywatelką luksusowego osiedla tuż nad polską riwierą i móc po kąpielu w morzu osuszyć się we własnym ogrodzie.

Wtedy Baltic Resort liczył tylko pięć czy sześć domów. Dzisiaj to całe osiedle skopiowanych jota w jotę rezydencji, w których jedynym zmieniającym się elementem są liczba garaży i zaparkowane w środku auta. Ostatnio doszła rywalizacja na wielkość zewnętrznych basenów, lecz ja nie biorę w niej udziału. Fakt, że kiedyś do Bałtyku miałam pięć minut, a teraz, zanim wyjdę z wewnętrznych uliczek, przez kwadrans muszę kluczyć między murami, wielkimi bramami i wymuskanymi żywopłotami, nastawia mnie do sąsiadów wystarczająco negatywnie. Nawet jeśli chodzi o rywalizację.

Jeszcze raz zerkam na białe grzywy fal, choć wiem, że to tylko gra na czas. Zaproszenie Macieja i Elwiry też było tylko zyskiwaniem złudnych minut nadziei. To trwało zbyt długo.

Oszukuję sama siebie.

Odwracam się i ruszam w głąb korytarza. Mijam kilka słodkich nadmorskich widoczków z całego świata. Kiedyś przywoziłam je z każdej wycieczki (dwa wakacyjne wyjazdy przez dwadzieścia lat), ale w końcu mi się znudziło. Teraz wydają mi się strasznie przesłodzone.

Kładę dłoń na mosiężnej klamce i staram się nabrać siły. Zupełnie jakby otwarcie drzwi stanowiło nadludzki wysiłek. Chodzi o to, że nigdy nie wchodziłam do środka bez zaproszenia. Takie były reguły, a ja zawsze trzymam się reguł. Jednak dwa dni bez kontaktu, wyłączony telefon i ani słowa na pożegnanie to wystarczający powód do niepokoju. Nawet wobec trzydziestolatki.

Pokój nie jest zamknięty na klucz. To kwestia zaufania. Sprawia,

że czuję się jeszcze gorzej. Otwieram drzwi szerzej. Wszystko jest utrzymane w doskonałym porządku. Ustawione pod linijkę krzesła, dwie pary kłapek, posłane z wojskową dyscypliną łóżko. Do tego biel mebli i ścian. Nigdy nie zwróciłam uwagi, jak martwe jest to pomieszczenie.

Obchodzę cieniutki kwadratowy dywan, nieco wyrazistszy od otoczenia, bo w kolorze mlecznym. Nie chcę zostawić na nim śladów obcasów i laski. Rolety w oknach są do połowy opuszczone, lecz położony od południa pokój jest bardzo jasny. Rozglądam się wokół, a moją uwagę przykuwa leżąca na biurku kartka. Nie pasuje mi do tak schludnego wnętrza. Powinna znajdować się w jakiejś teczce, zeszyt lub książce.

Biorę ją, skupiam wzrok na wydrukowanych czarnych literach, a kolejne słowa mnie paraliżują.

Dobry Boże...

* * *

Iza w czerwcu skończyła trzydzieści lat. Trochę to przeżywała, ale wystawne przyjęcie dla najbliższych chyba nieco jej zrekompensowało poczucie starzenia się. Znam to, bo w swoim czasie przechodziłam to samo. Właściwie przeżywałam to co roku, a od trzech lat przeżywam jeszcze mocniej. Tak już jest.

Jako psychoterapeutka powinna sobie z tym radzić lepiej ode mnie, lecz terapia samej sobie to chyba kurewsko trudna sprawa. Dokładnie tak o niej myślę. Poza tym często się słyszy, że psychologiem lub psychiatrą może zostać wyłącznie osoba, która ma ze sobą problemy. Być może tak właśnie jest. Martwi mnie jednak to, że za większość problemów mojej córki odpowiadam tylko ja. Na zajęciach oraz podczas tych wszystkich sesji terapeutycznych, które w ich ramach musiała zaliczać, na pewno się w tym utwierdziła.

Nie martwi mnie to.

Chcę jej zadośćuczynić spieprzone dzieciństwo, stracony okres dorastania i przekreśloną perspektywę życia z normalną rodziną.

Nie wiem, jak zareaguje na Macieja. Liczyłam na to, że dzisiaj uda mi się ich ze sobą poznać, lecz chyba nic z tego. Świadomość, że mogłam wywołać lawinę, zupełnie mnie przytłacza.

Ponoć mam skłonności do obwiniania się o zło całego świata.

Nie interesuje mnie, że na dole stygnie mięso, że sos pewnie zaczął się już przypalać, a Elwira lada moment wyląduje pod stołem. Obecność w moim domu mężczyzny dla odmiany totalnie mnie przeraża. Znowu mogłam wszystko spieprzyć. Iza pewnie jakimś cudem się o nim dowiedziała, zareagowała jak zwykle i...

Wszystko niszczę.

Jeszcze raz patrzę na kartkę i przebiegam wzrokiem kolejne linijki. Moje ręce drżą, a noga, którą pociągam, całkiem zdrętwiała. Muszę usiąść. Zapadam się w głębokim fotelu przy biurku mojej córki i wdycham jej zapach. Nie mieszkała tu prawie dziesięć lat, a kiedy wróciła, miałam wrażenie, że wyjechała dopiero przed chwilą. Pamiętam, jak zobaczyłam ją na werandzie, z podkrążonymi zapłakanymi oczami i rozwichrzoną fryzurą. Nie zapytałam jej, co się stało, ani – dlaczego wraca.

Myslałam, że sielanka szybko się skończy. Przecież tak najczęściej bywa w tych spotkaniach po latach, gdy skłócone rodziny znowu siadają przy świątecznym stole. Dogadujemy się, śmiejemy, przepraszamy, a potem... A potem znowu jest tak samo. Wystarczy jedno słowo, jeden gest i czar pryska. Też to przeżyłam.

Jednak odkąd ponad rok temu Iza ze mną zamieszkała, nie pokłóciłyśmy się ani razu. Wraz z paraliżem uleciała ze mnie chyba dawna zołzowatość, a ona również zaczęła dawać fory moim humorom. Dojrzałyśmy. Pewnie także dlatego, że okazałyśmy się sobie najbliższe. Mimo dzielącego nas makrokosmosu.

Pamiętam, że pierwszego wieczoru Iza niemal bez słowa wypakowywała swoje rzeczy z małego skózanego plecaka. Byłam ciekawa, gdzie go kupiła i dlaczego wybrała właśnie tak paskudny, workowaty model, ale milczałam. To była pierwsza udana lekcja. W ciszy obserwowałam, jak na stole lądowało jej całe życie, o którym nie miałam praktycznie pojęcia. Wymięta kosmetyczka,

laptop, paczki papierosów, dwa podręczniki, notes i niewielka książka.

Weronika postanawia umrzeć.

Powoli odczytałam tytuł. Byłam pewna, że gdzieś już o niej słyszałam. Paulo Coelho. Nazwisko kojarzyło mi się ze wzniosłymi porównaniami, z filozofią i kiczem. Może w odwrotnej kolejności. Prawdę mówiąc, przez ostatnie dwadzieścia lat miałam niewiele czasu na książki, ale po incydencie zaczęłam to łapczywie nadrabiać.

– Będę mogła przeczytać? – zapytałam, gładząc okładkę. Liczyłam, że znajdę tam chociaż wstęp do tajemnic mojej córki.

– Jasne.

– Mówisz, że warto?

Wzruszyła ramionami, ale nie odpowiedziała. Skoro była to jedyna jej książka, musiało być warto.

– Główna bohaterka wiecznie ucieka.

Pamiętam smutny uśmiech, który przemknął przez jej twarz. Spojrzała na mnie i zaraz na powrót zajęła się przeglądaniem jednego z notesów. Naszego pierwszego wieczoru od tylu lat dowiedziałam się, że ona też przed czymś ucieka. W głębi duszy ucieszyło mnie, że tym czymś wcale nie jestem ja.

Teraz nie byłam już tego taka pewna. Jeszcze raz zaczerpnęłam głęboko powietrza i przebrałam dłonią po aksamicie fotela. Zamknęłam oczy. Nie musiałam już patrzeć na wiadomość, żeby ją odczytać. Każde ze słów wryło mi się głęboko w umysł.

„Tym razem to Izabela postanowiła umrzeć. Uprzejmie prosi, aby jej w tym nie przeszkadzać”.

29.08 14:01

@izakiziasmutaska

#tojużjestkoniec #niemajuznic Jeszcze się usłyszymy. Gdzieś.

[Komentowanie zostało zablokowane]

* * *

Standardowo w sprawach zaginięć policja działa ze sporą dozą

wstrzemięźliwości. Przynajmniej tak ujął to aspirant (czy tam komisarz), który jako pierwszy przyjechał do mojego domu. „Wie pani, czasem nastolatki zachowują się tak, żeby zrobić wszystkim na złość”. Jasne, ale Iza ani nie była nastolatką, ani nie miała powodu robić wszystkim na złość.

Już nie.

Choć jestem sobie w stanie wyobrazić, że wyszła bez słowa, a teraz po prostu sprawdza moją reakcję. Obserwuje mnie. Bada. Już kursy psychologiczne ją zmieniły, ale pierwsze terapie uczyniły z niej całkiem innego człowieka. Dokładnie w ten sposób o tym opowiadała. A ja nie wiem, co miałabym o tym myśleć.

Duże, ciemne oczy policjanta lustrują mnie i przy okazji każdy szczegół salonu. To do niego zaprosiłam dwójkę funkcjonariuszy, ale młoda kobieta, pewnie jeszcze młodsza niż Iza, zapytała, czy mogłaby obejrzeć pokój mojej córki. Najpierw pomyślałam, że strasznie by ją to zezłościło. Ale przecież wszystko zaczęło się od niej. Nie chcę myśleć, że przez nią, lecz tak właśnie jest.

Elwira przed kwadransem wyszła, podtrzymywana przez Macieja. Zaproponowali, że zrobią wszystko, co w ich mocy, żeby... No właśnie. Żeby co? Uprzejmie poprosiłam ich, aby po prostu zostawili mnie samą. Chciałam racjonalnie, krok po kroku wytłumaczyć wszystko policji. Nie potrzebowałam do tego dodatkowych słuchaczy. Poza tym wciąż wstydziłam się przed kimś przyznać, że skrzywdzona przez los prawie pięćdziesięciolatka randkuje jak gówniara. I to właśnie wtedy, gdy jej córka zostawia taką wiadomość.

– Nie ma pani wrażenia, że ten list – policjant potrząsa torebką, w której wylądowała kartka – jest tylko, przepraszam za słowo, dowcipem? Próbą zwrócenia na siebie uwagi?

Znowu traktuje Izę jak nastolatkę ze skłonnościami do cięcia się żyletką przy akompaniamencie gitarowych riffów i przyprawiającego o ciarki wokalu. Nerwowo zaciskam dłoń na rękojeści laski. Zastanawiam się, czy nie powinnam zaproponować herbaty lub kawy, ale to jest teraz nieważne.

– Panie aspirancie...

– Komisarzu.

– Przepraszam. Panie komisarzu... – Nie wiem, jak ubrać w słowa swoje myśli, więc po prostu zaczynam mówić. – Iza nie jest osobą, która chciałaby się zabić, i z całą pewnością ten list to nie wygłup.

Policjant kiwa ze zrozumieniem głową. Mam wrażenie, że to starannie wystudiuowany ruch.

– Dlatego zajęliśmy się tą sprawą niezwłocznie – odzywa się po chwili. – Zgodnie z tym, co pani mówi, ta wiadomość mogła przeleżeć na biurku prawie dwa dni. To z jednej strony mnóstwo czasu, a z drugiej w takich sprawach nie zawsze trzeba się spieszyć.

– Chyba nie rozumiem.

– Osoby, które informują wszem wobec, że chcą popełnić samobójstwo, zazwyczaj wcale nie są do tego przekonane.

– Ale ona...

Przerywa mi machnięciem ręki. Przed trzema laty na ten gest od razu zareagowałabym dziką wściekłością i zwyzywała komisarza od niekompetentnych dupków. Tyle że to pogorszyłoby jedynie sytuację. Czegoś się jednak nauczyłam.

Policjant wyciąga z kieszeni notatnik w skórzanej oprawie i kładzie na nim długopis.

– Proszę podać mi numery jej przyjaciół i najbliższych znajomych.

Sięgam do kieszeni po telefon, ale to przecież bez sensu.

– Nie znam ich.

– A chociaż imiona?

– Nie miała ich za wielu. – Staram się sobie przypomnieć, kto był na wielkiej imprezie urodzinowej. To nie jest zbyt trudne. – Przychodzi mi na myśl tylko Natalia Krawczyk. Albo Krawczuk.

– Gdzie mieszka?

– Nie mam pojęcia... Wiem, że spotykały się od czasu do czasu na kawę, ale nie były jakimiś wielkimi przyjaciółkami.

Komisarz znowu kiwa głową. Zaczyna mnie to irytować.

– A mężczyźni?

– Nie – mówię z pełnym przekonaniem. – Nic o nich nie wiem, choć... – To smutne, że myślę o tym dopiero teraz. – Mogła ich przede mną ukrywać, nie zdziwiłabym się.

– Dlaczego?

– To skomplikowane... Ale czy mamy teraz czas wnikać w nasze relacje? Za przeproszeniem, głównie to pana obchodzi.

Naprawdę zaczynam się czuć bardzo sfrustrowana. Powoli dociera do mnie powaga sytuacji. Jestem totalnie skołowana, zaczyna mi się kręcić w głowie i muszę jak najszybciej łyknąć tabletkę. Iza nie wyszła z domu ot tak. Nie wywineła mi głupiego żartu i nie zostawiła swoich pacjentów samym sobie. Przez ostatni rok robiła wszystko, żeby poukładać swoje życie. Już przeszliśmy przez okres oddalenia i naprawdę nie miałyśmy powodu do tego wracać.

Nachodzi mnie jeszcze jedna myśl.

To, że jej list pożegnalny mógłby być zwykłym dowcipem, wcale mnie nie uspokaja. Właściwie to nawet gorzej. Jeśli założymy, że ktoś chciałby zrobić jej krzywdę, stawał się zupełnie nieuchwytny. Kilkoma zdaniem oczyszczał się ze wszystkich podejrzeń. Wszyscy, włącznie ze mną, skupiają się na tym, że Iza albo jest rozwydrzoną nastolatką, albo postanowiła się zabić. Nikt nie bierze pod uwagę innego scenariusza.

– Ona przed kimś uciekała – mówię, choć wiem, że tylko skomplikuję tym sprawę.

* * *

Przez następną godzinę ekipa policyjna rozrasta się do kilkunastu osób. Nie wiem, na co trafiła funkcjonariuszka buszująca w pokoju Izy, ale zdaje się, że to coś istotnego. Nikt mi nie chce o niczym powiedzieć.

Komisarz poinformował mnie tylko, że list trafił do analizy kryminalistycznej. Z jego twarzy nie mogłam wyczytać żadnej emocji, lecz kolejne pytania brzmią tak, jakbym to ja była główną podejrzaną. W sprawach zaginięć chyba często tak właśnie jest.

- Czy ostatnio się panie pokłócili?
- Dlaczego czekała pani na jej powrót prawie czterdzieści osiem godzin? Córka wyszła bez słowa i nie wzbudziło to u pani żadnego niepokoju? Zdarzało się to już wcześniej?
- Nie wydaje się pani dziwne, że Izabela miała przed panią same tajemnice? Właściwie nie ma pani pojęcia o jej życiu prywatnym. Co się z nią działo przez prawie dziesięć lat?
- Czyli wysyłała jej pani co miesiąc przelew, ale rozmawialiście jedynie od święta?
- Nigdy nie miałyście dobrych relacji? Wie pani, jak matka z córką: zwierzenia, sekrety, wspólne tajemnice...
- A pani... przepraszam, inaczej to ujmę. Czy Iza ma dobry kontakt z ojcem?

Niepokój coraz mocniej zaciska mi pętlę na gardle. Kolejne słowa wypowiadam piskliwym głosem, jak chłopiec przechodzący mutację. Trzęsą mi się ręce. Nogi mam zdrętwiałe. Tabletki na uspokojenie nic nie pomogła. Staram się tylko nie rozplakać. Paznokcie wbijam już nie w skórzany splot łaski, a we wnętrza dłoni. To trzyma mnie w świecie rzeczywistym. Przez tyle lat nie chciałam z nikim bliskości, bo bliskość zawsze przemienia się w żalobę i to był mój główny problem. A kiedy terapia i autoterapia zaczęły przynosić efekty, doigrałam się.

– Jej ojciec zginął, gdy miała niecały roczek – odpowiadam cierpko. – Raczej nie zdążyła nawiązać z nim specjalnych relacji. Nie sądzę, żeby w ogóle go pamiętała.

– Zginął?

Nic dziwnego, że gliniarzy nazywa się psami. Przy tym pytaniu nos komisarza zmarszczył się, jakby funkcjonariusz właśnie chwycił trop. Młoda matka, wdowa, a teraz – matka zaginionej. Odwracam się lewym profilem, bo prawe oko zaczyna mi łzawić. Po incydencie nawet rozplakać nie mogę się synchronicznie. Spojrzenie komisarza przemyka po mojej opiętej na biuście bluzce.

– Popęłnił samobójstwo.

– Przykro mi...

– Miał raka – wyjaśniam, siląc się na obojętny ton, a mimo upływu lat wspomnienia wracają z pełną mocą. – Walczył przez kilka miesięcy, ale nie było żadnych szans. Męczył się, a przede wszystkim sądził, że męczy wszystkich wokół. Zamiast tego wybrał garść tabletek i miękką pościel. Miał dwadzieścia siedem lat.

Nie wiem, jakie znaczenie ma informacja o wieku, w jakim mój mąż się zabił, ale po prostu muszę mówić. Przez kolejne lata pracowałam jak najęta. Robiłam wszystko, żeby zapomnieć. O nim, o małej Izie, o znajomych. Nie chciałam nikogo poznawać, przywiązywać się i po raz kolejny przeżywać bólu śmierci, rozstania lub czegokolwiek. To był jedyny efekt dwuletniej pomocy udzielanej mi wtedy przez psychiatrę.

Wiem też, że tego kłamstwa nikt nie zweryfikuje. Prawda jest bardziej skomplikowana. Mój mąż popełnił samobójstwo z zupełnie innego powodu. Pogrzyżył się w chorobie psychicznej. Rak był tylko wymówką. W pewnym momencie zdał sobie sprawę, że stanowi niebezpieczeństwo dla najbliższych. Poza tym, odkąd go poznałam, wspominał o genie samobójcy. O uwarunkowaniach do skończenia z życiem na własnych zasadach. Ale to nieistotne.

Syndrom pogłębionej żałoby – tak roboczo nazywano mój stan.

– Muszę zapytać o coś jeszcze . – Komisarz zamyka notatnik, jakby z góry znał odpowiedź. Wymienia porozumiewawcze spojrzenie z młodą policjantką i przystępuje do frontalnego ataku. – Czy pani córka mogła mieć jakichś wrogów? Wspominała pani, że musiała przed kimś uciekać, ale nie sprecyzowała, przed kim.

Mam cholerną ochotę na drinka. Szklanekę wódki z sokiem cytrynowym. Albo samą szklanekę wódki. Jeszcze chwila, a rozerwę pasy skóry aligatora na strzępy. Do łzawiącego prawego oka w samą porę dołącza lewe. Ocieram je wierzchem dłoni.

Sytuacja zaczyna mnie przerastać i próby zebrania się do kupy stają się coraz bardziej chaotyczne. Komisarz zdaje się to dostrzegać.

– Nie wiem, przed kim. – Pociągam żałośnie nosem. – Po prostu

takie odniosłam wrażenie, a jak wspominałam...

– Będziemy musieli zabezpieczyć jej laptop – przerywa mi krępy funkcjonariusz. Wygląda jak jedna z tych kalek gęb kulturystów odlanych od matrycy sterydów. – Potrzebuję podpisu.

– Mojego? – upewniam się.

Tylko kiwa zlaną potem głową. Z trudem się podnoszę, jakby to on nie mógł podejść do mnie. Opieram się na lasce, a komisarz wyciąga w moją stronę rękę. Nie wiem, czy to odruch dobrego serca, czy próba wkupienia się w moje łaski. Jego mina przypomina o tym, że jest starym wyjadaczem, ale zarazem ma w sobie coś naturalnego.

– Dziękuję.

Mijam go i kuśtykając, idę do funkcjonariusza z laptopem zapakowanym w zamykaną folię. Wyciąga w moją stronę plik kartek. Trzyma palce dokładnie w miejscach, w których będę musiała się podpisać.

– Samobójstwo przenosi się w genach –szepcze komisarz do policjantki, ale wyraźnie słyszę jego słowa. – Jest coś takiego jak gen samobójcy, już dawno o tym czytałem.

„Sukinsyn”. Powstrzymuję się, żeby nie powiedzieć tego na głos. Dobrze zrobiłam, chowając drugi, najważniejszy laptop Izy w bezpiecznym miejscu.

* * *

Komisarz na odchodne wręcza mi swoją wizytówkę.

– Proszę dzwonić o każdej porze – mówi, siląc się na uśmiech.

Po tym, co usłyszałam, mam co najwyżej ochotę dać mu po gębie. Po tym, jak jego wzrok kolejny raz przesuwają się po moim biuście, najchętniej bym go opluła. Dała kopniaka i zatrzasnęła drzwi. Tyle że teraz prędzej mogę okładać kogoś laską niż rozdawać kopniaki. Drobną różnicą.

– Oczywiście – zapewniam. – Będę o tym pamiętała.

– Proszę się trzymać.

Młoda policjantka kładzie spoconą dłoń na moim łokciu, lecz

zaraz ją cofa. Nie kontroluję już mimiki. Przynajmniej nie na tyle, żeby ukryć wściekłość, niechęć do tej podręcznikowej dwójki gliniarzy. I żal. Łzy ciekną mi już niekontrolowanym strumieniem. Nawet ich nie ocieram.

Bez słowa pożegnania zamykam drzwi i odgradzam się od świata, w którym liczy się tylko bezemocjonalne wykonywanie swojej roboty. To znaczy: emocjonalne o tyle, o ile trzeba będzie zostać po godzinach. O tyle, o ile zepsułam komuś plany na wieczór. Od dwóch dni podobno morze jest zaskakująco ciepłe. Dwadzieścia jeden stopni – to na Bałtyk przecież niemalże ukrop. Wiatr całymi dniami niesie zapach przenośnych grillów, wrzaski dorosłych i piski dzieci. Za tydzień lub dwa to się skończy. Za trzy na plaży zostaną tylko niepozbierane śmieci, niedopałki papierosów i te same ziarenka piasku, które dziś tworzą mury zamków.

Większość zaginionych odnajduje się w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Wiem to. I wiem, że ten czas albo już minął, albo minie lada moment. Nic na to nie poradzę.

Muszę się odświeżyć, bo w domu zrobiło się co najmniej trzydzieści stopni. Klimatyzacja jest zamontowana jedynie w dwóch sypialniach, co wypominam sobie w każde wakacje. Kto mógł kilkanaście lat temu przewidzieć pieprzone ocieplenie klimatu?

Zanim pójde się obmyć, zachodzę do kuchni. Wiem, że nie powinnam tego robić. Wiem, że w takich momentach najlepiej zadzwonić do przyjaciela, ale do kogo miałabym dzwonić? Elwira pewnie właśnie rzyga nad kibelem albo śpi. Maciej...

Wyciągam z kieszeni telefon i obracam go w dłoni. Odbijam się w wygaszonym wyświetlaczu. Mam opuchnięte oczy, potargane włosy i zapadnięte policzki. Mimo to wiem, że wciąż jestem atrakcyjna. Przynajmniej powinnam sobie tak mówić, bo podobno tak jest.

Gówno prawda.

Naciskam przycisk i ekran się rozjaśnia, pokazując tapetę – oczywiście ze zdjęciem mnie i Izy. Na pierwszym planie nasze roześmiane twarze, w tle berlińska tropikalna wyspa. Do tego

pojawiają się ikonki pięciu nieodebranych połączeń i siedmiu esemesów. O dziwo, raz dzwoniła Elwira, raz ktoś nieznamy, a pozostałe trzy – Maciej. Esemesy chwilowo mam w dupie.

Otwieram barek i wyjmuję butelkę dzinu. Dzin miał dla mnie zawsze więcej klasy niż rum czy wódka. Tym razem nie przejmuję się klasą i piję prosto z butelki. Pali mnie w gardle, płyn się cofa, ale wciąż przełykam. Jak kaczką.

Wreszcie ocieram usta i powstrzymuję się przed natychmiastowym zwróceniem wszystkiego, co w siebie wlałam. Po kilku sekundach czuję się znacznie lepiej.

– Coś ty wymyśliła?! – krzyczę, pochylając się nad blatem, na którym przed paroma godzinami czarowałam magiczny chiński sos. – Gdzie jesteś, Iza?!

Spazmatycznie zaciskam dłoń na krawędzi szafki i lasce. Teraz nie płaczę, ale histerycznie ryczę. Jeszcze raz sięgam po butelkę, lecz się powstrzymuję. Nie. Teraz nie. Są ważniejsze sprawy do zrobienia.

Miesiąc, może półtora termu, Iza wróciła do domu wcześniej niż zwykle. Tłumaczyła to tym, że musi wieczorem popracować, a przedtem chce wziąć kąpiel i odpocząć. Od razu przyszło mi na myśl, że wybiera się na randkę, ale nie wydawała się specjalnie zadowolona. Poza tym na randkę nie chodzi się z plecakiem, opracowaniami naukowymi i notatnikiem.

– Wiesz, gdzie trzymam laptopa, na którym pracuję? – zapytała, dając mi buziaka na pożegnanie. Jako dorosłe kobiety nadrabiałyśmy to, co spieprzyłam wcześniej.

– Chyba tak – odparłam. – Pokazywałaś mi kiedyś, że chowasz go za ubraniami. Nie mam tylko pojęcia po co...

– Mam tam wszystkie swoje wywiady terapeutyczne.

– Chyba nie płacą ci za nie jeszcze tyle, żeby... – Nie chciałam brzmieć sarkastycznie, więc przerwałam.

Iza złapała mnie wtedy za dłoń i spojrzała mi głęboko w oczy. Ma naprawdę przenikliwy wzrok, którego nigdy pierwsza nie spuszcza.

– Gdyby cokolwiek się działo... – odezwała się poważnym,

stanowczym tonem, jednak zupełnie do niej niepodobnym. – Gdybym kiedyś przez jakiś czas nie wracała do domu, nie odzywała się czy przepadła bez słowa... Zanim cokolwiek zrobisz, schowaj ten laptop. Są tam tajemnice pacjentów, których policja nie może poznać, bo mogłyby również zaszkodzić mnie. – Zaciśnęła swoją dłoń jeszcze mocniej. – Rozumiesz, mamó? Zaszkoziłabyś wtedy przede wszystkim mnie. Proszę, powiedz, że rozumiesz...

Tamta rozmowa dawała nadzieję, że Iza była na wszystko przygotowana. Że przygotowała na to również mnie i w ten symboliczny sposób dawała mi znać, że bym się nie martwiła. To brzmi cholernie pokrętnie. Mimo wszystko musiałam jej zaufać. Jej laptop wylądował wśród moich szpargałów. Te, przynajmniej na razie, policji w ogóle nie interesowały.

GODZINA 9.

No dobrze. Czas skończyć z tymi bzdurami i wziąć się w garść. Spodziewam się, że zaraz wyleci na mnie pęk balonów, a na głowę spadnie mi kolorowe konfetti. Za chwilę zrobi się wam głupio, gdy przeczytacie, że was rozgryzłem. Jestem tylko cholernie ciekaw, jakim wspaniałym świństwem mnie nafaszerowaliście.

Zaraz.

Mam pomysł.

Tamta dziewczyna to moja narzeczona, a ja jestem wkręcany na własnym wieczorze kawalerskim. Pięknie, że nie pamiętam nawet imienia swojej przyszłej żony, ale zapewniam cię, że zaraz, gdy to przeczytasz, zmuszę ich do przeprosin.

Dość tego.

Delikatnie popycham drzwi i nasłuchuję. Uchylają się bez najdrobniejszego jęknięcia zawiasów. Gdyby nie brzęknięcie sprężyny w zamku, wszystko odbyłoby się zupełnie bezszelestnie. Cisza jak makiem zasiał.

Wykonuję automatyczny, najwyraźniej zakodowany w podświadomości ruch. Sięgam do pokrętła i zapalam światło. Nieosłonięta żarówka mruga, po czym wypełnia pomieszczenie ciepłym, żółtym blaskiem.

A jednak nie musiałem korzystać z latarki.

Mrużę oczy i celuję w klawisze telefonu zupełnie na oślep. Po chwili odzyskuję ostrość widzenia. Zerkam jeszcze raz na kartkę z wydrukowanym napisem:

NAMIESZA CI W GŁOWIE. ZDJĘCIE KNEBLA OZNACZA KONIEC GRY.

Niby kto i po co? I w jaką kurewską grę właśnie gramy?

Wypisuję się, bo zwyczajnie nie podobają mi się zasady.

Podnoszę wzrok i...

Jezu...

Nie wiem, co mam napisać. Patrzę na wysoką, zupełnie nagą kobietę z rudymi włosami na głowie i rdzawym puchem tam na dole. Stoi co najwyżej trzy metry ode mnie. Stoi na palcach, bo gruba lina przeciągnięta przez metalowe zbrojenie unosi ją za związane dłonie ku stropowi. Patrzę na jej niewielkie, rozciągnięte piersi. Na poruszające się spazmatycznie zebra, które bez problemu mógłbym policzyć. Dziewczyna ma długą szyję, ale podbródek przyciska do obojczyka. Tylko w takiej pozycji może łapać oddech.

Spogląda na mnie, z trudem rozwierając powieki. Zdaje się, że jej oczy są ciemne, ale to może być kwestia ich ogólnego przekrwienia. Białka są poprzecinane żyłkami czerwonych pęknięć, a powieki obrzmiałe i podkrążone. Mój Boże...

Patrzę na usianą piegami, pochyloną twarz i staram się sobie cokolwiek przypomnieć.

Izabel.

Nic, ale to absolutnie nic mi to nie mówi. Moja narzeczona? Dziwka, którą wynajęto do udziału w jakiejś idiotycznej zabawie?

Izabel ma w ustach knebel i choć stara się coś powiedzieć, jej słowa zamieniają się w niezrozumiałe mamrotanie. Czarna kulka zamontowana na skórzanych paskach oplatających jej głowę dobrze spełnia swoje zadanie. Z ust kobiety na podłogę kapie ślina. Przyglądam się naprężonym mięśniom jej łydek, wiodę wzrok ku górze, ale umyślnie omijam łono i piersi, spoglądam dopiero na wyciągnięte drobne bicepsy.

To obłąd.

Muszę ją uwolnić.

Podchodzę do niej i uspokajająco gładzę jej policzek. Czuję delikatną gorzką woń kału oraz kwaśny aromat moczu. Zapachy, które kojarzą mi się z kocia kuwetą, a nie z piękną dziewczyną. Choć jest w nich coś tak sztucznego, że aż rozglądam się za jakimś aromatyzерem. Ale przecież nikt nie robi odświeżaczy powietrza

o zapachu gówna.

Lecz jeśli to tylko gra...

Jeśli...

– Zaraz cię uwolnię – szepczę zdenerwowany. – Nie bój się, zaraz cię, do cholery, uwolnię.

Jednoczesne pisanie i mówienie nie tylko jest trudne, lecz przede wszystkim wydaje mi się, że ją przeraża. Ciężko dyszy i stara się odsunąć jak najdalej. Łka. Panicznie napręża łydki, jakby osuwał się pod nią grunt. Cholera. Muszę się spieszyć. Jeszcze chwila i się udusi. Pieprzę tę komórkę.

Przez kilka sekund schowany do kieszeni telefon autentycznie mnie palił. Na szczęście sytuacja już jest opanowana. Udało mi się rozpleść gruby węzeł i opuścić Izabel na ziemię. Nie mam jednak pojęcia, jak zdjąć łańcuch z jej kostki. Jest zakończony czymś przypominającym kajdanki, lecz nigdzie nie widzę dziurki na klucz. Nie kojarzę też, żebym miał jakiś inny niż do tego pomieszczenia.

Kobieta siedzi w kucki i stara się uspokoić oddech. Okropnie kaszle. Co chwilę rzezi i charczy, w czym przeszkadza jej knebel. Ten również jest szczelnie owiązany. Jeden ze skórzanych pasów biegnie pod jej podbródkiem. Nie widziałem tego wcześniej. Powinienem natychmiast go rozpiąć.

NAMIESZA CI W GŁOWIE. ZDJĘCIE KNEBLA OZNACZA KONIEC GRY.

Dostrzegam napis na leżącej na podłodze kartce. Nawet nie wiem, kiedy ją wyrzuciłem.

– Zaraz ci to zdejmę.

Podchodzę do niej i się nachylam. Wdycham duszny zapach unoszący się nad jej ciałem. Te gęste, ogniste włosy powinny pachnąć pięknym kwiatowym szamponem.

Na górze coś zabrzęczało. Albo tylko się przesłyszałem.

Wyteżam słuch. Izabel, wciąż kaszląc, podnosi głowę i spogląda na mnie spojrzeniem pełnym nadziei. A może jest ono skierowane całkiem gdzieś indziej? Nagle z całych sił stara się krzyczeć, ale plastikowa kulka zamienia to w gardłowy skrzek. Znowu się dławi.

Jej utkwione we mnie oczy są przerażone.
Kolejny raz słyszę melodyjne brzęczenie.
Boże, już wszystko rozumiem.
Do drzwi pewnie dobija się policja.

GABRIELA KRAUS

– Policja już u nas była. Tak nam przykro, ale wszystko powiedzieliśmy... Nie mamy pojęcia, kiedy ostatnio widzieliśmy Izę. Cały czas o tym rozmawiamy, proszę mi wierzyć, ale ostatnio jesteśmy bardzo zapracowani i chyba...

Wysoka blondynka z napompowanymi ustami wydaje się naprawdę poruszona. Bezradnie międli dłońmi i co chwilę wzdycha. Zza jej pleców wygląda łysiejący mężczyzna, a z głębi domu dobiega wrzask dziecka.

Nie pamiętam ich nazwiska. Mieszkają trzy domy ode mnie, wprowadzili się jakieś sześć lat temu, ale być może nigdy nawet ich nie poznałam. Jasne, na uliczkach naszej zamkniętej enklawy wszyscy są dla siebie mili. Mówimy sobie „dzień dobry” i się kłaniamy. Nie wybuchła tu żadna porządniejsza sąsiedzka awantura. Poza tą jedną, gdy kiedyś wiatr zawiał komuś nad murem żar z grilla i powypalał dziurki w elewacji. Ale to było dobrych parę lat temu.

– Naprawdę mi przykro. – Blondynka wymownie cmoka i kładzie dłoń na klamce. Chce wrócić do swojego szczęśliwego świata. Widzę, że robi wszystko, by moje problemy zostały za drzwiami. – Gdyby cokolwiek się nam przypomniało...

Już jej nie słucham. Wycofuję się kamienną ścieżką i staram się nie wbić laski między ostre krawędzie. Dżin, który wypiłam, nie pomaga w chodzeniu. Telepiące się nogi i stres też nie. Wyglądam pewnie jak karykatura kreskówkowego nieszczęścia, ale nic sobie z tego nie robię. Nie zapięłam nawet sprzączek sandałów, więc teraz co chwilę zgrzytają o podłoże. Mam to gdzieś.

Na wierzch zarzuciłam cienki sweterek i przebrałam się w obcisłe

dżinsy. Mimo że podkreślają mój pajęczy, krzywy chód, to leżały na wierzchu. Nie wiem, jakim cudem. Nie włożyłam ich, odkąd Elwira nagrała filmik uświadamiający, że wyglądam w nich naprawdę kiepsko. „Hanianomakeup”. Chyba przez miesiąc jak nastolatka droczyła się ze mną, że wrzuci go do internetu, wreszcie, przekupiona drinkiem, zgodziła się go skasować.

– Słucham?

Szorstki głos z domofonu przywołuje mnie do rzeczywistości. Stoję przed bramą rezydencji z jednym z największych basenów. Widzę, że na jego taflę zebrała się warstwa żółtych igieł i brudny kożuch. Wszyscy w okolicy mieli z tym syfem cholerny problem. Wiatr nawiewa mnóstwo świństwa z sosnowego zagajnika, odgradzającego osiedle od plaży.

– Dzień dobry – mówię, starając opanować drżenie głosu. – Nazywam się Gabriela Kraus, jestem matką Izy. Moja córka...

– Tak, wiem.

– Czy mogłabym z panem porozmawiać?

– Już rozmawiałem z cholerną policją. – Szorstki głos jest z każdym wyrazem coraz bardziej nieprzyjemny. Nie potrafię go przypisać do konkretnej twarzy, zdaje się, że w tej rezydencji często zmieniali się właściciele. – Właśnie dlatego nasza córka miała zakaz zadawania się z...

Głos się zniekształca, jakby mężczyzna nakrył dłonią mikrofon. Mówi chyba coś do kogoś innego, a chwilę potem oznajmia swoją obecność sapnięciem.

– Dlaczego? – dopytuję, ledwie trzymając się na nogach.

– Co dlaczego?

– Dlaczego pańska córka miała zakaz zadawania się z moją? – dopowiadam. – Co takiego niby...

– Jestem zajęty. Policja pewnie udostępni pani akta.

Żałosne piknięcie oznajmia, że rozmowa jest już skończona. Bez pożegnania i pocałowań w dupę, za to z mnóstwem domysłów, które pozostały mi w głowie. O co chodziło temu sukinsynowi? Co niby było nie w porządku z moją córką?

Powoli robi się ciemno. Zawsze lubiłam tę porę, gdy wrzaski znad plaży cichły, zrywał się wieczorny szum pojedynczych brzoź, a w górze krążyły mewy. Teraz ich pogodny skrzek doprowadza mnie do furii.

Obeszłam już siedmiu czy ośmiu sąsiadów. Większość w mniej lub bardziej wymowny sposób mnie zbyła. Dranie. Jedyne stara sędzina Gasiewiczowa zaprosiła mnie do środka, poczęstowała kawą i ciasteczkami, a potem wypytała o wszystko od samego początku. Zbierała materiał na plotki. Sama o niczym nie miała pojęcia. Jej mąż przez siedem lat orzekał w Sądzie Najwyższym, mieszkali wtedy głównie w Warszawie, ale odkąd przeszedł w stan spoczynku, ich życie stało się po prostu nudne. Gasiewicz zmarł w zeszłym roku, a Gasiewiczowa została naczelną plotkarą osiedla.

– Jeszcze jeden... – powiedziałam sama do siebie. – Ostatnia pieprzona próba.

Nie mogłam zrezygnować, choć nie miałam pojęcia, czego chcę. Policja na pewno obeszła większość sąsiadów, ale przecież nie wszystkich. W głębi ducha miałam nadzieję, że to właśnie od tych pominiętych dowiem się czegoś ważnego. Poza tym wracanie do domu nie miało sensu. Na wszelki wypadek zostawiłam otwarte drzwi – gdyby Iza zgubiła klucze. Ale, do licha, aż tak naiwna nie jestem.

Furtka kolejnego domu jest lekko przerdzewiała i uchylona. Najwyraźniej nikt od dawna nie oliwił zamka. Trawnik natomiast mógłby z powodzeniem robić za pole golfowe. Idealnej powierzchni nie mać żaden krzak, kretowisko ani nierówność. Wyciągam dłoń do domofonu, ale zaraz ja cofam. W końcu trudniej jest zbyć kogoś w osobistej rozmowie. To jeden z powodów, dla których terapie mailowe przestały być popularne.

Ruszam żwirową ścieżką w stronę niewielkiej werandy. O tej porze słońce upiornie wydłuża cienie, a wiatr robi się coraz zimniejszy. Szczelniej otulam się swetrem. Po chwili wsłuchuję się w brzęczenie dzwonka po drugiej stronie solidnych drzwi. Poza nim z wnętrza nie dobiega żaden odgłos.

Nie odpuszczę tak łatwo.

Dzwonię raz jeszcze.

Nagle drzwi się otwierają i przede mną staje smukły mężczyzna. W wyciągniętej dłoni trzyma telefon. Nie odzywa się nawet słowem, tylko wciąż patrzy na jego ekran.

GODZINA 10.

W progu stoi kobieta. Ma pewnie czterdzieści parę lat, ale jest bardzo zadbana. Jak większość w tej okolicy – przychodzi mi do głowy, choć wcale nie jestem tego pewny. Co prawda, ma lekko potargane włosy i zapuchnięte oczy, lecz...

– Dzień dobry panu. – Przygląda mi się zbyt czujnie. – Zna się pan chyba z moją córką, prawda?

To pytanie sprawdzające? Nie wiem, po co otworzyłem te cholerne drzwi. Zdaje się, że tylko po to, by uciąć ewentualne podejrzenia i się pokazać.

– Z pani córką?

– No, z Izą...

I wszystko jasne. Już rozumiem, kim jest jej córka. Ale nie mam pojęcia, czy się znamy ani – jakie łączą nas relacje. Co chwilę wzdłuż kręgosłupa spływa mi lodowaty dreszcz.

– Przynajmniej z widzenia. – Uśmiechem staram się pokryć niepewność. Równie dobrze mogliśmy być najlepszymi przyjaciółmi.

– Domyślam się, że policja już z panem rozmawiała... – Kobieta zawiesza głos.

Tego nie pamiętam. Ale chyba nie. Mam nadzieję, że nie.

– W jakiej sprawie? – dopytuję grzecznie.

Odrywam na chwilę wzrok od telefonu i patrzę na tę kobietę. Ma schludny strój, rozpadające się sandały i kretyńską laskę. Mimo wszystko wygląda całkiem seksownie.

– Iza zaginęła – odpowiada po chwili wahania.

– Zaginęła?

– Nie wróciła do domu. Od dwóch dni nie mam z nią żadnego kontaktu. I zostawiła mi dziwną wiadomość... – Pociąga nosem. –

Co pan tam cały czas robi? Proszę poświęcić mi dwie minuty!

Obracam telefon tak, by nie widziała ekranu. W tej pozycji pisanie jest jeszcze trudniejsze.

– Właśnie prowadzę ważną konferencję...

– Nie chciałabym panu przeszkadzać. Proszę mnie tylko, do cholery, zrozumieć. Może widział ją pan akurat...

– Nie pamiętam, kiedy ją ostatnio widziałem – odpowiadam natychmiast. – Byłem przez kilka dni chory. Poza tym dużo pracowałem. Naprawdę dużo pracuję... Przykro mi.

Cofam się o krok i przymykam drzwi. Matka Izabel wciąż stoi w progu. Jak ona się, do diabła, nazywa?

Naciąga na ramiona sweter i spuszcza głowę. Płacze. Słyszę, jak łka ze wzrokiem wbitym w podłogę werandy. Może liczy na to, że zaproszę ją do środka? Chce tu węszyć? Rozejrzeć się? Wlaz do piwnicy zamknąłem bardzo szczelnie, a styropian wygłusza większość dźwięków. Mimo to wolę nie ryzykować. Muszę się jej pozbyć.

Przymykam drzwi jeszcze mocniej. Prawie uderzam ją w stopę. Dopiero teraz widzę, że sandały wcale nie są zniszczone, lecz rozpięte. Kobieta ma ładne, długie nogi, choć lewą nieco krzywi, starając się przenieść ciężar na laskę. Jest w tym coś uroczego.

– Przepraszam... – Dotykam drzwiami jej dużego palca. – Jestem bardzo zajęty.

Drga. Ociera pospiesznie twarz dłońmi i wbija we mnie zaciekawione spojrzenie. Staram się jak najwięcej pisać, nie patrząc w ekran, ale to cholernie niewygodne. Poza tym nie wiem nawet, czy nie kasuję tekstu.

– Naprawdę nie pamięta pan, kiedy ją widział? Proszę spróbować sobie przypomnieć.

Błaga. Jest coś podobnego w spojrzeniu jej i Izabel. Ta sama rezygnacja oraz uległość. Ta sama błagalna pustka.

– Może tydzień temu? – strzelam. – Chyba gdzieś obok domu... Zdaje się, że nawet mnie nie zobaczyła.

– A później? Może o czymś z panem rozmawiała? – Spogląda na

mnie czujniej. Musiałem popełnić jakiś błąd. – Przecież utrzymywaliście ze sobą kontakt... Pokłóciliście się?

– Byliśmy znajomymi.

Kontakt to przecież nie jest przyjaźń. Kobieta również nie zwraca się do mnie jak do potencjalnego byłego córki, więc tę koncepcję automatycznie odrzucam. Znajomi. To dość oględne.

– I nie rozmawialiście? Nie pisaliście ostatnio na Facebooku czy gdzieś?

– Raczej sporadycznie. Nie w ostatnich dniach.

– Nie wydawała się panu nieswoja? – dopytuje rozpaczliwie. – Dziwna?

Widać, że chwyta się każdego okrucha nadziei. Rezygnacja pozbawiła ją godności i każe blokować drzwi stopą. Kobieta nie zwraca uwagi na łzy spływające ku kształtnym wargom z jej opuchniętych oczu. Nie przeszkadza jej, że poły swetra się rozchyliły, a koszulka odsłania koronkę stanika.

– Nie zwróciłem na nic takiego uwagi – szepczę, wciąż patrząc na jej biust.

Jednocześnie jest mi piekielnie duszno. Przetrzymuję w piwnicy córkę tej kobiety i staram się rozmawiać jakby nigdy nic. Muszą mieszkać gdzieś niedaleko, a to zły znak. Uprowadziłem Izę, bo się zakochałem? Wpadła mi w oko? A może chodzi o coś zupełnie innego, czego – tak jak tego całego gówna – nie jestem w stanie zrozumieć? Może prowadzimy jakąś seksualną zabawę, tylko zapomnieliśmy poinformować bliskich?

– Przepraszam...

Dziwne, ile przeprosin pojawia się w naszej rozmowie. Teraz kobieta się cofa i powoli odwraca. Rzuca mi jeszcze jedno ukradkowe spojrzenie, akurat w momencie, gdy zapala się automatyczna lampa. W jej intensywnym świetle matka Izabel wydaje się znacznie starsza niż dotąd. Zmarszczki na jej czole i przy ustach się pogłębiają. Do tego jest naprawdę opuchnięta od płaczu. Jak balon z koszmarnego festynu.

– Do widzenia – mamrocę, zamykając drzwi. – Mam nadzieję, że

Iza szybko się odnajdzie.

O mały włos nie nazywam jej Izabel.

GABRIELA KRAUS

Dżin schodzi ze mnie coraz szybciej i wieczorny chłód zaczyna telepać moim ciałem. Stres zawsze sprawia, że temperatura spada o kilka stopni. Czuję, że Mikołaj Popławski odprowadza mnie wzrokiem, ale się nie odwracam. Jest w nim coś przerażającego.

Nigdy wcześniej nie byłam u niego w domu. Nigdy nie stałam nawet na jego werandzie, a nasze rozmowy ograniczały się do lakonicznych przywitań lub kurtuazyjnych pytań o pogodę. „Ładnie dziś, prawda?” „Tak, dzień w sam raz na plażowanie”.

Wiem, że znali się z Izą, a jakiś czas temu podejrzewałam nawet, że łączy ich coś więcej. Jednak moja córka zawsze trzymała swoich chłopaków z daleka ode mnie. Byli tematem tabu, który – mimo naszych poprawionych relacji – nigdy nie bywał poruszony. Zresztą z wzajemnością. Dlatego przedstawienie jej Macieja traktowałam jako niecodzienne wyzwanie. Aberracją świadczącą o powadze sytuacji.

Drzwi zamykają się z cichym kliknięciem w momencie, gdy dochodzę do furtki. Jest już prawie noc i zapalono osiedlowe latarnie. O tej porze zapach grillów miesza się z mdłym aromatem hotelowych kuchni. Tuż obok Baltic Resort wznoszą się dwa molochy. Zanim powstały, odbyła się paroletnia batalia sądowa o ich wpływ na środowisko, na osiedle i, jakżeby inaczej, na wartość nieruchomości. Mimo że sąd powiedział trzy razy „tak”, a raczej „w każdym z tych trzech aspektów budowa hoteli ma wydźwięk pejoratywny”, to inwestycji nie wstrzymano. Wielkie sieci miały swoje sposoby na obejście prawa.

Wychodzę na główną uliczkę i nie wiem, w którą stronę powinnam iść. Skoro policja nie dotarła do tego domu, znaczy, że

rozmawiała tylko z najbliższymi sąsiadami. Gliniarze nie chcieli się przeprocowywać.

Właśnie mija mnie dwuosobowy patrol. Mam ochotę ich zwyzywać. Co im da włóczenie się po zamkniętym osiedlu, na którym prawie wszyscy się kojarzą? To chyba pokazówka zrobiona specjalnie dla mnie. Nie wiem tylko, czemu miałyby służyć. Temu, żebym nie poszła do mediów? Żebym nie obsmarowała pary na wskroś nieporadnych śledczych?

Iza, kochanie, gdzie jesteś?

Siadam na krawężniku, a laskę kładę na udach. Przede mną w zwolnionym tempie przejeżdżają Nowalicy. Mają nowy, wielki SUV z lampami mocniejszymi niż latarnie morskie. Do przedniej szyby pasażera przytknięty jest plaskaty nosek tej tępej krowy. Tylne pewnie aż ściekają smarkami ich głupkowatych bachorów, ale, oczywiście, ta wersja auta ma je przyciemnione. Po chwili rozlega się pikanie otwieranej bramy. Ułamek sekundy później samochód wtacza się na podjazd.

Słyszę śmiechy, brzękanie talerzy i zawodzenie jakiegoś dzieciaka. Ktoś bardzo głośno ogląda film. Wiatr od morza nasila się, a rosnące wzdłuż uliczki brzozy przyjemnie szumią.

Usypiająco.

Gdzie się podziałaś, kochanie?

Głowa opada mi na piersi i dopiero teraz dostrzegam, że mam kompletnie porozciąganą bluzkę. Odśłania prawie do połowy miseczki stanika, a do tego zsunęła mi się z ramienia. Poprawiam sweter, ramiączko i zastygam w bezruchu.

Po co to wszystko?

Po co miałabym dbać o wygląd, o jakąś pieprzoną bluzkę, jeżeli Iza teraz cierpi. Podświadomie czuję, że cierpi, i robi mi się przez to niedobrze. Intensywnie przetykam ślinę. To najlepszy sposób, jaki znam, aby powstrzymać wymioty.

– Mogę w czymś pomóc?

Elegancki, stary mężczyzna z pozbawionym wnętrzości chartem zatrzymuje się tuż obok.

- Nie trzeba, panie doktorze. Wszystko gra.
- Słyszałem, że pani córka...
- Wszystko gra – powtarzam cierpko.

Doktor Juliusz Hessel pochyla się nade mną i kładzie mi dłoń na ramieniu. Ogromny chart chce iść dalej, ale on ściąga smycz. Podnoszę głowę, lecz w świetle latarni ledwie widzę zarysy poczciwej twarzy staruszka. To chyba przez łzy. Hessel ma prawie osiemdziesiąt lat i jest emerytowanym ordynatorem oddziału ginekologicznego. Pewnie tego nie pamięta, ale to u niego leżałam, gdy podejrzewano u mnie „pewne poważne problemy z drogami rodnymi”.

Wystarczy, że ja pamiętam.

Hessel puszcza moje ramię i stara się uśmiechnąć.

– Tuta, do nogi! – Po raz kolejny przyciąga nadpobudliwego charta, a ten skacze jak opętany. – Chodź tu, urwisie, przycupniemy na chwilę.

Siada tuż obok mnie i bez słowa spogląda w niebo. Chart liże mnie po twarzy.

GODZINA 11.

Przechodzę do kolejnego pomieszczenia, żeby upewnić się, czy matka Izabel na pewno opuszcza posesję. Obserwuję, jak zamyka za sobą furtkę i znika za załomem muru.

Mogę odetchnąć.

Mam czas na uporządkowanie myśli.

Muszę tylko zebrać się do kupy i ogarnąć cały ten burdel. Pamiętam film, w którym główny bohater, paskudny typ, codziennie budził się wyprany ze wspomnień. Jego dom przypominał najdziksze śmietnisko. Wszędzie poniewierały się karteczki z notatkami, a ja zachodziłem w głowę, jakim cudem dzień w dzień je wszystkie odczytywał.

Boże. Sam teraz nie mam o tym bladego pojęcia. Notatki, które czytałem, robią mi jedynie z mózgu shake. Wstrząśnięty i zmieszany.

Ale pisanie mnie uspokaja.

Może właśnie stąd wynika ten imperatyw?

Znam ładne słowa, lubię pisać, zdaje się, że wyrosłem na naprawdę porządnego człowieka. Ktoś mógłby się zdziwić, ale przecież....

Znowu zaczynam klawiaturowy słowotok tylko po to, by zagłuszyć myśli. Dalej nie mam bladego pojęcia, dlaczego się tu znalazłem, kim jest Izabel i kim właściwie jestem ja sam. Mam ochotę roznieść ten pieprzony, schludny dom na strzępy. Z wszystkich sił staram się sobie coś przypomnieć.

Nic.

Nie mam nawet żadnego mglistego wspomnienia. Żadnego wypadku, zastrzyku ani drinka. Choć zdaje się, że byłem ostatnio

w jakimś barze z paczką znajomych. Bardziej niż rozmowy czy wnętrza pamiętam zapach piwa, spalonego oleju i frytek.

„...nalej. Hej, ho, kielichy wznieśmy...”

Ludzie śpiewali tę szantę, a ja się jedynie przysłuchiwałem. I tyle. Poza tym wspomnienia całkowicie się rozmywają. Chciałbym zobaczyć pojedyncze twarze, lecz są tylko jasnymi plamami na ciemnym tle.

Czy matka Izabel o coś mnie podejrzewa? Ta natrętna wątpliwość trąca mnie co chwilę jak wygłodniały pies. Z pewnością wiem, że nie wybieram się ani do paki, ani do pokoju bez klamek. Co to, to nie. Żeby być przekonanym do takich rzeczy, najwidoczniej nie trzeba wiedzieć o sobie zbyt wiele.

Nie trzeba pamiętać.

Odrywam wzrok od ogrodu i zawracam w głąb domu. Nie jestem pewny, w którą stronę mam iść, żeby dotrzeć do kuchni. To nieważne. Poznaje te zakątki. Korytarz ma ze trzy i pół metra wysokości, hol – z osiem lub dziesięć. Kryje go dopiero kopuła dachu, którego szczyt jest częściowo przeszklony. Widzę kawałek wieczornego nieba. Lada moment zajdzie słońce, a bordowo-granatowe chmury przegna wzmagający się wiatr. Co pojawi się na ich miejscu?

„Ojcie nasz, któryś jest w niebie...”

Do kuchni nie ma drzwi. Zamiast nich jest szerokie, łukowate przejście z pomieszczenia, które chyba robi za jadalnię. Spory stół, jasne, prowansalskie meble i monochromatyczna weduta na ścianie. Chciałbym się jej przyjrzeć, lecz w jednej chwili głodnieję tak mocno, że żołądek kurczy mi się do wielkości fistaszka.

Jest mi do tego niedobrze. To kurewsko skomplikowane uczucie.

Osiemdziesiąt dziewięć procent.

Odruchowo patrzę na wskaźnik baterii i zastanawiam się, czy nie powinienem korzystać z trybu energooszczędnego. W takim tempie robienia notatek komórka będzie się rozładowywać co parę godzin. A tego za wszelką cenę chcę uniknąć. Gdyby mi padła, a nie miałbym dostępu do innego urządzenia, to...

No właśnie. Co? Za cholereę nie wiem, lecz podświadomie czuję, że nie chcę tego sprawdzać.

Wchodzę do kuchni. To kawał pomieszczenia z blatem powierzchni roboczej w kształcie litery L, designerską wysepką i dwuskrzydłową lodówką. Jestem złany potem, a głód zasysa mi przełyk. Kiedy ostatnio jadłem?

Kiedy ostatnio dawałem jeść Izabel? Jest kilka metrów pode mną, a ja robię wszystko, żeby o tym teraz nie myśleć. Ostrożnie obchodzę płytki, które są jednocześnie włączem do cholernego piekła. Jej piekła.

Podchodzę do zlewu i moczę lewą dłoń. Tylko ją. Ochlapuję twarz i kark. Muszę sobie radzić, pisząc przez chwilę jedną ręką, ale przynajmniej czuję się nieco lepiej. Zimna woda przywraca mi część zmysłów. Rozbudza, bo jestem dziwnie senny. Jakbym chlał całą noc, a ktoś zerwał mnie nad ranem do roboty. Skąd znam to uczucie?

Nieważne. Jednak mój żołądek czuje się dokładnie tak samo. Do tego skręca go głód.

Dopadam do lodówki i otwieram prawe skrzydło. Bingo! Każda ze szklanych półek dosłownie ugina się od produktów. To cud, że tak cienkie szybki utrzymują ten ciężar. Zawinięte w worki kawały mięsa, wędliny, kiełbasy, cały blok wędzonego sera. Do tego na dole jest szuflada szczelnie wypchana warzywami i owocami, a w drzwiach pręży się rząd piw. Jest nawet szampan.

Wszystko wygląda na nietknięte i dopiero co kupione. Nie ma żadnych resztek, nadkrojonych pomidorów czy pojemników z niedojedzonym obiadem. Gdyby nie pogoda, byłbym przekonany, że straciłem pamięć, przygotowując święta dla sporej rodziny. A potem mając jeszcze w planach poprawiny ze znajomymi.

Zaraz.

Poprawiny.

Może naprawdę chodzi o jakieś pieprzone wesele i zabawę. Może...

Choć przez chwilę nie chcę o tym myśleć. Nie chcę się

zastanawiać, kim jest Izabel, ani – co tutaj robimy. Muszę zaspokoić głód, a jeżeli nadal będę wszystko roztrząsać, nie dam rady nic przełknąć.

Odkręciłem butelkę soku i popijam nim łapczywie gryzione kawały kielbasy. To chyba dziczyzna. Ma zwarte, czerwone mięso ze specyficznym posmakiem lasu. Tak mi się kojarzy. Przeliżam je, starając się skupić jedynie na jedzeniu. Pokrojone w cieniutkie plasterki prosciutto jest cholernie słone. Pomidor był soczysty, a jego sok pobrudził mi dłoń. Muszę ją obetrzeć.

Chwila oderwania się od lodówki wystarcza, żeby wróciły wszystkie pytania. Czuję, że to, co przed chwilą pochłonąłem, cofa mi się do gardła. Na wyszorowanej płycie indukcyjnej widzę zdeformowane odbicie własnej twarzy. Rozpoznaję się, a to już całkiem dobrze. Nie jestem wcale starszy, niż byłem do tego przyzwyczajony. Nie gapię się na faceta w wieku, w jakim powinien teraz być mój ojciec. Poza tym z czaszki nie wystaje mi mózg.

Kurwa. Co ja tu robię? Z czyjej lodówki wyjadam żarcie?

Płyta trzeszczy, kiedy uderzam ją dwukrotnie pięścią, ale nie pęka. Nagły ruch przyprawia mnie o...

Rzyganie z telefonem w ręce to kolejny absurd. Wokół unosi się smród wymiocin, ale przynajmniej zdążyłem do łazienki. Pamiętałem, gdzie jest, i oszczędziłem sobie sprzątnięcia. Brawo. Ukłony.

Spuszczam wodę i patrzę, jak z łoskotem wpada do muszli. Wiruje, obmywa kostkę toaletową o zapachu cholera wie czego i zabarwia się na różowawy kolor. Po co klepię o tych wszystkich szczegółach?

Może pisząc, wysyłam komuś tę relację na bieżąco? To byłoby totalnie popieprzone, ale widzę w tym ukryty sens. Jeżeli na tym polega wasz dowcip, darujcie sobie. Naprawdę czuję się jak wyżęta, brudna szmata. Koniec.

Halo?!

Chcę wiedzieć, kim jestem!

Rozumiecie?!

Po raz kolejny żołądek się mi gotuje. Znów wymiotuję. Patrę na resztki nieprzetrawionej dziczyzny, a z ust ciągną mi się gęste warkocze żółci. Podoba się wam? Świry!

Jndjfsa!

GABRIELA KRAUS

– Tuta to skrót od Tutenchamona. – Hessel wciąż patrzy gdzieś przed siebie. Jego chart położył się na chodniku i co chwilę głośno ziewa. – W dzieciństwie zaczytywałem się książkami o starożytności. Szczególnie fascynował mnie Egipt, wie pani, te wszystkie mumie, piramidy, teorie o ingerencji kosmitów...

Milknie i sięga do kieszeni. Wyciąga paczkę papierosów, stuka w nią palcem, po czym podsuwa mi prosto pod nos.

– Zapali pani?

– Czemu nie?

Temu, że paliłam prawie trzydzieści lat, a rzucenie przypominało odwyk heroinisty. Ze wszystkimi skutkami ubocznymi. W tym momencie jednak nie ma to żadnego znaczenia. Wkładam do ust mocnego marlboro, a doktor odpala mi go benzynową zapalniczką. Zaciągam się, oczekując fali przyjemnego odprężenia. Oczywiście, czuję jedynie smród spalenizny. Przy drugim i trzecim zaciągnięciu również.

– Kiedyś marzyłem o tym, żeby kupić starożytną mumię. – Hessel mówi, nie wyjmując papierosa z ust. Jego srebrzystosiwę wąsy lśnią w świetle latarni. Od ulicy unosi się zapach asfaltu. Miesza się ze śmierdzącą zgnilizną bryzą i dymem. – Oczywiście, nie taką ludzką, ale czasem na zagranicznych aukcjach pojawiają się mumie kotów i sokołów. Egipcscy rolnicy niemal codziennie wykopują je na swoich polach. Potem robią wszystko, żeby wywieźć je za granicę, nim państwo zabierze im znalezisko, nie oferując w zamian żadnego wynagrodzenia.

– To obrzydliwe.

– Słucham?

– Nie wiem, jak można trzymać w domu martwego kota lub ptaka. Nieważne, że jest zawinięty w bandaż i ma trzy tysiące lat.

Mimowolnie podłapuję temat. Chyba właśnie o to doktorowi chodziło, bo delikatnie się uśmiecha. Tuta natomiast położył łeb na łapach i śpi. A Iza? Gdzie jest moja Iza?

– To kwestia perspektywy. – Hessel powoli wypuszcza dym. – Wie pani, ile przemielonych wiewiórek i ptaków ma pani w meblach ze sklejki? Nikt nie sprawdza, czy w dziuplach nie ma gniazd. Nikt nie wyciąga piskląt, nim piły zrobią z wielkich pni sieczkę.

Piskląt? Czy specjalnie poruszył ten temat? Podnoszę się. Staram się oprzeć na lasce, a stary doktor usiłuje mi pomóc. Przez chwilę pewnie przypominamy parę pijanych marynarzy.

Wyrzucam wypalony ledwie do połowy papieros i kopię go w stronę kratki ściekowej. Żar unosi się nad ulicą, a wiatr toczy peta w przeciwną stronę. Dziś los robi mi wyraźnie na złość. Jeszcze chwila, a zacznę filozofować. Skoro płacz nie przyniósł mi nawet chwilowej ulgi, może powinnam zagłębić się w idiotycznych myślach.

No właśnie.

Dlaczego ten stary ramol mówił o pisklętach?

– Dziękuję za papierosa. – Uwalniam rękę z jego opiekuńczego uścisku i ruszam w stronę domu. Naszego domu.

– Gdybym mógł w czymkolwiek pomóc...

Tak, wiem. Już to dzisiaj słyszałam.

Bez pożegnania wlokę się równym jak stół chodnikiem i usiłuję przez chwilę nie myśleć. Po drugiej stronie ulicy idzie wysoka, zgrabna dziewczyna. Zawieszam na niej wzrok, analizuję ubiór, sposób chodzenia, kształt tyłka.

Trybiki wskazują w swoje miejsca i...

Jezu!

Już miałam za nią pokuśtykać, gdy się odwraca i światło pada na jej puciołowatą twarz. To z pewnością nie Iza.

Czuję rozczarowanie, ale zarazem ulgę. Tę drugą nie wiem dlaczego. Albo staram się tak utrzymywać, bo w rzeczywistości

przecież nie dopuszczam myśli, że moja córka zrobiłaby mi tylko potworny dowcip. A teraz, jakby nigdy nic, wróciła do domu.

W mojej kieszeni wibruje telefon. Musi dzwonić już od dłuższego czasu, bo stłumione tony Yesterday Beatlesów to wcale nie początek piosenki.

Opieram się na lasce i wyszarpuję komórkę. Nieznany numer.

– Tak? Słucham? – Głos mi drży. – Halo? To ty, Iza?

Chciałabym.

– Mówi komisarz Libner.

Dupek od teorii o genie samobójców. Moje chwilowe podekscytowanie opada, lecz zaraz zastępuje je strach.

– Co się stało?

– Potrzebuję informacji. Ma pani chwilę?

– Proszę mówić.

Z każdym słowem jestem coraz bardziej zdenerwowana. Muszę oprzeć się o słup latarni, a w głowie mam helikopter. Choć nie za sprawą wypitej wódki.

– W śmietniku na skraju osiedla moi ludzie znaleźli zakiet – mówi komisarz bardzo powoli. – Mógł, oczywiście, należeć do kogokolwiek, ale wolałem się upewnić.

– Domyślam się, do czego pan zmierza. – Jeszcze moment i upadnę. Powinnam usiąść na chodniku, ale pochylenie się oznaczałoby, że zacznę wymiotować. Czuję to. – Jak wygląda?

Libner odchrząkuje. To pewnie kolejne z jego wystudiowanych zachowań.

– Jest zielony. Ma długi pasek ze srebrną klamerką...

– W kształcie zarysu serca... – dopowiadam mechanicznie.

– Zgadza się. – Komisarz wypuszcza powietrze prosto w słuchawkę. Po chwili dodaje uspokajającym tonem: – Wiem, że to dość popularny model, sprzedawany przy bulwarze. Dopiero sprawdzamy ją pod kątem obecności śladów biologicznych.

Izy czy kogoś innego? Chcę zapytać, ale za bardzo się boję. Choć spodziewam się, że zaraz usłyszę odpowiedź.

GODZINA 12.

Obok wpuszczonej w piękny blat umywalki stoi porcelanowy kubeczek z dwiema szczoteczkami do mycia zębów. Czarną i czerwoną. Wymowne. Odżywka do włosów również zastanawia. Podobnie jak dwa kremy, płyn do higieny intymnej oraz damskie perfumy. Use Me. Czy nawet cholerna nazwa perfum musi mieć dla mnie podtekst? Paprocki & Brzozowski, te nazwiska przekonują mnie, że cały świat nie został skrojony po to, by sobie ze mnie zażartować. Że nie wszystko, co mnie otacza, to popieprzona gra. Mistyfikacja.

Choć nadal mam wrażenie, że ktoś bez przerwy czyta to, co wypisuję. Prawda?

Dajcie mi jakiś cholerny znak! Nie wytrzymam tak długo, a chyba nie chcecie mnie znaleźć z pilnikiem do paznokci wbitym w serce. A może wybrałbym gorącą kąpiel i rozprute żyły? Wanna jest całkiem spora, dookoła ciągną się pasy masażerów. Umieranie w trakcie masażu musi być przyjemniejsze od ciągłego stukania w ekran telefonu.

Opakowanie podpasek w szafce nie przekona mnie do sprawdzenia, co mam w majtkach. Zapewniam was, że nie oszaleję tak łatwo. Pieprzcie się.

Przepłukuję usta wyzerającym płynem i wypluwam go do sedesu. Jeszcze raz spuszczam wodę, w której unoszą się resztki jedzenia. Nie czekam, aż wir wessie je do rur. Chyba ta pisanina zaczyna się robić poetycka. Znowu odstawiam ten cały cyrk z myciem dłoni izopropanolem.

Wychodzę na korytarz i odwracam się w stronę holu. Już się zorientowałem, że w tej części domu światła zapalają się

automatycznie. Wystarczy, że fotokomórki kontaktów wykryją ruch. Nie podoba mi się to rozwiązanie. Wolałbym chodzić po ciemku. Być może gdzieś jest urządzenie, które tym wszystkim steruje. Aplikacja w telefonie? Raczej nie w tym. Mimo wszystko muszę zapamiętać, żeby zwrócić na to uwagę. Czuję się jak uczestnik kretyńskiego przedstawienia.

Mam pomachać do któregoś z okien? Ukłonić się?

Obserwujecie mnie w kamerach?

Przetrząsanie domu w poszukiwaniu śladów własnego życia też brzmi poetycko. W sam raz na deski teatru. Tragifarsa. Tragi-kurwa-farsa. Przekleństwa stanowią formę odreagowania, lecz mam wrażenie, że mi nie pasują. Chyba nie mam skłonności do przeklinania. To też muszę zapamiętać, jeżeli miałbym określić, jaki jestem.

Teraz mogę stworzyć siebie od nowa.

Patrzę na te słowa i na literki, które wpisuję w tym okienku. Jeżeli to mam być ja, wiecznie wgapiony w komórkę, wiecznie zapisujący każde kretyństwo, to dziękuję. Serdecznie, kurwa, dziękuję.

Nie. Umyślne przekleństwa aż mi zgrzytają. To nie jestem ja.

Z daleka omijam kuchnię. Wspomnienie zapachu dziczyzny i słodkiego smaku soku pomarańczowego przywołuje mdłości. Zatrzymuję się. Przełykam intensywnie ślinę i staram się uspokoić oddech. Podchodzące do gardła torsje na szczęście mijają.

Schody na górę są szerokie i zakręcają delikatnym łukiem jakieś półtora metra nad podłogą parteru. Wymyślna konstrukcja dodaje wnętrzu lekkości. Mimo wszystko niezbyt mi się podoba. Od dziecka nie przepadałem za industrialnym klimatem. Mimo stylowości zwyczajnie mnie przytłaczał. Mimo pozorów nowatorstwa szybko się opatrywał.

Tyle pamiętam i nie sędzę, żeby w tej kwestii coś mogło się zmienić. Ogólnie jednak wystrój domu oceniam jako całkiem dobry. Jakiś przebłysk wspomnień podpowiada mi, że mieszkam na wybrzeżu. Tylko czym się zajmuję? To chyba kolejne pytanie do

listy bez odpowiedzi. Tyle że już nawet nie pamiętam, gdzie ją prowadziłem. W telefonie? Laptopie?

Czysty bezsens.

Nie jestem pewny, czy chcę sprawdzać, co jest na górze. Dobrze byłoby usiąść na stojącej przy oknie sofie i poczekać, aż wszystko sobie przypomnę. Czterdzieści osiem godzin. Naprawdę mam właśnie tyle czasu na znalezienie wszystkich odpowiedzi? Na tym polega gra?

$48 - 12 = 36$

Trzydzieści sześć. Litery mimo wszystko wyglądają lepiej. Palce mi latają i coraz trudniej mi trafiać we właściwe miejsca. Przekręcam słowa, a elektroniczny algorytm prostuje moje myśli.

Zatrzymuję się przy zdjęciu oprawionym w drewnianą ramkę. Przedstawia dwie osoby całujące się na tle Koloseum. To ja? Kicz i tandeta, lecz sposób kadrowania nie pozwala na rozróżnienie rysów. Ostrość skupiona jest na wielkiej bryle amfiteatru, a stykające się usta i nosy zostały rozmazane. To mogłoby być każdy.

To mogłaby być fotografia wstawiana dla dekoracji w sklepie.

Rozglądam się w poszukiwaniu innych zdjęć, lecz nie znajduję ani jednego. Nad artdecowską, polakierowaną na lśniącą czern komódką wiszą dwa obrazy. Przedstawiają sceny morskie podobne do tych z pokoju, w którym się obudziłem. Po bokach powietrze tną dwa poskręcane poroża. W przejściu do jadalni leży skóra z włosiem jakiegoś zwierzęcia. Dzika?

To zwykle zbiorowisko kurzu.

Opisywanie otoczenia pozwala mi porządkować myśli, lecz wyostrza też wszelkie zmysły. Mam wrażenie, jakbym każdy smak czy zapach odczuwał znacznie mocniej niż zazwyczaj. Tyle że jak jest zazwyczaj?

Szlag...

Słyszę okropny łoskot. Dom się nie trzęsie, raczej utrzymuję równowagę, ale wokół mnie wzmaga się dudnienie. Co jest...?

Światło też pada jakby inaczej. Do tego uruchomił się jakiś

brzęczyk, który przypomina odgłos aktywowanej bomby.

Policyjnych syren.

Albo... alarmu.

Rozumiem, co się dzieje. Masywne rolety przeciwwłamaniowe
pełzną w dół we wszystkich oknach. Wiążą mnie w środku domu.

Na amen.

GABRIELA KRAUS

– Coś jeszcze? – pytam, gdy zamiast mówić o żakiecie, komisarz zaczyna wygłaszać peany na cześć swojego zespołu i rzucać farmazonami o dokładaniu wszelkich starań.

Nie wiem, jakim cudem znalazłam się we własnym ogrodzie. Jeszcze kilka minut temu nie byłabym w stanie zrobić kroku, ale nagle nogi kazały mi iść. Mózg chyba w ten sposób rozładowywał liczbę szturmujących go bodźców.

Zdaję sobie sprawę, że wciąż trzymam telefon przy uchu.

– Właściwie dopiero na dobre się wdrażamy. – Libner mówi sztucznym, oficjalnym tonem. – Przeglądamy monitoring z okolicznych posesji. To tylko kilka taśm, a kamery były skierowane przede wszystkim na teren działek, ale kto wie? Dwie z nich pracują w trybie ruchomym i obejmują fragment ulicy.

– Iza musiała wyjść około osiemnastej. Przedwczoraj – precyzuję po chwili. – Zazwyczaj kierowała się uliczką w stronę plaży, bo przy bulwarze jest najbliższy przystanek.

– Pamiętam. Mam zapisane każde pani słowo.

– Nie chcę, żebyście tracili czas na przeglądanie zbędnego materiału.

– I tak musimy przejrzeć całość.

– Powinnam przekonać ją do jeżdżenia autem. – Siadam na leżaku przed domem i kulę się jak żebrak. Wieczorami często gapiłyśmy się stąd w niebo. Gapimy się. Będziemy się gapić. – Wiem, że zrobiła prawo jazdy, ale nie lubiła prowadzić.

– Musimy ustalić, dokąd chciała się wybrać. Poza tym pani córka nie umówiła żadnych pacjentów na najbliższe dni.

O tym nie miałam pojęcia.

- To potwierdza, że coś planowała?
- Być może. – Libner nie jest jednak przekonany. – Prawdę mówiąc, nie ma ich zbyt wielu, więc równie dobrze to może być zwykły przypadek. Ale ja nie wierzę w przypadki.
- Iza najczęściej prowadzi terapie popołudniami lub wieczorami.
- Właśnie.
- Co „właśnie”?
- Jest jeszcze ten list.

Patrzę na wielkie, ziejące pustką okna domu. W świetle latarni elewacja wydaje się szara i brudna. Jest mi potwornie zimno, ale nie mam siły się podnieść. Do tego przytłacza mnie Ten Cholerny List. Przez cały czas siedzi mi w głowie.

– Zbadaliście już go pod kątem... – Nie wiem, jakiego słowa użyć. – Śladów?

– Jutro będę miał wyniki. Technicy przeglądają również laptop i próbują namierzyć telefon pani córki. Wszystko wskazuje na to, że jest wyłączony, ale mamy swoje sposoby. Naprawdę dajemy z siebie wszystko. Proszę mi wie...

– Jasne.

Rozłączam się i odkładam komórkę na bok. Spoglądam w stronę wynurzającego się znad sosnowego lasku księżyca. A potem opuszczam wzrok ku bramie, w nadziei że zaraz się otworzy. Oczywiście, nic się nie dzieje.

GODZINA 13.

Nigdzie nie mogę znaleźć panelu sterowania systemem antywłamaniowym. Otwieram kolejne okna, lecz za nimi widzę jedynie zwarte płyty metalu. Mogę w nie uderzać, ile chcę. To niczego nie zmieni. Rolety nawet nie drgną. Nikt nie może wejść do środka, ale ja też nie mogę się uwolnić.

To cholerny obłąd.

Główne drzwi są zaryglowane, a wyświetlacz obok pulsuje czerwienią krótkiej informacji: LOCKED. Jakbym tego nie wiedział. Szarpię za klamkę, lecz prędzej ją urwę, niż solidna konstrukcja choćby zadrży. Ten dom jest jak sejf. Pancerny, doskonale zabezpieczony sejf.

Tylko co tak cennego jest w środku?

Do głowy przychodzi mi wyłącznie jedno rozwiązanie. Nie dopuszczam go, nie chcę nawet go tu artykułować, ale kiedy nie pamięta się kawału własnego życia, oszukiwanie się nie jest najlepszym wyjściem. Gapię się w czarno-białe terakotowe płytki, ułożone w schludny wzór. Podobają mi się. Czuję, że właśnie tak mógłbym urządzić kuchnię. Białe szafki i drewniane blaty również są niczego sobie. Zastanawiający jest jedynie ślad szminki na odstawionym w kącie kieliszku. Czy to odbicie ust Izabel? Jest mi mdło, duszno i potrzebuję świeżego powietrza.

Słyszycie? Duszę się, do cholery!

Otworzenie okna nic nie da. Masywne rolety z pewnością utrudniają zrobienie przeciągu, a....

Zaczynam popadać w paranoję. Jeśli jestem chory i zapomniałem o lekach? Jeśli moje życie zależy od jakiegoś zastrzyku, tabletki lub obrzydliwej saszetki rozpuszczalnego proszku?

Kucam przy skraju zamaskowanej klapy, prowadzącej do piwnicy. W myślach liczę do trzech, jednak wiem, że nie mam innego wyjścia. Wszystkich odpowiedzi muszę szukać na dole. To moja jedyna szansa.

Zamiatam dłonią kilka okruchów i wsuwam palec w niewielką szczelinę. Kur... Zapomniałem o złamanym wcześniej paznokciu. Ból jest krótkotrwały, ale cholernie mocny.

Płytkę znowu podważam kluczem. Choć tym razem robię to wyjątkowo ostrożnie, bo gdyby się złamał... Chrzanić to.

Wreszcie klapa odskakuje, odsuwam ją i spoglądam w czerni piwnicy. Nie ma tam automatycznych włączników światła, a to, które pada z kuchni, oświetla jedynie kilka schodków. Ile ich było? Siedem?

Stąпам powoli w dół. Jest tu wyraźnie chłodniej, lecz dreszcze mogą być też reakcją na stres. Wcale nie podoba mi się to, co robię. Zastanawiam się, czy mimo wszystko nie powinienem być bardziej zdenerwowany? Mam wrażenie, że trasę do metalowych drzwi pokonuję niemal na pamięć. Kroki stawiam w tych samych miejscach, w których stawiałem je tysiące razy. Kłódka odskakuje niemal bez mojego udziału. Moja dłoń bezbłędnie ląduje dokładnie na włączniku światła.

– Izabel... Dobrze cię widzieć.

Kobieta siedzi na podłodze. Siedzi na kocu, którego wcześniej nie widziałem. Jednak nie okrywa się nim. Patrzy na mnie wyzywająco, a zza knebla nie dobiega żaden odgłos. Jezu...

Zwłoki.

Przez chwilę miałem wrażenie, że patrzę na zwłoki. Mogła się udusić, wyziębic albo Bóg jeden wie, co jeszcze. To jasne. Musiałem ją umyślnie tu przyprowadzić i skrępować. Założyłem jej ten idiotyczny knebel, a potem starannie pozapinałem paski. Uwięziłem ją.

Być może ukarałem.

Staram się wywołać jakiegokolwiek wspomnienie, odtworzyć tok myślenia lub towarzyszące temu emocje. W tym zakresie mój

umysł przypomina białą kartę. Nie ma nawet mglistych wizji podobnych do tych, które mają w tle bar. Nic. Pustka.

„Hej, ho, kielichy wzniesmy...”

– Jesteś głodna? Chce ci się pić?

Izabel kręci głową. Jej rude włosy przy tym falują i przylepiają się do twarzy. Muszę przyznać, że jest piękna.

– Nie piłaś całą noc.

Skoro sama nie poradziła sobie z kneblem, podejrzewam, że on również jest zapinany na jakąś kłódkę. Albo jeszcze gorzej: na ciąg cyfr, jak niektóre walizki. Kody liczbowe kojarzą mi się z wakacjami, tandetnym kompasem przy ręczce bagażu i hotelowym sejfem. Żadne z tych skojarzeń nie wiąże się z cholernym kneblem.

– Na pewno nie chce ci się pić?

Znowu kręci głową. Jest szczupła, nawet bardzo szczupła, ale ma kształtne piersi. Kiedy ostatnio się im przypatrywałem, miała ciało podwieszane do stropu, a jej mięśnie były napięte. Teraz dostrzegam jej dziewczęcą kształtność.

– Nie bój się.

Unoszę ręce, pokazując, że nic w nich nie chowam. To również robię jakby odruchowo. Podchodzę do Izabel i delikatnie chwytam jej dłoń. Nie jest zimna ani nie drży. Dzisiaj w ogóle nie sprawia wrażenia przerażonej. Posłusznie podnosi rękę, a ja zerkam na jej pachę. W przeciwieństwie do łona jest wygolona. Ciemne kropki świadczą o tym, że kobieta jest w tej piwnicy nie dłużej niż trzy, cztery dni. Tak mi się przynajmniej zdaje.

Pocieram swój zarost i czuję szorstkość papieru ściernego.

Mogłem jej dać golarzkę albo nawet ogolić ją sam, ale raczej to wykluczam. W zagłębieniu pach widzę też białe resztki dezodorantu lub kremu, co jeszcze bardziej osłabia teorię, że sam zająłem się jej pielęgnacją. W życiu bym o tym nie pomyślał.

Izabel patrzy na mnie, a jej wargi poruszają się na gumowej kuli knebla. Jest w tym coś seksualnego. Coś, co sprawia, że zamiast przerażenia odczuwam podniecenie. Pisząc, prawie nie patrzę

w ekran. Obserwuję jej pełne, nabrzmiące krwią wargi i resztki zaschniętej śliny w kącikach ust.

Choć może to wcale nie ślina?

Izabel jest teraz całkowicie uległa. Rozchyła ręce i odgina się do tyłu, jakby chciała zaraz zrobić mostek. Wypycha do przodu piersi, brzuch, łono. Czuję jej zapach. Nie ma w nim śladu po woni moczu ani odchodów.

Pachnie seksualnie i świeżo.

– Chcesz mnie uwieść?

Wiem, że większość uprowadzonych kobiet robi wszystko, żeby się wkupić w łaski porywaczy. Nic dziwnego. Nie muszę wcale czerpać z doświadczenia, bo to wiedza czysto akademicka. Syndrom sztokholmski, sprawa Patty Hearst, amnestia Clintona, a potem Natascha Kampusch, jakkolwiek się to pisze. Tamte czasy pamiętam całkiem dobrze.

Ale przed pojawieniem się syndromu wzrasta chęć oswobodzenia się. Pewnie gdybym był przez moment nieuważny, Izabel z przyjemnością wbiłaby mi palce w oczy. Albo przywaliła mi w skroń.

A jeżeli to naprawdę gra? Ta myśl wydaje mi się dziwna, lecz może jesteśmy w trakcie jakiejś seksualnej zabawy? BDSM czy jak to się nazywa? Może ona chce, żebym robił z nią wszystko, a czterdzieści osiem godzin to nasz ostatni rekord? To mnie chyba podnieca. Wyciągam dłoń w stronę jej uda, ale nie dotykam jej.

W końcu będę musiał ściągnąć jej knebel, a wtedy iluzja pryśnie. Dowiem się, kim jestem.

Teraz nie jestem na to gotowy i chyba...

Wcale nie chcę.

Sześćdziesiąt jeden procent.

– Nie boisz się mnie?

Kręci głową.

GABRIELA KRAUS

Obudziłam się cała skostniała. Szczękam zębami, a w nosie czuję chłód. Sierpniowy klimat nad polskim morzem przypomina czasem saharyjski. W dzień ogrody pustoszy upał, a nocami ścina je pioruński ziąb. Temperatura na pewno nie przekracza piętnastu stopni. Do tego jest cholernie wilgotno.

Zwlekam się z leżaka i czuję, jakby w lewym kolanie zabrakło mi smaru. Przez chwilę muszę wykonywać minimalne, rozgrzewające ruchy, żeby zrobić choćby krok. Podnoszę telefon i z nadzieją odblokowuję ekran. Nic. Żadnych połączeń.

Jeden esemes.

Szybko wchodzę do skrzynki odbiorczej i ze złością odczytuję nazwę nadawcy. Maciej.

Jak się trzymasz? Nie chcę cię męczyć, ale gdybyś tylko chciała pogadać... Dzwoń o każdej porze. 3maj się!

Najchętniej zadzwoniłabym i powiedziała, żeby wsadził sobie te teksty w dupę. Po chwili przychodzi refleksja, że przecież nie chce źle. Opiekuńczość nie zawsze musi być próbą wkupienia się w czyjeś łaski. A nawet jeżeli, to przecież są na to gorsze sposoby.

I mniej chlubny kontekst.

Kiedy Iza była nastolatką, kilkakrotnie miałam przebłąski matczynej miłości. Chciałam się do niej zbliżyć i dowiedzieć, co się dzieje w jej spieprzonym przeze mnie życiu. Zabierałam ją do drogich restauracji, uroczych kawiarni albo na zakupy. Zawsze kończyło się tak samo. Nie dowiadywałam się niczego, a jedynie uzmysławiałam sobie, jak wielki dzieli nas dystans.

Później przyszedł czas na wypadki do kina albo na piekielnie nudne przedstawienia. Z perspektywy lat wiem, że robiłam to tylko dlatego, że zarówno w kinie, jak i w teatrze mogłam uniknąć rozmowy. Już nie chciałam wiedzieć, co u niej. Po prostu dawałam jej namiastkę spędzanego wspólnie czasu.

Gdy miała siedemnaście lat, wykupiłam nam wspólne wakacje. W firmie zakończyłam właśnie duży projekt, kolejny miał się rozpocząć dopiero za kilkanaście dni, a ja byłam skonana. Jednak decyzja o wyjeździe nie była podyktowana chęcią odpoczynku. U pracoholika, którym wtedy z pewnością byłam, mechanizm jest zupełnie inny.

Pierwszy, prawdziwy urlop od wieków usprawiedliwiałam tym, że jeśli nabiorę sił, potem jeszcze lepiej wykonam czekającą mnie robotę. Brzmi przekonująco, prawda? Pierwszym krokiem do katastrofy było to, że wzięłam telefon. Powinnam zamknąć go w sejfie i wyrzucić kluczyki. Zamiast tego do telefonu dorzuciłam laptop, a na dokładkę nakazałam wszystkim szczerom konsultować ze mną każdą poważniejszą sprawę. Takie słowa z ust szefa oznaczają, że konsultowana będzie zupełnie każda sprawa.

Pierwsze kłopoty pojawiły się już podczas lotu. Cztery godziny spędzone razem w samolocie to mnóstwo czasu. Więcej, niż trwały moje rozmowy z Izą w ciągu ostatnich paru miesięcy. Prawie dwa razy dłużej niż inscenizacja Makbeta. A Makbeta wybrałam tylko dlatego, że jest najkrótszą z tragedii Szekspira.

Dziesięć tysięcy metrów nad ziemią panuje doskonały klimat dla szczerych wyznań. Dowiedziałam się wtedy, że jestem tępą kurwą, zajmującą się tylko pieniędzmi, których nie miałam na co wydawać. Poza tym, zdaniem Izy, byłam naiwna, rozgoryczona i wiecznie niezadowolona.

To tylko te najłagodniejsze inwektywy, ale ze wszystkimi muszę się zgodzić.

Awantura, która wybuchła na pokładzie samolotu, zakończyła się wylanym na mnie drinkiem (dowodem, że jestem też alkoholiczką), rozerwaną bluzką Izy i skupioną na nas uwagą większości

pasażerów. Ostatecznie, po interwencji stewardes, rozsadzono nas jak pokłócone przedszkolaki. Cud, że na końcu zostały wolne miejsca.

Potem było jeszcze gorzej. Zachwalaną w katalogu biura podróży sycylijską plażę widziałam tylko raz. Huk morza i wrzask dzieci nie pozwalały mi się skupić. Do tego między klawisze laptopa ciągle nawiewało piasek. Przez kolejne dni dekowałam się w przynależnym do pokoju ogródku z widokiem na jeden z kilku basenów. Na szczęście był to basen z gorącą wodą termalną, a czterdziestostopniowy upał nie zachęcał do leczniczej kąpieli.

Mogłam się skupić na pracy.

Iza robiła, co chciała, co sprowadzało się do trzymania jak najdalej ode mnie. Miała siedemnaście lat i uważała się za dorosłą. Skoro tak, droga wolna. Przedostatniego dnia wyjazdu zjadłyśmy po raz pierwszy wspólnie śniadanie. Jednak krótka rozmowa zainicjowana moim pytaniem, jakie ma plany względem studiów, nie mogła się dobrze skończyć. Chyba zrobiłam to całkiem umyślnie. Znowu usłyszałam kilka słów na swój temat. Tyle że tym razem nie pozostałam nawet odrobinę dłużna. Dokładnie zapamiętałam ostatnie zdania, jakie wypowiedziałam, gdy Iza, płacząc, opuszczała jadalnię.

„Jesteś pieprzonym leniem, z którego nie będzie żadnego pożytku. Nie licz, że gdy wrócimy, dostaniesz ode mnie choćby złamany grosz, nierobie”.

Tego dnia moja córka po raz pierwszy zniknęła. Zlekceważyła kategoryczny nakaz powrotu do pokoju przed dwudziestą, co w zasadzie mnie nie zdziwiło. Podświadomie obmyślałam szlabany, jakie jej za to nałożę. Dopiero po północy, gdy skończyłam konferencję z szefem jednego z działów, zaczęłam się niepokoić. O drugiej nad ranem zawiadomiłam rezydentkę, a ta – policję.

Rankiem zostałam wezwana do jednego ze szpitali. Karetka przetransportowała do niego kompletnie pijaną i nafaszerowaną wszystkimi możliwymi narkotykami Izę. Tylko cud sprawił, że nikt jej wtedy nie zgwałcił.

Byłam zła na nią, na siebie, a przede wszystkim na to, że ze względu na jej stan nie wrócę na czas do pracy.

Od tamtego dnia wiele się zmieniło, lecz pozostał we mnie spaczony, przesadny szacunek dla prywatności Izy. Teraz, gdy jest całkowicie dorosła i samodzielna, nie mogę jej kontrolować. A przede wszystkim – nie chcę.

To kwestia zaufania.

Dlatego czuję się parszywie, gdy podnoszę klapę jej laptopa i wciskam przycisk uruchamiania. Jeszcze gorzej, kiedy pojawia się okienko z miejscem na hasło. Nie zamierzam niczego wpisywać.

Z ulgą zamykam sprzęt.

DZIEŃ DRUGI

GODZINA 23.

Zerwałem się całkiem skołowany. Zanim uświadomiłem sobie, że metaliczny łoskot to dźwięk podnoszonych antywłamaniowych zasiek, zdążyłem chwycić telefon, zerwać się z sofy i odskoczyć parę metrów w bok.

Serce podeszło mi do gardła.

Zasnąłem w jadalni przy oknie, i przez to dźwięk automatycznie podciąganych rolet tak mnie zaskoczył. Tylko domyślam się dlaczego. Jeżeli to rzeczywiście mój dom, śpię w którejś z sypialni na górze, a tam tego hałasu pewnie zupełnie nie słychać. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że wczoraj nie sprawdziłem, czy również na piętrze okna są tak doskonale zabezpieczone.

Podświadomie wolałem się jednak trzymać od piętra z daleka. Dość niespodzianek jak na jeden dzień. Ale przecież znów wstało słońce...

Zdaje się, że w nocy usunąłem spory fragment własnego życia. Pominąwszy sen – jakieś cztery albo pięć godzin, które spędziłem na beznadziejnym kontemplowaniu rzeczywistości. Zaśnięcie z telefonem w ręku i w trakcie pisania to wyczyn sam w sobie. Zaśnięcie, gdy się nie ma pojęcia, czy w piwnicy trzyma się własną dziewczynę, czy ofiarę porwania, również tego nie ułatwia.

Jaka kara w ogóle grozi za porwanie? Wydaje mi się, że oddzielnie kwalifikuje się również przetrzymywanie, ale nie jestem pewny. Nie ma wątpliwości, że gdyby dorwała mnie policja, poszedłbym siedzieć. A w pace chyba nie przepadają za zwyrodnialcami.

Zwyrodnialec.

Po raz pierwszy pomyślałem o sobie w ten sposób. Czy

maniakalni zabójcy myślą o sobie jako o zwyrodnialcach? Niestety, nasuwa mi się odpowiedź twierdząca. Niestety?

Muszę przyznać, że jestem całkowicie skołowany. Jeżeli kiedykolwiek wrócę do tej notatki, powinienem zapamiętać to odczucie.

Zdaje się, że niektórzy zabójcy chcą zasłużyć na miano najbardziej zwyrodniałych zwyroli. Tyle że żadne z moich wspomnień nie odbiega od normy. A mam ich trochę. Wychowałem się w rodzinie zastępczej. Mimo to nie byłem bity, poniżany ani gwałcony. Nie przypalałem mrówek lupą ani nie wyrywałem seriami kończyn muchom i pająkom. Fakt, że zdarzało się to – czasami. Ale od czasu do czasu robi to chyba każde dziecko. W szkole miałem zawsze zachowanie poprawne, co też można nazwać normą.

Dziewczyny.

Tu pojawia się zgrzyt. Muszę to uporządkować.

Kiedyś miałem spore problemy po tym, jak w podstawówce włożyłem jednej z koleżanek rękę w majtki. Nic nadzwyczajnego. Upewniałem się empirycznie, czy pani od przyrody nie kłamie. Ale to, co wtedy wyczułem, wzmogło jedynie moją ciekawość.

W liceum zostałem przyłapany na podglądaniu koleżanek w przebieralni. Żeby to zrobić, wspiąłem się po rynnie na drugie piętro budynku, w którym mieściły się hala sportowa i szatnie. Skończyło się naganą dyrektora oraz pogadanką ze szkolną pedagożką. Swoją drogą, też całkiem fajną kobitką.

Przez tę aferę rzuciła mnie jednak moja pierwsza poważna dziewczyna. Dominika Jakaś Tam. Nie pamiętam nazwiska. Gdy się dowiedziała o moich akrobacjach, nazwała mnie, to akurat pamiętam doskonale, popierdolonym idiotą. Idiota to ktoś całkiem inny niż świr. Popierdolony idiota to ktoś inny niż zwyrodnialec.

Pisanie o tym wszystkim sprawia mi ulgę. Każde wyrzucone z siebie słowo poprawia mi humor. Czuję się lżejszy i spokojniejszy. Nawet teraz uśmiecham się sam do siebie. To głupie?

Skupienie się na wspomnieniach mogłoby przywrócić mi pamięć.

Mógłbym odświeżyć swoje życie dzień po dniu i katastrofa po katastrofie. Ale patrząc na tę cholerną rezydencję, chyba nie było tak źle?

Forsa to nie wszystko.

Za oknem jest nowy dzień i piękna pogoda. Nie mam jednak zamiaru nigdzie wychodzić. Przeciagam się, rozprostowuję i idę do kuchni. Zaczynam już czuć się lepiej w tym miejscu. Znam rozkład pomieszczeń, kilka zakamarków, poza tym w ciągu dnia nie prześladowuje mnie automatycznie zapalające się światło. To już coś.

Wzdrygam się dopiero wtedy, gdy przechodzę obok kłapy w kuchni. Umyślnie zostawiłem ją lekko odsuniętą, żeby nie musieć podważać jej kluczem. Ani paznokciem.

Jestem głodny. Bezbłędnie trafiam do szafki, w której upchnięty jest chlebak, i wyjmuję dość świeżą ciabattę. Rozkrojenie jej, trzymając nóż w jednej dłoni, jest niemożliwe. Muszę odłożyć telefon.

Na blacie leżą połówki bułki, a w elektrycznym czajniku gotuje się woda. Ciągle myślę o Izabel. O tym, że siedzi tam, dwa metry pod moimi stopami. Nie mogę się skupić na niczym innym, a dzień zaczął się przecież tak pięknie.

Kim jestem? Co mam zrobić, gdy skończą się te zapasy? Forsa to nie wszystko, ale dobrze byłoby wiedzieć, gdzie mam schowaną kartę kredytową albo pod którym dywanem trzymam gotówkę. O tym nie mogę pisać.

Jeżeli mam nie pisać, muszę przestać też myśleć.

Izabel.

Przechodzi mi ochota na śniadanie, na herbatę, na cokolwiek. Zamiast tego dopadam do kibla i błyskawicznie opróżniam jelita. Czuję się załóżnie, ściskając telefon, notując, co robię, i gapiąc się w stronę kuchni. Nie zamknąłem drzwi. Patrzę na klapę.

Wczorajszy dzień pamiętam całkiem dobrze i nie wmówię sobie, że jest inaczej. To, co widziałem w piwnicy, to nie był sen. Wiem, że nie. Czuję się tak, jakbym nie do końca obudził się z koszmaru. Ostatnie kadry jeszcze przywołują jego klimat.

Zostały mi jakieś dwadzieścia cztery godziny, ale kompletnie nie wiem, do czego.

Podcieram się, opuszczam klapę i spuszczam wodę.

GABRIELA KRAUS

W nocy nie zmrużyłam oka. Po dwóch godzinach złamałam się i wróciłam do laptopa Izy. Pierdylion haseł, które przyszyły mi do głowy, nie pasował. Może to i dobrze. Przynajmniej tak sobie powtarzałam za każdym razem, gdy wyświetlał się komunikat kładący mi sprawdzić, czy nie mam włączonego caps locka.

Tępa kurwa.

Może rzeczywiście na pokładzie samolotu Iza miała rację.

Nad ranem naszła mnie cholerna ochota na drinka z wódką, ale się powstrzymałam. Nie mogłam się teraz napić tylko po to, by zasnąć. Naiwnie czekałam, że może o wpół do piątej ktoś do mnie zadzwoni. Nawet, gdyby Iza trafiła do szpitala po dwudniowym maratonie z sex, drugs and rock'n'roll nie miałabym z tym żadnego problemu. Byle tylko mogła wyzdrowieć. Byle płukanie żołądka, detoks i inne medyczne cuda postawiły ją na nogi.

Komórka, oczywiście, pozostała głucha na moje błagania.

O szóstej wypijałam podwójną kawę, a o siódmej wepchnęłam w siebie czerstwy czekoladowy rogalik. Jest mi przez niego ciągle niedobrze. Próbowałam się zmusić do wymiotów, ale nie dałam rady. Palec w gardle nie zadziałał. Nie pozbyłam się rogalika, ale wylała się ze mnie lepka żółć. Choć tyle...

Od godziny ślęczę w jadani i gapię się w okno. Nie wiem, jakie to ma znaczenie, lecz zdaję sobie sprawę, że zajęłam miejsce, w którym wczoraj siedział Maciej. Nie czuję się z tym ani trochę lepiej.

Cykanie kiczowatego, kwarcowego zegara wzorowanego na dawnych zegarach kolejowych przyprawia mnie o szaleństwo. Zresztą już czuję się, jakbym zwariowała, a kolejne sekundy tylko

to pogłębiają. Odruchowo porównuję godzinę z zapiętym na nadgarstku balticusem. Prezent wręczony mi przed paru lat przez zarząd, jak wiele rzeczy w moim życiu, stał się przyczyną natręctwa. Całe szczęście, że automatyczny mechanizm dobrze trzyma czas, bo właśnie skończyłby jako miazga. Później bym tego okropnie żałowała.

Na osiedlowej uliczce trwa godzina szczytu. Kolejne garaże się otwierają, bramy – rozsuwają, a grupa dzieciaków pędzi w kierunku bulwaru albo na plażę. Doktor Hessel idzie drugą stroną ulicy ze swoim chartem. Tutem? Tutą? Nieważne. Zerka w stronę mojego domu, nieświadomy, że obserwuję go zza firanki. Pewnie się zastanawia, czy Iza już się odnalazła. Głupio mi, że wczoraj odeszłam właściwie bez słowa. Chciał ze mną zwyczajnie pogadać, a ja wzięłam do siebie jakieś cholerne słowa o pisklętach.

Mimo to jakoś mi lepiej.

Może to kwestia ranka, bezchmurnego nieba i zapachu morza wciskającego się przez uchylone okno. Dzisiaj nie ma w nim nuty zgniłych ryb. Dzisiaj czuję w nim coś optymistycznego.

Mam wrażenie, że to wszystko może się dobrze skończyć. Naprawdę. Nie jest to pusta nadzieja, a jakieś wewnętrzne przekonanie, podszyte irracjonalnymi teoriami. Nie mogę się oszukiwać.

„Matka wie”.

To najbardziej wyświechtany frazes, jaki słyszałam. Jasne, między matką i dzieckiem często istnieje podświadoma więź, podobna do tej, która łączy bliźnięta. Ale choć w nią wierzę, znam ją tylko ze słyszenia. Tę więź zrywałam zbyt wiele razy, żeby przysługiwał mi jakiś mistyczny dar. Mogłam odzyskać szacunek, wzbudzić nieco miłości, ale pewne relacje są nie do odbudowania. Nigdy.

Znowu zbiera mi się na płacz. Doktor Hessel i Tuta zniknęli za wysokim żywopłotem moich sąsiadów. Zamiast nich ulicą pędzi czerwony kabriolet z młodziutką blondynką za kierownicą. Zastanawiam się, jak niewielu mieszkańców tego osiedla znam

choćby z imienia. Część z nich przyjeżdża tylko w sezonie letnim, ale większość mieszka tu przecież na stałe.

Kto z nich widział Izę jako ostatni?

Punktualnie o wpół do dziewiątej pod moją bramą zatrzymuje się biała furgonetka. Na jej boku jest jakieś logo, ale przysłania mi je rozłożysty perukowiec. Od dwóch lat planuję go ściąć, bo nie widzę, kto podchodzi do furtki. Zastanawianie się nad tym to obsesja. Terapeuta twierdził, że mąż mógł mi zostawić w spadku wiele problemów. Nawet po dwudziestu latach.

Kurier? Specjalna ekipa policji?

Gdy rozlega się dzwonek, od razu chwytam słuchawkę domofonu. Zaciskam na niej palce tak mocno, że plastik aż trzeszczy. Od dawna miałam zainstalować wideofon ze schludnym mikrofonem. Oczywiście, ten projekt podzielił los perukowca.

– Halo?

– Dzień dobry. – Słyszę ciepły, kobiecy głos. – Nazywam się Monika Riter, jestem dziennikarką Radia Nadbałtyckiego. Czy mogłabym...

– Niech mi da pani święty spokój. Rozumie pani? Proszę wypieprzać!

Chcę rzucić słuchawkę na widełki, ale coś mnie powstrzymuje. Może gdyby sprawa trafiła do mediów, zgłosiłby się jakiś świadek? Ktoś, kto widział Izę. Właściciel motelu, w którym wynajęła pokój i zaszyła się na parę dni sam na sam z własnymi myślami. Albo taksówkarz, który wiozł ją na dworzec. Tyle że komisarz prosił, żebym powstrzymała się na razie od jakichkolwiek komentarzy.

No dobra. Pieprzę jego teorie. W końcu wciąż nie zadzwonił.

Kurwa.

Z powrotem przykładam słuchawkę do ucha i przyciskam guzik otwierania furtki.

– Niech pani wejdzie – syczę.

29.08 9:00

@izakiziasmutaska

#lifeisempty #sadbuttrue #jużczas To mój zaplanowany post. Być może ukazuje się w chwili, gdy już nie ma mnie wśród Was. A może jeszcze trochę się męczę. Ciekawi mnie, jakie to uczucie: usłyszeć głos kogoś, kto odszedł. Jedyne, czego żałuję to, że nie przeczytam Waszych komentarzy. Nie odklikujcie mnie jeszcze. Mam ochotę zaplanować parę ostatnich zdań.

Komentarze: 117 57 Udostępnień

Patrycja Krzyska Czy ktoś wie, gdzie można to zgłosić? Na policję? Nie chcę beknąć, jeśli to zwykła ściema.

Ewelina Duda Już dzwoniłam na 112. Mają się tym zająć...

SadHero Żal.pl ;(

Jan Karwowski Jeśli ktoś chce się zabić, czemu robicie z tego takie aj-waj? Jego sprawa.

Ewelina Duda Nie rozumiesz, że to, co tu wypisuje ta dziewczyna, to wołanie o pomoc?

S3ba Lol. To nie wołanie o pomoc, tylko YOLO :D

Ewelina Duda ??

Maria Biczuk-Kot Dzięki Bogu są jeszcze pojedynczy normalni.

@EwelinaDuda pozwalasz odzyskać część wiary w ludzi.

Kościarz Wybieram się tam, gdzie Ty.

[Pokaż następne komentarze]

GODZINA 24.

Doba. Podobno została mi równa doba.

Zegar w gabinecie wskazuje pięć po dwunastej. Co prawda, wolałbym nie powierzyć swojego życia przedmiotowi, który ma z dwieście lat i może się o godzinę spieszyć. Ustawienia komórki ciągle restartują czas do północy. Do czterech pulsujących zer. Przynajmniej tak mi się zdaje.

Nie zwróciłem uwagi, czy w domu są jakieś inne zegary. Przecież coś musi być na płycie kuchennej, mikrofalówce albo piekarniku. Przepastna lodówka też z pewnością została wyposażona w debilny czasomierz. Powinna mieć przynajmniej licznik spalanych kilokalorii. W amerykańskim standardzie wystarczyłaby dla samotnego kawalera z niewielkim psem.

Nie. Nie mam humoru.

Staram się w jakikolwiek sposób oderwać od tego wszystkiego myśli. Gapię się przez okno. Wcale mi nie przeszkadza, że trawnik jest nierówno ścięty, a pasy, zamiast być równoległe, w niektórych miejscach zmieniają się w fale. Co za różnica? Dzięki temu ogród wygląda może nawet bardziej artystycznie? Nie wiem. Nie jestem cholernym artystą.

Przez to, że telefon jest podłączony do ładowarki, mam ograniczone pole manewru. Z pewnością gdzieś trzymam przenośny bank energii, ale nie miałem czasu na poszukiwania. W tym przypadku instynkt nie zadziałał tak sprawnie, jak przy chlebaku. Poza tym w każdym normalnym domu chlebak jest na blacie lub w szafce obok lodówki. To taka reguła jak to, że kosz na śmieci trzyma się pod zlewem.

Z ładowarką lub bankiem energii jest natomiast problem. Tę

pierwszą znalazłem na szklanym stoliku w jadalni. Ale często zostawia się je wpięte do gniazdek, zakopane w pościeli, wsunięte pod łóżko albo rzucone w najbliższy kąt. Zdaje mi się, że właśnie tak to wygląda.

Zdaje. Mi. Się.

Jak długo jeszcze będę tworzył te opowiadania dla siebie? Z tego, co napisałem, przeczytałem ledwie parę stron. A stukam kolejne litery jak opętany.

To może być choroba psychiczna. Z czubkami jest podobnie jak z psychopatycznymi zabójcami, o ile w ogóle warto rozróżniać jednych od drugich. Wracając do sedna, wielu czubków zdaje sobie sprawę z własnego wariactwa. Starają się nawet z nim walczyć, lecz wciąż przegrywają.

Wiem, coś o tym.

Jakieś pół godziny temu starałem się odłożyć telefon i nie patrzeć na ekran. Odwróciłem się. Byłem o krok od wrzucenia go do sedesu i spuszczenia wody. Wyobrażałem to sobie, a przede wszystkim – starałem się delektować wolnością. Tym, że wreszcie nie muszę wszystkiego zapisywać.

Po kilkudziesięciu sekundach dopadł mnie niepokój. Po minucie lub półtorej byłem cały zlany potem, a problem komórki stał się równie istotny jak kwestia Izabeli. Na razie jednak dość o niej. Muszę ją wybić sobie z głowy. Muszę to przetrawić. Może za dwadzieścia cztery godziny...

W każdym razie po jakichś dwóch minutach cierpienie psychiczne przekształciło się w autentyczny ból całego ciała. Wszystko skupiało się w głowie. Miałem ochotę tłuc nią o muszlę sedesu, o ścianę, o cokolwiek. Byle tylko to się skończyło.

Nie wytrzymałem. Sięgnąłem po telefon i znowu zacząłem pisać.

Opisując to wszystko, staram się zrozumieć mechanizm, ale już wiem, że taka terapia nic nie pomoże. Niezmiennie muszę pisać. I tyle.

Tak samo jak pustym zastanawianiem się nie odpowiem na żadne z pytań. Nie dowiem się, kim jest Izabel.

Odrywam wzrok od okna i włączam zawieszony na wysięgniku telewizor. Ten w jadalni jest sporo mniejszy od drugiego, który widziałem w salonie. A mimo to i tak ma co najmniej czterdzieści siedem cali.

Przeskakuję pospiesznie kanały. Zatrzymuję się jedynie na informacjach.

Zaraz. Pokazują właśnie godzinę. Na miniaturce kuli ziemskiej wyświetla się dziewiąta szesnaście. To by się zgadzało. W tyle głowy pojawiają się jednak paranoiczne myśli. Co, jeśli nagranie jest spreparowane? Jeżeli oglądam materiał sprzed paru dni? Sprzed tygodnia albo miesiąca? Prezenterka ma letnią sukienkę i ponurym tonem mówi o liczbie utonięć w Bałtyku. Coroczna sezonowa tragedia.

Przełączam na kolejny kanał informacyjny. Zamiast godziny przez ekran przewija się pasek z najnowszymi wydarzeniami. Niby najnowszymi.

Kompromitujące rząd nagranie okazało się spreparowane. Premier odrzuca oskarżenia o postużenie się służbami w celu zdyskredytowania dziennikarzy. Berlin. Nadzwyczajna wakacyjna sesja Bundestagu i krytyka Polski. Trybunał Konstytucyjny zajmie się sprawą regulacji dotyczących rybołówstwa.

Ani słowa o Izabel. Ani słowa o zaginięciu pięknej, niewinnej dziewczyny.

To mnie nieco uspokaja. Coraz bardziej wierzę, że gramy ze sobą jedynie w jakąś grę. Tak jest? Czytasz to?

Jeżeli jesteśmy parą, Iza musi wiedzieć, że z moją pamięcią jest jak z serem szwajcarskim. Albo raczej jak z książką, z której wyrwano ostatnie strony. Mogę zapomnieć dać jej jeść, pić... Mało tego! Mogę zupełnie zapomnieć o jej istnieniu, o klapie do piwnicy i całym tym syfie. Co by się wtedy stało?

Zdajesz sobie z tego sprawę?

Przeskakuję jeszcze parę kanałów, ale nie znajduję nawet śladu Izabel. W Koszalinie natrafiono na niewybuch z czasów II wojny

i trzeba było ewakuować trzy bloki oraz szkołę, w której nocowali harcerze. W szczecińskiej garmażerze wykryto salmonellę. Tam ewakuowano jedynie cały asortyment, włącznie z mrożonkami.

Dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

Odłączam telefon od ładowarki, którą zostawiam w kontakcie. Lepiej, żeby była widoczna. Na wierzchu. W kontakcie w jadalni – muszę to sobie wbić do głowy.

Naciskam czerwony guzik na pilocie, a telewizor natychmiast gaśnie. Jestem spokojniejszy. Skoro nie są prowadzone poszukiwania na masową skalę, nie zaangażowano jasnowidza i detektywów, którzy większość czasu spędzą na udzielaniu wywiadów, jest nieźle. Właściwie mam dwie podstawowe możliwości.

Albo wcale nie uprowadziłem Izabel i wszystko jest tylko seksualną perwersją....

Albo uprowadziłem ją, ale nikt się jeszcze nie zorientował.

Krok za krokiem idę do kuchni. Muszę zejść do piwnicy i dać jej przynajmniej pić. Muszę zdjąć jej ten knebel. Mijam zastawioną świecami zapachowymi szafkę i wychodzę na korytarz. Liczę płytki, które dzielą mnie od tej jednej, felernej. Dwanaście.

Dwanaście wielkoformatowych płytek układających się w piękny wzór.

Staram się na stawać na krawędziach, choć to nie żadna fobia, a zwykła gra na zwłokę. Z przyjemnością jednak popatrzyłbym na Izabel. Na jej piękne, nagie ciało. Na drobne piegi, niewielkie, lecz kształtne piersi i rdzawy puch między nogami. Kucam przy klapie i...

Słyszę coś.

Albo kogoś.

Tuż obok.

GABRIELA KRAUS

Siedzimy po dwóch stronach stołu, a dodatkowo dzielą nas wielki notatnik i filiżanki parującej kawy. Swojej nie zamierzam nawet tknąć, bo skończyłabym na kiblu albo przed nim. Natomiast Monice Riter wrzątek zdaje się nie przeszkadzać. Łyka go bez wzdrygnięcia.

Jest ładną, bardzo ładną kobietą. Jej twarz szpeci jedynie lekko wysunięty podbródek, choć właściwie może to właśnie on dodaje jej uroku. Ma duże, błękitne oczy, lekko zadarty nos i ładne uszy. W ich małych płatkach lśnią złote kolczyki. Ciemne, prawie czarne włosy zebrała w luźny kok.

– Często się panie kłóciły?

Po kilku oględnych pytaniach nadszedł czas na atak. Żeby zamaskować negatywny wydźwięk tego tematu, dziennikarka delikatnie się uśmiecha. Jakby dodawała: „W końcu wszyscy się czasem kłócimy”.

– Jakie to ma znaczenie?

– Staram się rozgryźć ewentualne motywy zniknięcia Izy.

A więc już są ze sobą na ty. To drobnostka, ale do tej pory mówiłyśmy o „mojej córce”.

– Motywy są nieważne – cedzę, powstrzymując wybuch złości. – Chodzi o to, żeby ludzie się o niej dowiedzieli i pomogli w poszukiwaniach.

– O to proszę się nie martwić.

– Nie pokłóciłyśmy się, zanim zniknęła, jeśli o to pani chodzi.

– Miała chłopaka? Narzeczonego?

Wzrok Riter wędruje w dół, ku notatnikowi. Długopis zastyga tuż nad kartką.

– To również uważam za nieistotne.

– Ale...

– Nie będę z panią rozmawiała na prywatne tematy dotyczące mojej córki.

Dziennikarka powoli wypuszcza powietrze. Nerwowo klika długopisem i zawiesza na mnie chmurne spojrzenie. Widzę, jak kalkuluje, czy powiedzieć to, co gra jej w duszy. Nie jest zła. Nie jest ani trochę nerwowa, a wręcz zupełnie przeciwnie. Wyczuwam z jej strony nutę sympatii. Albo profesjonalnego podejścia.

Sympatia to dziennikarski klucz do przepytanych.

– Proszę pani... – Odkłada długopis na notatnik i splata dłonie. – Od roku pracuję w Radiu Nadbałtyckim i robię to tylko dlatego, że cholernie lubię polskie wybrzeże. – Nie mówi tego z dumą, a raczej z dozą poufałości. – Przez trzy lata pracowałam dla największych wydawców jako dziennikarka śledcza. Pewnie pani o mnie słyszała. Sprawy kryminalne, afery gospodarcze, ostatnio – afera stoczniowa. Domyśla się pani, jak to wygląda. Dlatego skoro zabrałam się do tego materiału, nie przyjechałam tu nagrać lamentu matki i zdobyć dla pani nic niewarte współczucie słuchaczy. Ja naprawdę chcę pomóc.

Staram się nie okazać żadnej reakcji. Prawda jest taka, że w jednej chwili czuję kompletnie nieuzasadniony przypływ nadziei. Oto została ku mnie wyciągnięta kolejna dłoń, która reklamuje się jako zbawca uciemienionych. Tyle że wyczuwam w tym jakąś ułudę. Poza tym nie powinnam dzielić się życiem prywatnym mojej córki z kimkolwiek innym niż z policją. Iza wściekłaby się na mnie za to. Dochodzenie – tak. Medialne pranie brudów – z pewnością nie.

– Proszę już wyjść. – Wstaję i zabieram swoją filiżankę kawy. Na spodeczku została czarna kropla, która musiała spłynąć przy nalewaniu.

– Nie rozumie pani, że mogę pomóc?

– Niby jak? – Szybko przechodzę do kuchni i wylewam kawę do zlewu. – Ma pani dostęp do niewidocznych kamer? A może lepszy węch niż psy policyjne, które zgubiły trop zaraz za bramą? –

Wracam do jadalni i staję przy drzwiach. – Proszę natychmiast wyjść.

Dziennikarka powoli się podnosi. Dopija jeszcze kawę i poprawia włosy. Robi to tylko po to, by zyskać czas. Taksuje mnie wzrokiem.

– Popelnia pani błąd – wzdycha.

– To moja sprawa.

– Nie tylko. Poza tym...

Podchodzę do niej najszybciej, jak potrafię. O dziwo, dziś moja lewa noga ma swój lepszy dzień i przynajmniej po domu mogę się poruszać bez laski. Chwytam Riter za połę marynarki, ale wystarczy, że robi krok w tył, a ja tracę równowagę. Muszę się przytrzymać blatu.

– Pani wybór – fuka i sięga po notes. Wrzuca go do niewielkiej torebki.

Po chwili jej szybkie kroki drwią ze mnie w korytarzu. Odprowadzam ją tylko spojrzeniem, ale ona zatrzymuje się przy drzwiach.

– Dostałam informację, że znalazła pani list. A może to tylko plotka? Nie spodziewam się, żeby chciała się pani do niej ustosunkować?

– Wypieprzaj!

Drzwi zamykają się z cichym kliknięciem.

GODZINA 25.

Nie wiem, czy trafiam w klawisze. Przynajmniej próbuję.

– Nie bój się...

Zgrabna brunetka z haczykowatym nosem i kręconymi włosami stoi w progu kuchni. Unosi dłonie dokładnie w taki sposób, w jaki unosiłem je, podchodząc do Izabel. Od kilku sekund się nie rusza. Czeka na moją reakcję.

– Jestem twoją narzeczoną.

Te słowa mnie paraliżują. Co takiego?!

– Jestem twoją narzeczoną – powtarza.

– Jak się, do cholery, nazywasz?

A jak ja się w ogóle nazywam? Mikołaj Popławski? W to też zaczynam wątpić.

– Amelia.

Świetnie.

To całkowite szaleństwo.

Ma cholernie smutne oczy. Albo może jedynie zmęczone? Dlaczego nie było jej w domu wczoraj i przez całą noc? Telewizor mógł zagłuszyć odgłos otwieranych drzwi, ale...

Podchodzi do mnie i kuca tuż obok. Czuję zapach kwiatowych perfum. Chyba chciała mnie pocałować, ale się rozmyśliła. Odsuwam się, choć nie wiem dlaczego. Działam instynktownie. Niczego już nie rozumiem.

Amelia opuszcza głowę i głośno wypuszcza powietrze. Wreszcie odwraca się gdzieś w stronę okna, a ja patrzę na jej grecki profil. Ma całkowicie odmienną urodę niż Izabel. Więc...

– To pierdolony dzień świra... – szepcze. – Zaraz zaczniesz mnie wypytywać, dlaczego nie było mnie w domu. Potem przejdziemy do

opisu tego, co ci się stało, a jeszcze później wpadniesz w dołek. Nie będziesz się odzywał przez parę godzin i spędzisz je, klepiąc w telefon lub laptop. Gdy wreszcie... – Głos jej się łamie.

Milknie, przełykając ostatnie głoski. Patrzy na mnie przekrwionymi oczami i przygryza usta. Nie odzywam się. Czuję się głupio, wciąż notując, ale nie mogę nic na to poradzić.

Amelia.

Przewinąłem tekst, aby upewnić się, że to jej imię. Amelia w tym czasie siadła na podłodze i oparła się o szafkę. Pociera twarz dłońmi, jakby to miało ją rozbudzić.

– Mieszkamy w tym domu prawie od dwóch lat. Tak, to jest twój dom – mówi bardzo powoli, czekając, aż zapiszę jej słowa. – Ja płacę część rachunków. Jestem lekarzem, właśnie byłam na cholernym podwójnym dyżurze, a ty upierasz się, że nie potrzebujesz nikogo do opieki. Za każdym razem twierdzisz, że za pomocą swoich notatek dasz radę. Oczywiście, nigdy ci to nie wychodzi. Ale jesteś piekielnie uparty i zaczynasz cały cyrk od nowa. Bez końca. Każdego dnia. Amen. Wariacka karuzela, jak sam to czasem nazywasz, zaczyna się kręcić od początku...

Klaszcze, bijąc żalosne brawo chyba nam obojgu. To wszystko naprawdę brzmiało jak wyuczona na pamięć mantra. Ile razy to słyszałem? Zdaje mi się, że nawet mam jakiś przebłysk, ale nie jestem pewny. Amelia już na mnie nie patrzy. Wzrok ma wbity w podłogę, gdzieś za moimi plecami.

– A ten sukinsyn Boston twierdzi, że ci się polepsza. Niby jak?! – Kręci zrezygnowana głową i pociąga nosem.

– Kim jest Boston?

– To twój kumpel i lekarz prowadzący. Może w odwrotnej kolejności. To też przypominam ci co parę dni i powtarzam przy tym, że już ci to przypominałam. Ma na imię Kuba.

– Kuba Walter? – pytam automatycznie. Nic mi nie mówi to imię i nazwisko, a jednak coś w moim mózgu zaskakuje.

Amelia patrzy na mnie z autentycznym zaskoczeniem. Znowu przygryza białymi, idealnie równymi zębami dolną wargę. To

wyraz zainteresowania. Może nawet nadziei.

– Pamiętasz go? – dopytuje, kładąc mi dłoń na kolanie. – Przypomina ci się?

Staram się odszukać w pamięci znajomą twarz. Są tylko te towarzyszące mi w okresie, który całkiem dobrze pamiętam. Czyli dawniejszy niż dwa, trzy lata temu. Mój przebłysk geniuszu okazuje się gównem warty. Dlaczego Kuba Walter miałby mieć ksywkę Boston? To mnie zaciekawia, ale nie zamierzam dopytywać. Szlag by to.

– Przepraszam...

Jest mi naprawdę przykro. Czuję się tak potwornie mały, a jednak nie mogę się schować przed samym sobą.

Do tego wciąż myślę o klapie do piwnicy.

GABRIELA KRAUS

Przed sięgnięciem po wódkę powstrzymują mnie już tylko opary racjonalności. Hasło. Hasło do laptopa Izy staje się moją obsesją. To klucz do jej tajemnic i przewodnika po świecie, który skrzętnie przede mną skrywała.

„Tym razem to Izabela postanowiła umrzeć. Uprzejmie prosi, aby jej w tym nie przeszkadzać”.

Czy te słowa mogła napisać moja córka? Wiem, że kiedyś miała ze sobą problemy. Słyszałam też, jak przekładała termin wizyty u własnego terapeuty. Nigdy o tym nie rozmawiałyśmy, ale los dał jej w kość mocniej, niż to po sobie pokazywała. A pierwszego kopa dostała, niestety, ode mnie. To smutna prawda i powód, dla którego zwyczajnie mi wstyd wypytywać ją o problemy.

Przez lata radziła sobie z nimi sama.

Nie byłam jej do niczego potrzebna.

Ale prawda jest też taka, że teraz znajdowała się chyba w najlepszym, a przynajmniej – najspokojniejszym momencie swojego życia. Stała praca, dochód, o który nigdy nie pytałam, ale który starczał na drobne wydatki, chyba także próby nawiązania relacji z facetami. Niechcący podsłuchałam, jak kilkukrotnie rozmawiała zamknięta w łazience. Dolna toaleta ma z nią wspólny szyb, który niesie prawie każde słowo.

Do tego ja. Może byłam najmniej istotnym ogniwem tego łańcucha, ale zaczęłyśmy się naprawdę nieźle dogadywać.

Iza miała sto lepszych okazji i powodów, żeby się zabić. A jednak nie zrobiła tego. Być może powinnam o tym wszystkim powiedzieć policji, lecz mam wrażenie, że byłoby to wobec córki nielojalne. Nie teraz, kiedy wychodziła na prostą.

Jeszcze nie.

Może ta wiadomość jest jedynie pieprzoną metaforą? Na jej końcu zabrakło emotikonu, który wyjaśniałby, że to wszystko to po prostu niezbyt udany żart.

Iza wiele razy wspominała, że chciałyby wyjechać na kilka dni. Oderwać się od bieżących spraw i odpocząć. Przed kilku laty była na wyciszającym obozie w Bieszczadach. Podobał się jej zakaz rozmów, posiadania telefonów, laptopów i jakiegokolwiek łączności ze światem zewnętrznym. Nie musiałam kończyć psychologii, by się domyśleć, na co to mogła być reakcja. Wydarzenia sprzed wielu lat odbijały się właśnie w ten sposób.

– Przepraszam – szepczę do zawieszzonego w korytarzu zdjęcia. Iza ma na nim osiem, może dziewięć lat i jest to jedna z nielicznych jej fotografii z tamtego okresu. Nie zrobiłam jej zresztą ja, ale polaroid w jakimś wesołym miasteczku na wycieczce szkolnej. – Przepraszam...

Coś przychodzi mi do głowy.

Chyba przeszarżowałam z chodzeniem bez laski, bo noga nie tylko zaczyna mnie boleć, lecz także drży. Wygląda to pewnie tak, jakby połowę mojego ciała poddano elektrowstrząsom.

Trudno. Nie chce mi się już wracać do sypialni, a poza tym odrobina bólu działa mobilizująco. O tym też coś wiem. Choć o szczegółach wołałabym zapomnieć. Pewne wizje już na zawsze będą kuszące.

Kieruję się ku schodom i ciężarem prawie całego ciała opieram się na drewnianej balustradzie. Lewa stopa jak na złość nie chce unosić się ponad stopnie. Muszę ją przeciągać, co zajmuje mi mnóstwo czasu. Kiedy wreszcie stoję na pięttrze, jestem cała złana potem i roztrzęsiona. Muszę złapać oddech. W wielkim oknie widzę rąbek Bałtyku. Morze skrzy się w porannym słońcu jak kolaż z folii aluminiowej.

Wchodzę do pokoju Izy i czuję to, co za każdym razem. Wstyd, skrepowanie, a przede wszystkim – poczucie winy. Oskarżam się, że do tego wszystkiego doprowadziłam i że teraz muszę po prostu

odpokutować. Kiedy moje zasługi i przewinienia się wyrównają, wszystko będzie dobrze. Przerazające, że na jednej szali mam prawie trzydzieści lat obornika, który sięga mi powyżej uszu.

Podchodzę do podręcznej biblioteczki i przejeżdżam palcem po grzbietach książek. Te, które stoją na górnej półce, Iza czytała niemal bez przerwy. Na zmianę. Sto lat samotności, Biblia, Mały Książę, wiersze Brzechwy, wreszcie znajduję cienki tom Coelho.

Weronika postanawia umrzeć.

Iza miała na jego punkcie obsesję. Całymi dniami chodziła z nosem w tej książce, jakby uczyła się tekstu na pamięć. Poza tym traktowała ją jak notatnik i zapisywała w niej bieżące myśli. Pewnie nie tylko. I właśnie o te notatki mi chodzi, gdy wyciągam ją delikatnie z półki, a następnie rozchylam naderwaną okładkę.

O myśli. O zapiski.

O...

Sama nie wiem.

Czuję wibrację telefonu i słyszę: Yesterday, all my troubles... Wczoraj przezornie zapisałam numer, z którego dzwonił komisarz Libner. Dzięki temu tym razem obywa się bez zbędnych wstępów i cyrku przedstawień. Jedynie chłodna wymiana powitań, a zaraz po niej konkrety.

– Odciski palców na tym liście... – Komisarz urywa, upewniając się, że słucham.

– Tak?

– Nie należą do pani córki.

Wciągam głęboko powietrze. Czy to zły, czy dobry znak? Każda odpowiedź byłaby jedynie dywagacją. Tak samo bezsensowną, jak zagadka, co było najpierw – jajko czy kura. Kogo to teraz obchodzi?

– Co to oznacza? – dopytuję.

– Nie mamy ich w bazie, a międzynarodowe rejestry też są czyste. To kartka ze zwykłej ryzy, więc kupić mógł ją każdy i wszędzie.

– Ale skoro nie ma na niej odcisków Izy, to znaczy, że nie ona napisała tę wiadomość.

W słuchawce na moment zapada cisza.

– Nie do końca – mówi policjant markotnie. – Znaleźliśmy kilka roztartych odcisków, które nie mają, co prawda, mocy dowodowej, ale wykazują cechy wspólne z odciskami pani córki.

– Aha. Czyli...

– To dobra wiadomość. Wiele ułatwia.

Tyle że oparta na myśleniu życzeniowym. Jestem o tym przekonana, lecz wolę zmienić temat.

– A żakiet?

– Nie mówiłem pani? – Komisarz nagle się ożywia. – To tylko zbieg okoliczności. Zobaczyliśmy na monitoringu, że wraca z nim z plaży jedna z turystek. Zdaje się, że coś się popruło, bo z koleżanką oglądała go na wszystkie strony. Akurat z tego powinniśmy się cieszyć.

– Nawet nie sprawdziłam.

– Słucham?

Nawet nie sprawdziłam, czy ten żakiet jest w szafie Izy. Przyjęłam za pewnik, że wylądował w śmietniku i że należał do niej. Jestem podła. Chyba zawsze podświadomie zakładam najgorsze. Ale przecież od rana czułam przyływ nadziei i dobrych myśli.

Matka wie.

Gówno wie.

Z telefonem przytkniętym do ucha i książką w drugiej ręce podchodzę do szafy. Chcę sprawdzić, czy jest w niej żakiet Izy, ale nie potrafię. To zbyt wiele. Nie chcę tego wiedzieć.

GODZINA 26.

Siedzimy na dwóch krańcach sofy. Naprzeciw nas jest wielki telewizor, na ścianach wisi kilka sporych obrazów olejnych, a wielka biblioteczka ugina się pod rządami książek. Rejestrowanie rzeczywistości sprawia mi ulgę.

Uspokajam się.

Nie widzę tytułów, ale z pewnością jedną z półek zajmuje kilkutomowa stara encyklopedia lub słownik. Skórzane grzbiety są ponaddzierane, a pozłacane litery – przetarte. Na górze książki są poukładane jedna na drugiej. Małe formaty uzupełniają przerwy między większymi. Kruchość konstrukcji przykuwa uwagę. Zdaje się, że wyciągnięcie jednej pozycji spowoduje zawalenie się całej układanki.

Obok biblioteczki stoi czarny stolik ze stylową lampką. Ma kolorowy klosz składający się z setek małych szkiełek. Dalej jest masywny stół, witryna wypełniona lśniąca porcelaną oraz kryształami i przytulny kącik kawowy, znacznie bardziej elegancki niż ten w jadalni.

Amelia zdjęła sukienkę i narzuciła na siebie prześwitującą, jedwabną koszulkę. Pod nią ma koronkowy stanik i mocno wycięte majtki. To dziwne, kiedy kobieta, o której się nie pamięta, rozbiera się i mówi, że jest moją narzeczoną. Podoba mi się, choć stanowi niemal zupełne przeciwieństwo Izabel.

Jest kształtna, a jej piersi są naprawdę pięknie obfite. Ma delikatne, bardzo delikatne fałdki na brzuchu. Szerokie biodra, duże pośladki i zgrabne, lecz krótkie nogi. Uwagę jednak najbardziej przykuwa jej twarz. Przeniesiona wprost z greckich magazynów mody. Nigdy żadnych nie widziałem,

przynajmniej teraz nic mi o tym nie wiadomo, ale na ich okładkach muszą być właśnie takie kobiety.

Patrzę na nią i lustruję każdy fragment jej ciała. To zagłusza myśli o Izabel. Gdyby nie świadomość, że kilkanaście metrów od nas jest goła, skrępowana kobieta, mogłoby być całkiem przyjemnie. Co kilka dni ponownie zakochiwałam się w narzeczonej i na nowo odkrywałam sekrety jej nagiego ciała. To kusząca wizja.

Sam ją jednak zburzyłem.

Izabel...

Może jest tylko fragmentem zabawy? Częścią miłosnego trójkąta albo Bóg jeden wie czego. Amelia nie wspomniała jednak o niej nawet słowem. Sam również nie zamierzam się na ten temat choćby zająknąć. Gdy tylko zostanę sam, muszę w końcu wszystko wyjaśnić. Muszę wyrwać ten cholerny knebel i poznać odpowiedzi.

Amelia dopija sok pomarańczowy i odstawia szklanekę na podłogę. Nie odzywa się. Nawet na mnie nie patrzy. Co chwilę przymyka oczy i wtula głowę w poduszkę. Kolana ma pod samą brodą. Sądzę, że nerwowo wyczekuje, aż znów zacznę pytać. O to, co mi się stało, jak długo jesteśmy razem, czy naprawdę zamierzamy się pobrać. To część pytań, które cisną mi się na usta. Mimo to za wszelką cenę je tłumię. Zbierają mi się gulą w gardle obok tego najważniejszego.

Tego, którego nie mogę zadać.

Moja narzeczonea ziewa i zatyka usta wierzchem dłoni. Jest naprawdę urocza, a ja powinienem być cholernie szczęśliwym facetem. Słowo klucz. Powinienem.

Słońce przyjemnie wpada do domu i rozświetla podłogę. Jest duszno, lecz nie gorąco. Ciekawe, czy mamy tu zainstalowaną klimatyzację, ale o to też nie chcę na razie pytać. Patrę przez podzielone szprosami okno na koniec trawnika i mur ogradzający posesję.

– Wzięłam jutro wolne. – Głos Amelii brzmi jak stare nagranie, puszczone z płyty. – Zapowiadali kilka dni bez deszczu i z pełnym słońcem. Mieliśmy pójść na plażę albo wybrać się na wycieczkę do

Gdańska.

Mieliśmy – w domyśle: już o tym rozmawialiśmy.

Amelia się obraca i układa poduszkę między głową i ramieniem. Słowo klucz powraca. Powinienem właśnie powiedzieć, że już się nie mogę doczekać. Ale to całkowita nieprawda. Wycieczki i zwiedzanie to słaba perspektywa, gdy nie zwiedziło się jeszcze porządnie własnego domu.

Znowu patrzę na mur dzielący działkę od ulicy i problemów innych ludzi. Mur, który...

– Dlaczego rolety zamykają się automatycznie?

Chciałbym, żeby to pytanie było spoza klasycznego repertuaru, ale chyba tak nie jest. Amelia wzdycha i przewraca oczami. Zauważyłem, że rozmowa i jednocześnie pisanie doskonale zajmują myśli. Tyle że ona chyba wcale nie ma ochoty rozmawiać.

– Automatyczne zamykanie to jedyny sposób na to, żebyś nie wyszedł i się nie zgubił. – Wyjaśnia z zamkniętymi oczami. – Fotokomórka weryfikuje, czy jesteś w domu, i po zapadnięciu zmierzchu wszystko zamyka. Wiem, że tego nie lubisz – dodaje od niechcienia.

Czyli moje odczucia się nie zmieniają. Pewnie dlatego za każdym razem poruszam tę kwestię.

– A gdybym akurat wyszedł do ogrodu?

– Wtedy się nie zamknie. Jak już sto razy mówiłam, system to sprawdza. Liczbę wejść, wyjść...

– Zamiast mnie mógłby policzyć listonosza. – Nie wiem, po co drażę ten temat. – Albo kogokolwiek innego.

Amelia wypuszcza powietrze, wyraźnie starając się opanować.

– Kogoś, kto wchodzi do środka, a potem już nie wychodzi? – fuka nerwowo. – Poza tym mamy to. – Wskazuje palcem w górę.

Niczego nie widzę... Dopiero po chwili dostrzegam niewielką spłaszczoną kulę, zawieszoną przy żyrandolu. Jezu, jeśli to kamera, musiała nagrać, jak... Odwracam ekran komórki.

– To czujniki ruchu – wyjaśnia moja narzeczona. – One odpowiadają za automatyczne zapalanie się światła i współpracują

z systemem antywłamaniowym.

Uff... Co za cholerna ulga.

Choć właściwie nagrania z kamer mogłyby wiele wyjaśnić.

– A gdybym wyszedł sam, w ciągu dnia? Wtedy też mógłbym dokądś poleżeć i...

– Nie – przerywa mi ostro. – Po pierwsze, to nie jest w twoim zwyczaju. A po drugie, zanik pamięci następuje co kilka dni, właśnie w nocy albo nad ranem.

Moje zwyczaje. To ciekawe określenie na coś, o czym nie mam pojęcia. Jakie mogą być moje zwyczaje? Złazenie do piwnicy i zabawianie się z kobietami? Rzyganie po każdym posiłku? Łażenie z telefonem?

– Dlaczego ciągle wszystko notuję?

Jestem bliski rozsypki. Powinienem się zamknąć, lecz odhaczam chyba kolejną pozycję z listy obowiązkowych. Amelia ukradkiem ociera oczy.

– Nikomu nie chcesz o tym powiedzieć. – Głos się jej łamie. – Boston twierdzi, że to minie. Psychiatrzy nie są pewni, ale na razie utrzymują, żeby ci w tym nie przeszkadzać. Tydzień temu zabrałam ci telefon, a wtedy o mało mnie nie pobiłeś.

I co miałbym zrobić? Powiedzieć teraz „przepraszam”? Szlag...

– Kocham cię, ale nie mam już siły. – Amelia podnosi się z kanapy i na bosaka idzie w stronę holu. Jej stopy zostawiają na posadzce ślady, które zaraz się rozmywają.

Zupełnie jak moje wspomnienia.

Cholerna poezja.

– Chodź. – Zachęca mnie skinieniem dłoni. – Mogłabym ci teraz powiedzieć cokolwiek, bo zaraz o tym zapomnisz... Ale za bardzo cię kocham.

– Nie rozumiem.

– Chodź. Coś ci pokażę. Twoją wielką obietnicę, do której docierasz tylko czasem.

Mówienie do mnie przenośniami to głupi pomysł. Równie dobrze mógłbym słuchać listy życzeń po grecku. Mimo to wstaję

i zaciekawiony idę za Amelią. Boję się myśleć, co może być tą wielką obietnicą.

GABRIELA KRAUS

Libner pożegnał się ze mną bardzo serdecznie. Na koniec jeszcze raz zapewnił, że dokładają wszelkich starań. Bla, bla, bla. Nawet tego nie słuchałam. Od kwadransa siedzę w fotelu Izy (mam wrażenie, że jej zapach stał się już słabszy) i przeglądam książkę Coelho.

Tak jak się spodziewałam, jest w niej mnóstwo notatek. Chociaż Iza korzystała z terminarzy i brudnopisów, znajduję mnóstwo nabazgranych dat spotkań, nazwisk, złotych myśli, a nawet kilka list zakupów. Są numery telefonów do mnie, do szpitala, numer mojej starej komórki, obu biur, jeden numer zamazany tak mocno, że kartka została niemal rozerwana, do tego telefon i adres Natalii Krawczuk. A więc nie Krawczyk, jak chyba podałam komisarzowi.

Na ostatniej stronie znajduję jeszcze dwa numery. Jeden opisany jako „Zwyrol”, drugi jako „Antyzwyrol”. W przeciwieństwie do większości notatek zostały nabazgrane bardzo niedbale. Cyfry są nierówne i muszę się skupić, żeby je odczytać.

Po chwili mam już przy uchu telefon.

Słyszę sygnał wybieranego połączenia.

Może wcześniej powinnam przynajmniej zastrzec swój numer? Może właśnie dzwonię do cholernego psychopaty, któremu moja córka starała się pomóc wyjść z szaleństwa? O ile z szaleństwa w ogóle można wyjść.

Książka leży obok mnie na biurku. Lewą dłonią chcę przyglądać strony, żeby się nie zamknęła. Zostawiam przy tym tłusty ślad potu. Dopiero teraz czuję, że lodowate stróżki ściekają mi wzdłuż kręgosłupa. Zaciskam zęby. Zaciskam pięść. Podkulam nogę, którą wstrząsają tępe dreszcze. I czekam.

Trzeci sygnał. Czwarty.

Wbijam sobie paznokiec w przecięcie żył pod nadgarstkiem. To zawsze przywraca koncentrację. Ale tym razem, mimo że zaczyna mi chyba lecieć krew, telepię się dalej.

Szósty sygnał.

Kliknięcie podnoszonej słuchawki przypomina mi odgłos gwoźdźcia upadającego w ogromnej, pustej hali na terakotową posadzkę. Nie wiem, skąd to skojarzenie. Pewnie w jakimś filmie właśnie w takim miejscu przetrzymywano porwaną kobietę. A może chodzi o coś całkiem innego.

– NZOZ Poradnia Psychologiczna, w czym mogę pomóc?

To jest ten straszny „Antyzwyrol”? Napięcie momentalnie ze mnie ulatuje. Czyli nie było w tym wszystkim jakiejś głębszej tajemnicy.

– Halo? – odzywa się ponownie sympatyczny, przymilny głos.

– Przepraszam. Chyba pomyliłam numer.

Rozłączam się i jeszcze przez chwilę uspokajam oddech. Zawsze zakładam najgorsze scenariusze. Zawsze się nakręcam. Przez swój popieprzony charakter na połowie ważnych spotkań biznesowych byłam albo nachlana, albo nafaszerowana stanowczo zbyt mocnymi środkami. Aż dziw, że interes tak dobrze się kręcił. Teraz też nie potrafię sobie odpuścić. Zaczynam się nawet zastanawiać, czy Iza nie mówiła mi o jakimś wyjeździe ze znajomymi. Bez telefonów i internetu. Bez kontaktu ze światem.

Bez przerwy karmię się złudzeniami. Dobrze wiem, że nic takiego nie miało miejsca i że jakkolwiek bym się starała, nie wmówię sobie tego. Trzy lata temu miałam problem z rozróżnieniem prawdy od fikcji, ale nie teraz. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Skostniałymi palcami wybieram drugi numer. Kilka razy nie trafiam we właściwą cyfrę, więc przed naciśnięciem zielonej słuchawki jeszcze raz się upewniam, że niczego nie pomieszałam.

Wszystko się zgadza.

Pewnie dzwonię do jakiegoś sklepu, do salonu fryzjerskiego albo...

– Słucham?

Od razu poznaję ten niski, nieco zaciągający po wschodniemu

głos. Zwyrol to Mikołaj Popławski. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

GODZINA 27.

Amelia wbiega po schodach. Przeskakuje po dwa, trzy stopnie, a jej zwiewna koszulka faluje, odsłaniając kształtne pośladki. Powoli wlokę się za nią. Ciągłe czuję głęboką niechęć przed dowiedzeniem się, co znajduje się na górze. To instynktowne, naprawdę silne uczucie. Podpieram się na balustradzie i zastanawiam, jak się wycofać.

Ale nie mogę przecież stchórzyć.

Czym, do cholery, jest moja wielka obietnica, do której docieram tylko czasami?

Z dwojga złego powinienem się cieszyć, że idziemy na piętro. Amelia mogłaby wziąć mnie za rękę i zawlec do piwnicy pod pretekstem szukania słoika konfitur. Albo zrobić to przebrana w skórzany strój, z pejczem w dłoni. Ta druga wizja wydaje się kusząca, ale mimo wszystko jakoś mnie nie pobudza. Gdy wczoraj patrzyłem na nagą, skrępowaną Izabel, byłem podniecony. Natomiast teraz...

Pokonuję ostatni stopień i staję na ciemnych mahoniowych deskach. To całkiem inny świat niż jasny parter. Okna są mniejsze, światło wpada przede wszystkim ze świetlika w dachu, a ściany pomalowano na brudny beż. Przynajmniej tak mi się zdaje, ale nie spierałbym się, gdyby się okazało, że to écru, kawa z mlekiem lub wenecki brąz. Albo mleczna czekolada. Kobiety orientują się w tym lepiej.

Pisząc, znowu gram na zwłokę. Amelia podeszła do drzwi w głębi korytarza i wyzywająco spogląda w moją stronę. Czeka. Przez jej twarz przebiega granica światła i cienia. Wygląda, jakby składała się z dwóch niepasujących do siebie części.

– Już idę...

Mój telefon wibruje. Co jest...

Odebrałem, zdążyłem jedynie wydukać ciche „słucham”, a nieznany numer natychmiast się rozłączył. Dziwne. Myślałem, że w ogóle nie mam dostępu do sieci, choć chyba wyczytałem to we własnych notatkach. Okłamywałem się? W ogóle dlaczego data i godzina są zrestartowane? Chcę o to zapytać Amelię, lecz jeszcze nie teraz.

– Kto to? – pyta, patrząc na mój telefon. – Ostatnio spławiłeś zamówienie z zakupami, które składałam przez parę godzin...

Fart, że lodówka jest pełna.

– Nie wiem. Gdy tylko się odezwałem, ktoś zakończył połączenie.

– Staraj się nad tym panować – mówi z irytacją. – Albo oddawaj mi słuchawkę, nim powiesz, że nie pamiętasz, żebyś coś zamawiał.

W tym kontrastowym światłocieniu widzę, jak bardzo jest zmęczona. Ma podkrążone, zaczerwienione oczy i suche usta. Po dwóch dobach spędzonych na dyżurze w szpitalu zafundowałem jej przyjemny powrót. W sumie nie wiem, gdzie bardziej odpoczywa. Ciekawi mnie, jaką ma specjalizację, ale i z tym pytaniem wolę się wstrzymać. Nie sądzę, żeby była psychiatrą. Nie sądzę, by mogła mi pomóc.

– Jasne – odpowiadam, stając tuż przy niej. – Przypomnij mi, żebym ci przypomniał.

Staram się uśmiechnąć. Sądzę, że wyginam usta w jakimś idiotycznym grymasie, ale Amelia już na mnie nie patrzy. Położyła dłoń na stalowej klamce i zastygła w bezruchu. Naszły ją chyba wątpliwości, a ja nie zamierzam niczego przyspieszać. Coraz mniej podobają mi się te wszystkie niespodzianki. Tracę zainteresowanie odkrywaniem tajemnic.

Rozglądam się po korytarzu. Po obu stronach w marmurowych donicach rosną juki i jakieś niewielkie palmy. Chyba drzewka ananasowe, ale nie jestem do końca pewny. Doliczyłem się siedmiu par drzwi. Wszystkie takie same i wszystkie zamknięte. Do tego kilka grafik, w tym gigantyczna panorama miasta, portret i...

Dalszych, mimo że są oprawione w antyrefleksyjne szkło, pod tym kątem nie mogę rozróżnić.

– No dobrze... – Amelia głośno wypuszcza powietrze. – Miałeś tu trafić tylko sam, ale trudno. Może ani twój psychiatra, ani Boston mnie nie powieszają. W końcu musimy próbować wszystkiego. Prawda?

Retoryczne pytanie podkreśla całą tę sytuację. Amelia naciska klamkę i popycha drzwi. Otwierają się bez najdrobniejszego jęknięcia.

– Oż kur...

GABRIELA KRAUS

Wiedziałam, że się znali. Wiedziałam, że Popławski i Iza utrzymywali ze sobą kontakt, odkąd tylko ponownie ze mną zamieszkała. W zeszłym roku byli kilkakrotnie razem na plaży, a w tym znajomość jakby okrzepła. A może tylko mi się tak wydawało? Stałam się chyba mniej czujna. Jeżeli życie nie daje ci w kość, obserwuje się je zza plastikowej szyby. To chyba nie z Coelho, ale kto go tam wie?

Obraz własnej córki składałam z informacji, które rozmyślnie sama mi podsuwała. Nie mam pojęcia o prawie jednej trzeciej jej życia. Studiowała w Warszawie i co pół roku przesyłała mi priorytetem indeks z pieczętką o zaliczeniu semestru. W zamian za to ja odsyłałam jej przelew. Tyle, żeby starczyło na opłacenie skromnego pokoju w akademiku oraz utrzymanie się przez sześć miesięcy. Godne utrzymanie.

Czasem rozmawialiśmy przez telefon. Poza tym przez pięć lat chyba z trzy razy była w domu. Przynajmniej raz, gdy wyjechałam służbowo do Paryża, zamieniła go w największą imprezownię wybrzeża.

Zwyrol.

Dlaczego Iza właśnie w ten sposób podpisała numer do kumpla? Skoro poradnia psychologiczna jest „Antyzwyrolem”, „Zwyrol” może być jej pacjentem. To by się zgadzało. Choć można na to spojrzeć z zupełnie innej perspektywy.

Biorąc pod uwagę, że moja córka chodzi do własnego terapeuty, jej problemy mogą być jedną stroną medalu. Drugą wtedy stałby się, na przykład, związek. Popławski może być jej chłopakiem, narzeczonym czy jak to się nazywa w dzisiejszych czasach. Może

też być przyczyną jej problemów...

Stop.

Jeszcze chwila dalszego dedukowania na podstawie domysłów, a pogubię się we własnych myślach. Skoro wiem o Izie tak mało, muszę znaleźć sposób na uzupełnienie przynajmniej części luk. Donoszenie na Bogu ducha winnego chłopaka z powodu ksywki to przesada. Nawet jak na mój obecny stan. Chociaż... wczoraj zachowywał się dziwnie.

Bardzo dziwnie.

Jezu, powinnam wziąć się w garść i przestać snuć teorie spiskowe. Chłopaczyna był zwyczajnie zawalony robotą. Powinnam coś o tym wiedzieć.

Ale odpowiadał strasznie wymijająco.

I nieustannie klepał w telefon.

Wewnętrzne dialogi nigdy nie prowadzą do niczego konstruktywnego. Szybko wertuję odłożoną przed chwilą książkę i przykładam palec pod numerem Natalii Krawczuk. To może być brama do świata mojej córki.

Trzeci telefon w ciągu paru minut, a słuchawka ślizga mi się w spoconej dłoni. Jeszcze chwila i będę mogła sprawdzić jej wodoodporność. Na szczęście Natalia odbiera prawie od razu. Przedstawiam się, pytam o możliwość spotkania, nie pozwalam jej nawet dojść do głosu. Wreszcie dolatują mnie strzępki słów.

– Je... – Telefon nieprzyjemnie skrzeczy. – Na plaży dwadzieścia siedem. To... ...ajdzie mnie pa...

Odsuwam komórkę od ucha i sprawdzam zasięg. Czasem w niektórych pokojach zdarzało mi się go gubić, ale tym razem pokazują się wszystkie kreski. Szlag by to.

– Mam tu cholernie gów... ..ę. Proszę przy... będziemy m....
...zmawiać.

Chyba właściwie rozumiem, co Natalia do mnie mówi. Żegnam się z nią, choć pewnie niewiele słyszy. Wychodzę z pokoju i trzymając się poręczy, splezam na dół. Niezdarne ruchy przypominają mi, że muszę wziąć laskę.

Choćbym miała nie wiem jak dobry dzień.

GODZINA 28.

Patrzę na spory, niemal idealnie kwadratowy pokój z pojedynczym oknem ciągnącym się od sufitu aż do podłogi. Jest jaśniejszy niż korytarz, i chyba właśnie z tego powodu to, co widzę, wydaje się jeszcze bardziej upiorne.

Amelia nie musi mi niczego tłumaczyć.

Pomieszczenie ma bok o długości około trzech i pół, maksymalnie czterech metrów, co jest istotne w kontekście wystroju wnętrza. Sam nie chcę odnotować prawdy. Jakby napisanie o niej cokolwiek zmieniło.

Proszę bardzo.

Poza prostą szafką i dwiema przemysłowymi kserodrukarkami nie ma w nim żadnych mebli. Wnętrze natomiast dosłownie tonie w papierach. Są poukładane w sterty, w rzędy, porozstawiane po podłodze jak wieże i miniatury labiryntów. Przy drukarkach stoją nienapoczęte ryzy. Ich biel kontrastuje z poprzecinaną literami bielą przewalających się kartek. Chcę zrobić krok do przodu, ale nie potrafię. Autentycznie boję się przestąpić próg.

Amelia weszła do środka i stanęła przy drukarce. Sprawdza, czy zasobnik jest pełny, po czym uzupełnia go kolejnym plikiem papieru. Wrzuca do maszyny dwieście, może trzysta stron. Odwraca się i wymownie na mnie spogląda. Ręce splotła na piersi, przez co jej koszulka podciągnęła się i odsłoniła bieliznę. Odnotowuję to jedynie mimochodem.

Całą moją uwagę zaprzęta to wariackie składowisko zadrukowanych stron oraz odręcznych notatek. Te również dostrzegam między stosami.

– Nazywasz to swoim zabezpieczeniem. – Amelia stuka knykciem

w bok drukarki. – Twój telefon oraz laptop są z nimi skorelowane i po ukończeniu każdej strony wysyłają sygnał nakazujący wydruk. Mieliśmy jeszcze urządzenie do segregowania, ale niedawno zakatowałeś je na śmierć.

Uśmiecha się ponuro, przygryzając dolną wargę. To jej nieświadomy odruch.

Jezu...

Wciąż stoję w progu, nie mogąc się w tym wszystkim połapać.

– Po co?

Nie wiem, czy naprawdę zadałem to pytanie. Może jest tak wyraźne, że nie muszę go wypowiadać na głos.

Dopiero teraz odnotowuję, że z okna rozciąga się piękny widok na maleńki las sosnowy i morze, stykające się na horyzoncie z niebem. Woda mieni się w promieniach słońca.

Amelia ociera pot z czoła i sięga po pierwszą lepszą kartkę.

– Oprócz zapachu palonego drewna lubię również aromat kawy – czyta kpiącym tonem. – Nie znoszę za to jej smaku. Lubię stawiać filiżankę przed sobą na biurku, lubię się inhalować, ale na samą myśl o przełknięciu robi mi się niedobrze. Kawa smakuje zaszczanym węglem. Dla jasności, nigdy nie jadłem zaszczanego węgla, ale jestem przekonany, że ma identyczny posmak... – Spogląda na mnie i kręci głową. – Powinieneś na tym zarabiać, kochanie. Nie wiem, dlaczego nie wysyłamy tych wypocin do wydawnictw.

Schyla się, po czym teatralnie sięga po kolejną kartkę. Muszę się przełamać i wejść do tego pokoju, bo inaczej...

Wyrywam jej papier, nim trafia na jakikolwiek fragment o Izabel. Patrzy teraz na mnie nieco zląknięta, a ja doskonale ją rozumiem. Żyje pod jednym dachem z totalnym świrem.

– Przepraszam... – szepczę.

Niedbale macha ręką i rusza do drzwi.

– Zawsze tak się to kończy. – Opiera się o framugę i mruży oczy. Uśmiecha się krzywo, powstrzymując chyba w ten sposób płacz. Opuszcza głowę i kręcone włosy opadają jej na twarz. Nie odgarnia

ich. – To zanotowane przez ciebie całe życie. – Znowu mówi bardzo powoli. – Czasami lubisz tu przychodzić i godzinami porządkować te papiery, ale ogólnie unikasz pierwszego piętra. Gdy kiedyś część uprzątnęłam, wpadłeś w furję. Sama zresztą też nie jestem idealna.

Podnosi wzrok, żeby się upewnić, że słucham. Skołowany, opieram się pośladkami o szafkę i staram powstrzymać myśl, że najlepszym wyjściem będzie się zabić. Skok z pierwszego piętra to pomysł jedynie na kalectwo. Do tego wątpliwe. Najbardziej prawdopodobne byłoby spędzenie kilku miesięcy w jednej pozycji z paroma drutami w nogach.

Większa z drukarek wypluwa kolejną kartkę.

No tak. Właśnie zacząłem nową stronę.

– Kilka razy zamykałam ten pokój na klucz i chowałam ładowarkę do twojego telefonu. – Amelia ponownie opuszcza głowę i wbija wzrok w podłogę. – Laptop zabierałam ze sobą na dyżur, żebyś tylko nie mógł pisać. Myślałam, że taka terapia szokowa w czymś ci pomoże.

– Nie pomogła – odzywam się tylko po to, by dać jej znać, że nie mam jej słów w nosie.

– Było jeszcze gorzej. Zamiast na dwie doby odzyskiwałeś świadomość ledwie na parę godzin i z powrotem się osuwałeś w niepamięć. Odwalało ci. Ostatnio znalazłam cię z rozprutą nogą i nożem w dłoni.

Przypominam sobie o ranie na udzie. Co jakiś czas czuję ból, ale nie zwracam na niego żadnej uwagi.

– I to miała być moja wielka obietnica?

Amelia wzrusza ramionami. Pociąga nosem i odkasłuje. Prawda ma czasem znamiona choroby. Kolejna złota myśl, którą zaraz będzie musiała przetrwać drukarka.

– Obiecałeś mi, że któregoś razu przyjdiesz tu i poskładasz wszystko do kupy. Że już nigdy więcej nie zapomnisz, kim jestem.

Czuję w gardle rosnącą gulę. Mam ochotę dać sobie w twarz.

– Zresztą obiecujesz to prawie za każdym razem. Co dwa, trzy dni. I nic się nie zmienia.

Amelia odrywa się od ściany i szybkim krokiem opuszcza pokój. Słyszę, jak przebiega przez korytarz, jak trzaskają drzwi, a w rurach zaczyna szumieć woda.

GABRIELA KRAUS

Plaża dwadzieścia siedem znajduje się jakieś piętnaście kilometrów od mojego domu. To właściwie umowna nazwa. Pochodzi od klubu, przy którym się rozciąga, ale szybko się przyjęła. Stała się synonimem miejsca, w którym bawią się najbogatsze dzieciaki. Zresztą tak samo jak Klub 27. Swoją drogą, w jego nazwie też można by się doszukiwać ukrytych podtekstów.

Bilet na strzeżonym parkingu kosztuje dychę za godzinę, chyba że jest się klientem. Nie wiem, czy w ogóle zajdę do klubu, a wolę sobie później oszczędzić problemów, dodrukowywania paragonów lub innych głupot. Jeszcze mnie stać.

Niedbale macham ręką na znak, że nie potrzebuję potwierdzeń z kasy fiskalnej. Siwy, upiornie szczupły mężczyzna z idealnie wygoloną twarzą i wystającymi kośćmi policzkowymi uśmiecha się do mnie porozumiewawczo. Właśnie zarobił na piwo.

O ile nie będzie chciał go kupić w najbliższym klubie.

Kuśtykając, wsparta na lasce, wchodzę na niewielki bulwar. Nie widzę stąd morza, bo po drugiej stronie ciągną się piaszczyste wydmy i gliniane wzniesienia. Słyszę natomiast szum fal. Trzeba przyznać, że ten kawałek przestrzeni został zagospodarowany w naprawdę zachodnim stylu. Równiutka kostka brukowa, kanały deszczowe, żeliwne latarnie w kształcie masztów okrętowych, a do tego kilka basenów i zjeżdżalni. To przez nie bryza ma delikatny aromat chloru.

Nie lubię go.

Kojarzy mi się z okresem, kiedy szorowałam dłonie wybielaczem. Zapachy mi się kojarzą.

Nie wiem, czy mam skręcić na plażę, iść do klubu czy zupełnie

gdzieś indziej. Poprawiam torebkę i szukam w niej telefonu. Przegrzebywanie tyłu rzeczy jedną ręką to skomplikowana operacja. Nie chcę się jednak zatrzymywać.

Czy w ogóle rozpoznam Natalię?

To był jeden ze zbiegów okoliczności, które się czasem zdarzają w życiu. Przyjaciółka Izy z dzieciństwa, koleżanka z okresu nastoletniości, po wielu latach bez utrzymywania kontaktu przeprowadziła się dwadzieścia kilometrów dalej. Z Warszawy na wybrzeże. Dzięki temu odnowiły relacje, ale już nigdy nie zbliżyły się do siebie jak dawniej. Tak mi się przynajmniej zdawało. Wiem, że Natalia, podobnie jak Iza, dostała od życia nieźle po dupie. W jej przypadku chyba konkretnie od jakiegoś faceta, ale nie jestem pewna. Moja córka nigdy nie zdradza szczegółów poufnych rozmów. Nie zasługuję na to.

Gdy chcę wybrać numer, słyszę, że ktoś mnie woła. Odrywam wzrok od ekranu i dostrzegam ją z daleka. Natalia macha do mnie zza lady przenośnego stoiska z zimnymi napojami. Ma na sobie firmowy biały strój z obcisłą koszulką oraz czapkę z daszkiem, pod którą wybucha burza jej kręconych włosów.

– Natałka! Wreszcie cię znalazłam...

Dziwnie jest mówić na ty trzydziestoletniej kobiecie, której się prawie nie zna. Mimo wszystko jeszcze dziwniej mówić do koleżanki córki per pani. Kolejny dylemat, który podkreśla upływ czasu.

Natalia otwiera butelkę fanty i podaje ją zlanemu potem, przyszczatemu nastolatkowi. Chwilę potem podchodzi w moją stronę. Ma długie, choć dość masywne nogi i niesamowicie krótkie spodenki. Niejedne majtki są od nich pełniejsze.

– Tak strasznie mi przykro! – krzyczy, przytulając się do mnie. – Kiedy wczoraj zadzwonili z komisariatu, myślałam, że zemdleję. Nawet sobie nie wyobrażam, co pani przeżywa...

– Co mówili policjanci?

– Niewiele... Właściwie to ogłędnie wypytywali mnie o znajomość z Izą, a kiedy sama zaczęłam dopytywać, co się stało, odpuścili.

Mówię pani, nikomu nie chce się pracować. Wszyscy muszą odwalić swoje i pozamiatane.

By podkreślić te słowa, głośno klaszcze. Zerka w stronę stoiska, czy nie pojawił się kolejny klient. Mija nas grupa kilkunastu osób z parasolami, leżakami i lodówkami turystycznymi. Przekrzykują się nawzajem.

– Gównu, a nie wejdą na plażę. – Natalia śmieje się kpiąco. – Jest zakaz wnoszenia praktycznie czegokolwiek poza ręcznikami.

Denerwuje mnie jej teatralna ekspresja. Wkurzają mnie nieskrywana wewnętrzna radość, żywiołowość i beztroska. Też chciałabym taka być.

– Uznali chyba, że nie mam nic ciekawego do powiedzenia, bo „najwyżej jeszcze się ze mną skontaktują”. – Przeskakuje z tematu na temat. – Wie pani, jak to brzmi z ust gliniarza. Jeżeli nie wzywają człowieka na dywanik albo sami nie ruszą dupy, żeby przyjechać, to można być spokojnym. – Przerzywa, nabiera powietrza i macha uspokajająco rękoma. – Nie chciałam, żeby to źle zabrzmiało. Ja nie będę spokojna, dopóki Iza się nie odnajdzie, ale...

– Wiem, co miałaś na myśli.

Uśmiecha się pogodnie i mocniej nasuwa czapkę. Całą sprawę ma w dupie.

– Chciała pani porozmawiać właśnie o tym? – pyta nieco poważniejszym tonem. – Nie będę chyba potrafiła w niczym pomóc...

– Nie trzymałyście się blisko?

– Ostatnio miałyśmy mniej czasu, więc tylko wymieniałyśmy esemesy... Czasem rozmawiałyśmy parę minut. Ale nie mówiłyśmy sobie o wszystkim jak dawniej. *Best friends forever* to ściema.

– Więc nie zwierzała ci się ostatnio z jakiegoś problemu?

Natalia na chwilę się zamyśla. Wreszcie głośno wzdycha i spogląda na mnie teatralnym wzrokiem zbitego psa.

– Przykro mi.

– Naprawdę nic? Nie miała żadnych zmartwień?

– A pani z nią o nich nie rozmawiała?

Nie zadała tego pytania złośliwie. To nie był przytyk, a jednak z trudem się powstrzymuję, żeby jej nie odburknąć. Żeby nie sprowadzić gówniary do parteru i raz na zawsze nie oduczyć jej mielenia ozorem. Opanowuję się. Paznokcie wbite w dłoń rozładowują napięcie. Zawieszam wzrok na oszronionych butelkach z napojami i natychmiast chce mi się pić. Psychologia. Banalne mechanizmy rządzą tymi, którzy nie potrafią ich w porę przetrącić.

Znowu staram się patrzeć Natalii prosto w oczy. W cieniu daszka kaszkietu wydają się małe i pozbawione wyrazu.

– Znasz Mikołaja Popławskiego? – pytam, przestępując z nogi na nogę. – Wiesz, co go łączy z Izą?

Twarz Natalii wykrzywia dziwny grymas. Trwa ledwie ułamek sekundy, ale nietrudno go dostrzec.

– Kojarzę – odpowiada zdawkowo.

– Co ci o nim mówiła?

– Wiem, że mają wspólne tematy. Swego czasu dużo esemesowali, a czasem się spotykali.

Kolejne pustosłowie. Nie przyjechałam tu z trzęsącą się nogą i wywróconym żołądkiem, żeby zbyto mnie ogólnikami. Do tego widzę, jak Natalia na mnie zerka. Pewnie na końcu języka ma gratulacje, że wracam do formy. Lizidupa.

– Posłuchaj. – Chwytam ją za dłoń i przyciągam do siebie. Mocno zaciskam palce. Jest zbyt zaskoczona, żeby się przeciwstawić. Nasze nosy niemal się stykają. Czuję od niej zapach tanich perfum i olejku do opalania. – Musisz mi powiedzieć wszystko, co wiesz... Proszę.

Natalia szarpie się i odskakuje kilka kroków do tyłu. Patrzy na mnie kompletnie zaskoczona. Jej czapka się przekrzywiła, a pasemko włosów opadło na twarz.

– Rozumiem pani emocje – cedzi, rozmasowując rękę. – Ale to pani musi pojąć, że ostatnio miałyśmy gówniany kontakt i nie wiem, czy przypadkiem nie planowała wycieczki autostopem po Europie. Może była bardziej wylewna wobec swojego byłego. A o jej

relacji z Mikołajem proszę rozmawiać właśnie z nim. Muszę już wracać do pracy...

Uśmiecha się wymownie i sztywnym krokiem idzie na stoisko. Kilkuletni chłopczyk wali palcem w szybę, pokazując na coca-colę. Tak właśnie wygląda beztroska.

GODZINA 28.

Prawda jest taka, że wszystko zaczęło się dużo wcześniej niż w chwili, gdy straciłem pamięć. Absurd polega na tym, że tego momentu, oczywiście, nie pamiętam, lecz wiem, co było przed nim.

I pierwsze wcale nie było słowo.

Zanim trafiłem do rodziny zastępczej, do cioci i wujka, którzy zrobili wszystko, żeby wyprowadzić mnie na ludzi, parę lat pałętałem się po domach dziecka. Moje pierwsze przenosiny były związane z rozwiązaniem jakiegoś ośrodka lub utratą funduszy, już nie pamiętam. Drugie wymusił pożar, który strawił jedno skrzydło peerelowskiego klocka i spowodował obrażenia u dwunastu dziewczynek. O dziwo, w skrzydle damskim ktoś zaprószył ogień. Wtedy po raz pierwszy widziałem prawdziwe cierpienie. Dziesięcioletkę z twarzą przypominającą zdjęte z różną żeberka. Z płatami skóry schodzącymi jak czarny pergamin.

Trzecie przenosiny wynikały z jakichś rozsad personalnych i tego, że zakwalifikowano mnie jako trudne dziecko. Jakiś sukinsyn psycholog w porozumieniu z jakimś gnojem dyrektorem odnotowali w lipnym formularzu, że wymagam innych warunków. I nie chodziło, broń Boże, o debilizm czy inne opóźnienie. Nikogo też nie pobiłem do nieprzytomności ani nie podpaliłem klatki z klasowym królikiem.

O wszystkim powiadomiła mnie zastępczyni dyrektora. Właśnie w ten sposób każdy o niej mówił, w odróżnieniu od wicedyrektorki, która była ledwie trzydziestoletnią córeczką kogoś ważnego w okolicy.

– Posłuchaj... – Zastępczyni dyrektora miała wielką, okrągłą twarz i gigantyczne piersi. Nawet wtedy zwróciłem na nie uwagę.

Przy każdym oddechu jej sweter dosłownie się rozciągał. Była w nieokreślonym wieku między czterdziestką a sześćdziesiątką, co klasyfikowało ją jako starą. Do tego zawsze śmierdziało od niej papierosami. – Jesteś cholernie inteligentny, mały. – Każdy dla niej był mały, ale pieprzyć to. – Tylko nie potrafisz się dogadywać z rówieśnikami. Nie możemy pozwolić na ciągłe konflikty i na to, żebyś zmarnował swój talent. Szkoda cię na to.

O tak. Wszystko zawsze było dla mojego dobra. Nie pamiętam już, kiedy dokładnie trafiłem do trzeciego ośrodka, lecz wiem, jakie ćwiczenie psycholog zadał mi jako pierwsze. Przed oczami mam tego wysokiego, szpakowatego mężczyznę w bluzie z nazwą jakiegoś zespołu. Deep Purple? Choć raczej Black Sabbath.

– Gdy czujesz, że coś wyprowadza cię z równowagi, że zaraz wybuchniesz, zapisz to w tym notesie. Może to być nasz tajny układ, stary?

Z małego awansowałem na starego, co chyba sprawiło mi trochę przyjemności. Poza tym dostałem piękny zeszytek w gumowej okładce z japońskim obrazkiem. Był zamykany na maleńką klódeczkę. Strony przecinały dość krótkie linie. Jak dziś pamiętam też różowo-błękitne obrazki w narożnikach.

Starąłem się trzymać zawartego układu. Jednak unikając kłótni i prowokacji, zacząłem także unikać innych dzieciaków. Stałem się doskonałym przykładem zdziwaczałego odludka.

Z pewnością nie spędzałem jednak całych dni na pisaniu. Nie zapisywałem wszystkiego tak kompulsywnie, jak robię to w tym momencie. Skupiałem się na emocjach. Gdy pierwszy raz jedna z dziewczynek pocałowała mnie w usta, cały spąsowiałem i marzyłem tylko o przelaniu tego fantastycznego uczucia na papier. Sądziłem, że jedynie w ten sposób zapamiętam każdy jego szczegół. Byliśmy wtedy na mszy w rocznicę pierwszej komunii i chyba ze trzy kwadransy przestałem, jakby mi w gacie nasypano żaru. Zamiast porozmawiać albo odwzajemnić pocałunek, skupiłem się wyłącznie na tym, że muszę go opisać.

Kilka miesięcy później obserwowałem grupę „kolegów” (chyba

bardziej pasowałyby słowo: „współlokatorów”) bawiących się na jednym z korytarzy. Mieli ubaw po pachy, majstrując przy jednej z szafek elektrycznych. Typowe chłopięce sprawy. Ja oczywiście trzymałem się z boku. W przeciwieństwie do poprzedniego ośrodka tu nie miałem samych wrogów, ale nie zyskałem również żadnego porządnego kumpla.

W pewnym momencie zerknąłem przez okno. Znajdował się tam spory park, który nazywaliśmy „laskiem miłości”. Starszacy podobno chodzili tam w tajemnicy z dziewczętami. Wymknięcie się z pilnie nadzorowanego budynku było trudne, ale czego nie mogła pokonać siła pożądania? Dorośli nazywają to pożądanie miłością...

Z zamyślenia wyrwał mnie okropny wrzask. Odwróciłem się i zobaczyłem, jak Patryk, najmłodszy z moich współlokatorów, wije się w spazmach. Chyba każdy mięsień jego twarzy rozciągnął się w nienaturalny sposób. To nie on jednak wrzeszczał. Z jego ust wydobywał się jedynie cichy, gardłowy charkot. Kiedy upadł na podłogę z wywalonymi na wierzch, obróconymi niemal o sto osiemdziesiąt stopni oczami, zapadła cisza. Po chwili drgnął jeszcze raz i rozwarł dłoń, którą dopiero co zaciskał na otwartej instalacji.

Parę sekund później ktoś mnie odciągnął, ktoś inny – zasłonił oczy, a ktoś jeszcze inny wpadł w dziką histerię. W końcu udało mi się wyrwać z gęstniejącego tłumu. W ogólnym zamieszaniu chyba nikt nie zwracał już na mnie uwagi. Pobiegłem prosto do pokoju i zapisałem tylko dwa zdania.

„Patryka zabił prąd. Pachniało spalonym mięsem, a jego dłoń wyglądała jak zdjęta z grilla”.

Powinienem zostać reporterem.

GABRIELA KRAUS

Kiedy Natalia wspomniała o byłym Izy, od razu wiedziałam, o kogo chodzi. Choć nie mam rozeznania w doświadczeniach miłosnych mojej córki, wymowny ton jej również byłej przyjaciółki mówił wszystko. Nie mam wątpliwości, że to jego numer został dosłownie wydarty z karty książki.

O ile mi wiadomo, Marcin był jedyną poważną miłością Izy. „Poważną” w tym kontekście to zbyt wielkie słowo, ale spotykali się przez większą część studiów. To on był jednym z prowadzących wakacyjnej orgii w moim domu. To on poupychał mi po doniczkach woreczki z psychotropami, trawką i innymi świństwami. Jakby chciał potem donieść na policję o dziupli narkotykowej. Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobił. Prawdopodobnie dopadła go paranoja i w amoku ukrył większość zapasów, a potem zwyczajnie o nich zapomniał.

Iza zaczęła eksperymentować wraz z nim. Kiedy zadzwoniłam do niej w dwudzieste piąte urodziny (kilka poprzednich przegapiłam, ale ćwierćwiecze to dobra okazja), przez kilkadziesiąt sekund jedynie dyszała do słuchawki. Po chwili zaczęła mamrotać o tym, że gdybym uprawiała więcej seksu, może byłabym normalniejsza. Potem zorientowałam się, że właśnie to robi ze swoim chłopakiem. Zanim się rozłączyłam, zdążyła mi opowiedzieć kilka szczegółów. W tle słyszałam dzikie dyszenie, spazmatyczne okrzyki i obawiam się, że nie wydawała ich tylko jedna osoba.

Szok szybko minął. Przypuszczam, że po kwadransie wróciłam do swoich obowiązków, a następnego dnia całą rozmowę zupełnie wyparłam z pamięci. Przynajmniej na kilka lat.

Najgorsze wydarzyło się jednak nieco ponad rok później.

Pamiętam, że moja firma była już po debiucie giełdowym, a cena akcji wzrosła przez dwa miesiące dokładnie o czterdzieści dwa procent. Nikt się nie spodziewał takiego sukcesu. Rynek NewConnect rządzi się, co prawda, swoimi prawami, ale nikomu to nie przeszkadzało. Dziś czuję nieprzyjemny dreszcz na wspomnienie tych wszystkich emocji. Tamtej jesieni jednak procenty podkreślały mój zapał, ambicja nakręcała mnie do jeszcze intensywniejszego działania i naprawdę wydawało mi się, że jestem szczęśliwa.

Miałam już dom w Baltic Resort, ale wciąż nie potrafiłam się przekonać do pracy zdalnej. Zainstalowałam specjalne ekrany konferencyjne, systemy dźwiękowe, zabezpieczone łącza i wzmacniacze sygnału. Mimo to większość czasu spędzałam w biurze w Warszawie. Nadzór elektroniczny to jedno, ale bezpośredni kontakt z podwładnymi to drugie. Poza tym może się to wydać głupie, ale uwielbiałam dwudzieste trzecie piętro, na którym mieliśmy siedzibę. W chwilach przerwy albo przesadnego rauszu potrafiłam godzinami gładzić lśniący blat biurka, gapić się za okno i obserwować ruch uliczny w dole. To była magia.

Coraz częściej zdarzało mi się też sypiać w gabinecie. Kupiłam nawet dziewiętnastowieczny szezlong, który był piekielnie niewygodny, ale pasował do wystroju wnętrza. Wstawałam cała obolała i natychmiast musiałam się rozruszać. Na biurku bez przerwy pracowały dwa laptopy. Kontrahenci z całego świata mogli do mnie pisać o każdej porze, a ja natychmiast im odpisywałam. Pomagały mi w tym nastawiony na pełny głos alarm i chłodzący się w małej lodówce rozbudzacznik własnej receptury. Wódka, energetyk i kawa mrożona. Sekret tkwił w proporcjach. Trzy do dwóch do jednego. Stupięćdziesięcimililitrowa porcja tego drinku stawiała mnie natychmiast na nogi. Zresztą postawiłaby pewnie słońca.

Tamtego dnia telefon obudził mnie jednak niespodziewanie. Był niedzielny ranek, a koło południa planowałam choć na chwilę wrócić do mieszkania. Od miesiąca się nie kąpałam, a biurowe prysznicze nie zmywały problemów wystarczająco dokładnie.

Nim się zorientowałam, że telefon leży tuż obok poduszki, zerwałam się z szezlonga i przez kilkanaście sekund otępiała gapiłam się w ścianę. Nie wiedziałam, co się dzieje. Poza tym po raz pierwszy od dawna odezwał się mój prywatny numer.

Tamte wspomnienia są poszatkowane, ale przez ostatnie lata wiele razy składałam je w całość. Luki nie mają większego znaczenia. Słowa policjanta, stanowczo zbyt długo rozwodzącego się nad tym, że Iza przedawkowała narkotyki i prawdopodobnie usiłowała popełnić samobójstwo, wprawiły mnie w osłupienie. Kolejną reakcją była złość.

– Z jakiego miasta pan dzwoni? – zapytałam, kucając przy lodówce.

Znowu miałam przez nią stracić czas. Choć teraz wiem, że tak naprawdę byłam cholernie przerażona. Mogła ćpać i zabawiać się, z kim chciała i jak chciała. Ale nie chciałam po raz kolejny wpuścić do swojego życia śmierci.

GODZINA 29.

– Dlaczego daty na moim telefonie i laptopie są wyzerowane?

Amelia brzdęka naczyniami, przerzucając je z szafki do zmywarki. Nie wiem, jaka w tym logika, ale może chodzi o sezonowe przetarcie. Albo o odkurzenie. Nie podoba mi się przy tym, że znowu wróciliśmy do kuchni. To stanowczo zbyt blisko Izabel.

Na górze nie mogłem jednak wytrzymać ani chwili dłużej. Widok tych wszystkich kartek, rozsypanych wspomnień i świadomość istnienia życia, z którego nic mi nie zostało, przyprawiały mnie o mdłości. Chciałem stłumić eksplodujące myśli, odkładając telefon. Przestałem pisać na minutę czy dwie i gdybym to robił choć sekundę dłużej, musiałbym podciąć sobie żyły. Albo zacząć łamać sobie palce, jeden po drugim, byle tylko powstrzymać narastającą frustrację.

Nie wytrzymałbym tego.

Tak samo jak myśli, że Amelia zeszła na dół i znajduje się w pobliżu Izabel. Nie chodziło nawet o to, że jest blisko niej. Ale o to, że jest bliżej niej niż ja.

– Wyzerowane? – pyta, zamykając zmywarke.

– Data to pierwszy stycznia, a godzina to ciągle północ.

– Jezu... Coś ty znowu wymyślił?

Wyciera ręce w lnianą ściereczkę, którą odkłada na blat. Przeczesuje palcami włosy. Znam jej ruchy, a jednocześnie jest mi zupełnie obca.

– Zmień ustawienia. – Wzrusza ramionami, jakby to jej wcale nie interesowało. – Nie szukaj nowych problemów...

– Tyle że... Zobacz.

Wyciągam telefon w jej stronę, lecz coś mi nie pasuje. Godzina rzeczywiście jest wyzerowana, ale po zminimalizowaniu pola tekstowego dostrzegłem datę. I to, zdaje się, prawdziwą. Nie mogę sobie przypomnieć, czy wchodziłem w ustawienia, żeby spróbować nastawić godzinę. Czuję się idiotycznie. Jakby na środku autostrady stanął mi samochód i rozebrałbym pół silnika, gdy po prostu zabrakło benzyny.

Piękna metafora...

– Nieważne. Coś mi się znowu pomieszało...

Amelia nie komentuje tego nawet słowem. Wzdycha i szybkim krokiem podchodzi do szafki, gdzie stoi ubrudzony szminką kieliszek. A jeżeli piła z niego Izabel? Jeżeli to nie jest pomadka mojej narzeczonej?

Nie wiem, co zrobić. Wyrzucam z siebie jakieś bełkotliwe słowa, Amelia nie zwraca jednak na mnie uwagi. Mechanicznie chwytając kieliszek i wraca do zmywarki.

Co za szczęście.

Nachyla się i... Widziałem to dosłownie w zwolnionym tempie. Brzęknięcie przez chwilę wibruje mi w czaszce.

– Kurwa...

Amelia podnosi rozbite szkło i wściekła otwiera śmietnik. Zrywam się, żeby jej pomóc, ale powstrzymuje mnie machnięciem dłoni. Odgania mnie jak namolnego psa, który łasi się w nieodpowiednim momencie. Tym razem zamiast metafory na przeczekanie wymyślam porównania. Nieźle...

Teraz oczywiście nie mogę przestać myśleć o godzinie i dacie. Zdaje mi się, że grzebałem w ustawieniach, ale chyba będę musiał to sprawdzić w swoim pokoju obietnic. Przedrzeć się przez setki stron i przynajmniej raz coś zweryfikować.

Może wtedy odzyskałbym pamięć?

Taka perspektywa wprawia mnie w lekką ekscytację. Tłumi ją narastająca świadomość, że być może wspomnienia płaczą się z tym, co przeczytałem wczoraj tuż po ocknięciu. Kilkadziesiąt stron z poszatkiwanym zapisem mojego życia. A może

wydumanych historii?

Tę myśl muszę sprecyzować.

Co, jeśli część „wspomnień” to mój żart z samego siebie? Jeżeli podczas któregoś z przebłysków wkurzony siadłem do laptopa i zacząłem pisać historię o facecie, który nigdy nie istniał. Całkiem idiotyczne rzeczy, byle tylko zrobić sobie złośliwego psikusa. Jak dziecko na złość rodzicom wkładające dłoń do ogniska.

Dość tych porównań.

W końcu wczorajszy dzień pamiętam całkiem wyraźnie. Z pewnością nie jest wytworem wyobraźni nasiąkniętej interpretacją paru stron pijackich wypocin.

A jeżeli właśnie jest?

To nie by się nie trzymało kupy. Zostało mi przecież jeszcze jakieś dziewiętnaście godzin, 48 – 29. Ponad doba za mną, ale powinienem ją doskonale pamiętać i muszę się tego trzymać.

Cholera.

Wszystkie dotychczasowe wątpliwości przerywa głośne zgrzytnięcie.

Płyty, która zasłania wejście do piwnicy.

30.08 13:01

@izakiziasmutaska

#dontknowwhereiam #deprecha #soundofsilence #mrok *Hello darkness, my old friend, I've come to talk with you again...* Znacnie to? Jest jeszcze #suicidesong, ale to nie moje klimaty. Życie nie jest pompatyczne.

Zaplanowałam ten post z myślą, że ostatnim głosem, jaki usłyszę będzie hipnotyzujący duet Simona i Garfunkela. A tu proszę, chyba nawet z miłością do muzyki mi nie wyszło ;(

Komentarze: 31 12 Udostępnień

Magda Wu Uwielbiam <3

Patrycja Szymaniuk Czy ktoś w tej sprawie zadzwonił na policję?
oswietleniewnetrzmaksymiuk.com Zapraszamy na naszą stronę z wyborem oświetlenia do wnętrza.

Piotr Bielski Głosujący na lewaków właśnie tak kończą. Z totalną depresją.

MariaBiczuk-Kot @EwelinaDuda wiadomo coś o sprawie?

Kościerz Chciałem Ci tu podziękować. Wiesz za co.

Kamila Paprocka Życie jest pompatyczne. Musisz to tylko docenić. Otoczeni światem pędzącym na oślep przestajemy to zauważać, ale wyjrzyj przez okno, popatrz w niebo, zastanów się, jak piękne są chmury i jakim cudem to wszystko się kręci. Życie naprawdę jest piękne.

Paweł Botor @KamilaPaprocka, moja poetko!

[Pokaż następne komentarze]

GABRIELA KRAUS

W sytuacjach nadzwyczajnych nawet ćpuny potrafią się zebrać w sobie. A może po prostu trafił swój na swego, a ja dorabiam ideologię. W każdym razie w szpitalu odwiedziłam Izę tylko dwa razy. Trzymała się dobrze, była w formie i nie zamierzała ze mną rozmawiać. Przypuszczałam, że całą sytuacją chciała jedynie zwrócić na siebie uwagę. Przecięła sobie żyły w lewym nadgarstku, a ból zapiła sokiem z jakimś rozproszkowanym świństwem. W sumie zachowała się jak amatorka. Cięcia w poprzek, do tego dokonane na ławce w parku przy temperaturze paru stopni na plusie. Najbardziej groziło jej wychłodzenie.

Widząc ją naburmuszoną, ale z pąsem na twarzy, poczułam głęboką ulgę. Być może wtedy nadeszło pierwsze oprzytomnienie. Przez dwie godziny starałam się do niej zagadywać. Oczywiście, odpowiadały mi martwa cisza i pikanie aparatury. Kroplówka skapywała zupełnie bezgłośnie.

Marcina poznałam na szpitalnym korytarzu. Przedstawił się, a podając mi dłoń, przezornie naciągnął rękawy bluzy i zapytał, czy nie powinnam być w firmie. Zaraz dodał, że nie muszę się o nic martwić. On najlepiej zajmie się Izą. Obiecał, że doda mnie do znajomych na Facebooku i będzie na bieżąco meldował o wydarzeniach. Kochany. A może tak kurewsko sarkastyczny.

Pierwsze poważne wyrzuty sumienia zaczęły mnie męczyć już wtedy. Poczucie dumy wygrało jednak z nimi w przedbiegach. Wysłałam córce bukiet kwiatów (ten kretyński pomysł podsunął mi szef marketingu), a kolejnego dnia słodczyce i list z informacją, że na jej konto wpłynął dodatkowy przelew. Prosiłam też, żeby się odezwała, kiedy tego zechce, bo sama nie będę jej zawracać głowy.

Wymówki, wymówki, wymówki.

Wtedy nasz kontakt urwał się prawie na rok. Muszę się jednak nieco wybielić. Po miesiącu wynajęłam prywatnego detektywa, by zdobył dla mnie jak najwięcej informacji o Izie. Wystarczyło mi to, że jest zdrowa, znalazła pracę i wychodzi na prostą. Plik akt, który dostałam w pakiecie, kazałam natychmiast zniszczyć. Po raz pierwszy poczułam wstyd, że chciałam zgłębić jej tajemnice. Skoro miałyśmy żyć złudzeniami, nie miałam z tym problemu. Ale miałam zapędy, by pozować na anioła stróża.

Po pół roku ten sam detektyw dosłał mi jeszcze parę kartek z przeglądem najnowszych wydarzeń. Tłumaczył to błędem zespołu, „który wskutek pomyłki dotyczącej analizy danych skupił się na niewłaściwej osobie”. Błąd został dostrzeżony, dane Izy – objęte ścisłą tajemnicą, a szef biura w ramach zadośćuczynienia przesłał mi rezultat prawie tygodniowej obserwacji. Całkiem za free.

Iza chodziła na terapię, wznowiła studia podyplomowe i wciąż się spotykała z Marcinem. Zdaje się, że nawet razem pomieszkiwali. W związku z moim całkowitym oderwaniem się od rzeczywistości oraz incydentem nie mam pojęcia, kiedy ich związek się rozpadł. Obyło się chyba bez większych żali i wzajemnych pretensji. Zrobili to ponoć „z klasą”. Wiem jednak, że sporadyczny kontakt utrzymują do dzisiaj. Nie przeszkadza mi to.

Osobiście o wszystko, co najgorsze w ich związku, podejrzewam narkotyki. Moja córka miała, o dziwo, dość rozumu, by w porę zerwać z patologicznym środowiskiem. Szczęśliwie przynajmniej te geny odziedziczyła po ojcu.

Marcin natomiast dopiero ostatnio połapał się, że ćpanie to nie najlepszy sposób na życie, i podobno zajął się projektowaniem stron internetowych. Wcześniej przez cztery lata studiował informatykę. Magisterki nie udało mu się obronić, bo o tym po prostu zapomniał. Z dnia na dzień przestał chodzić na zajęcia i wywalili go z uczelni. Teraz myślę, że starał się ponownie wkupić w łaski Izy. Sama przecież doskonale znam ten mechanizm.

W końcu próba zaimponowania dobrą robotą i wyjściem z nałogu

to coś więcej niż bukiet kwiatów.

Chyba nawet więcej niż niezły przelew.

GODZINA 30.

– Co robisz?

Dopytuję jak głupi, staram się skupić na sobie całą uwagę i czuję, że zaraz zemdleję. Amelia stoi na pierwszym z siedmiu stopni. Mruży oczy, zaskoczona moją nerwową reakcją. Najwyraźniej płyta nie służy do maskowania tajnych pomieszczeń. Jest zwykłym włazem, który ma nie razić swoją topornością.

– Coś usłyszałam. – Spogląda w dół. – Chyba znowu mamy szczury.

– Szczury...

– Tak, szczury – powtarza nerwowo i schodzi po schodach.

– Ja niczego nie słyszałem.

Biegnę za nią, a w głowie dudni mi krew. Znowu nie patrzę na ekran telefonu. Zastanawiam się, co powinienem zrobić, i, oczywiście, nie mam żadnych pomysłów.

Amelia już zeszła do piwnicy. Słyszę, jak krząta się obok metalowego regału, jak coś przesuwają i klnie pod nosem.

Może naprawdę mamy szczury?

Staję na górnym schodku i zerkam w dół. Pomieszczenie wypełnia mocne białe światło, więc za każdym razem musiałem przegapić włącznik. Albo po prostu instynkt nakazywał mi iść dalej. Nie zwracać uwagi na ciemność.

Amelia postawiła na posadzce konewkę i skrzynkę z narzędziami. Pochyla się, szukając czegoś na półce niżej. Na szczęście nie zwróciła dotąd uwagi na klucz przyczepiony do mojej szlufki. Zerkam na drzwi w głębi i nasłuchuję. Poza odgłosem przesuwanych szpargałów nie dobiega mnie żaden dźwięk.

– Nie mam czasu nawet się zdrzemnąć jak człowiek – syczy. –

Padam, ale zawsze coś. Wiecznie. Non, kurwa, stop.

– Mogę ci pomóc...

– W czym? Wyczarujesz trutkę?

– Mogę pojechać do sklepu – proponuję, niezbyt przekonany. – Albo moglibyśmy pojechać razem. Daj spokój...

Amelia nie poddaje się i dalej przeczesuje regał. Centymetr po centymetrze. Półka po półce. A ja zaczynam się cały nerwowo telepać.

– Chodź. Jak nie ma, to nie ma. Połóż się spać albo pójdźmy na spacer. Chyba czasem wychodzę z domu, co? Mam cholerną ochotę na krótki spacer...

Mówię szybko i głośno, starając się zagłuszyć wszystkie dźwięki, ale ona nie zwraca na mnie uwagi. Nagle się wyprostowuje. Odwraca się w stronę metalowych drzwi i przeczesuje palcami włosy.

– Słyszałeś?

Drętwieję.

– Nie...

– To z komórki.

– Niczego nie słyszałem.

Duszę się. Nie wiem, po co schodzę na dół. Amelia z powrotem odwraca się w stronę regału.

– Już raz szczury poprzegryzały kable od systemu antywłamaniowego i był problem. – Wzdycha. – Zresztą tu jest wieczny problem. Wieczny, cholerny problem.

Staję na cementowej wylewce. Amelia ponownie przebiera dłońmi między sprzętem ogrodowym. Jednak tym razem wyciąga coś niemal od razu. W dłoni trzyma klucz.

Taki sam jak ten przyczepiony do moich spodni.

Dobrze. Jeszcze raz przekonajmy się, co tam jest... Serce bije mi w gardle i mnie dławi. Kłódka szczęka. Amelia chwyta za klamkę i popycha drzwi. Z trudem utrzymuje telefon.

– Jezu, coś ty zrobił? Ty świrze!

Nie mogę wytrzymać jej pisku.

GABRIELA KRAUS

Gorączkowo przewijam okienko Facebooka. Nie mam numeru do Marcina. Nie wiem, jak miałabym się z nim skontaktować. Siedzę w samochodzie na parkingu przy plaży dwadzieścia siedem, a klimatyzacja pozwala mi utrzymać się w pionie. Zastanawiam się, czy w nocy w końcu coś piłam, ale mam nadzieję, że nie. Nie tylko dlatego, że wolałabym nie prowadzić pod wpływem. Mam sobie do udowodnienia znacznie więcej.

Co chwilę zerkam na górną krawędź ekranu, upewniając się, że nie przyszedł żaden esemes. Gdyby Iza pojechała na jakiś obóz odosobnienia, a jej opiekunowie zobaczyli materiał o zaginięciu, powinna się skontaktować. Choćby pisząc cholerne trzy słowa.

Wszystko w porządku.

Ostatni raz z Facebooka korzystałam przed trzema laty i trudno mi się we wszystkim połąpać. Jestem dinozaurem. Nigdy nie bawiło mnie wyszukiwanie internetowych znajomych, ale ludzie z marketingu uznali, że muszę założyć konto. Rzeczywiście, przez podobne portale ugruntowywało się znajomości, a prezes korporacji zza oceanu przestawał być tylko głosem w słuchawce. Doszło do tego, że zatrudniałam osobę, która czuwała nad wrzucaniem do internetu odpowiednich treści związanych ze mną oraz z firmą. Wizerunek musi być spójny, mówiono.

Udało się.

Znalazłam profil Marcina i zerkam na jego zdjęcie. Niewiele się zmienił. Może nieco przytył, spowaźniał, a przede wszystkim – zadbał o fryzurę. Zresztą chrzanię to. Uruchamiam komunikator i piszę do niego wiadomość. Kilka razy zmieniam jej treść. Ostatnia wersja też mi nie odpowiada, ale nie mam czasu na zabawę

w wiecznego redaktora.

Naciskam „wyślij”. Według zielonej ikonki mój rozmówca jest dostępny *online*. Ale to jedno. A to, czy mi w ogóle odpisze, to drugie.

Zerkam za okno na tłum zmierzających na plażę ludzi. Naprzeciw nich podąża inny tłum, kierujący się do klubu. To ci, którzy już się zmęczyli odpoczynkiem i chcą coś wypić lub zjeść. Kilka osób niecierpliwi się w kolejce do stoiska Natalii. Grupka wytatuowanych łysoli bez koszulek rechoce przy bocznej ścieżce. Co chwilę czujnie się rozglądają. Nietrudno się domyśleć, że palą skręta.

Dosłownie po paru sekundach od nadania wiadomości moja komórka głośno pika. Zaciskam na niej dłoń i rozświatlam ekran.

Gabriela Kraus

Cześć, możesz mi podać swój numer telefonu? Mam pilną sprawę.

Mar Cincin

Wiem, że Iza zaginęła. Pewnie znowu wybrała kilka dni oderwania się od świata. Już to przerabialiśmy.

Gabriela Kraus

Nie sądzę. Chciałabym zadzwonić. Wtedy szybciej wyjaśnię, w czym rzecz.

Mar Cincin

Wolę nie podawać swojego numeru. Możemy pisać. Tak jest łatwiej ;)

Łatwiej? Niby co jest, do cholery, łatwiejsze? Nie podoba mu się mój głos? A może się boi, że jeśli poda mi numer, zacznę go nękać po nocach? Z całej siły ściskam telefon i nerwowo przewijam ekran.

Mar Cincin

BTW wczoraj dzwoniли do mnie z policji. Ciekawe, skąd mieli na mnie namiar...

Gabriela Kraus

Gdybym miała na Ciebie zamiar, tobym właśnie dzwoniła. Nie powiedziałam im o Twoim istnieniu.

Mar Cincin

W sumie nie mogłem im przekazać nic konstruktywnego...
Zainteresowało ich jednak, co się kiedyś wydarzyło...

Gabriela Kraus

Co masz na myśli? Powiedziałeś im o szpitalu?

Mar Cincin

A to tajemnica?

Gabriela Kraus

Raczej nie pomoże w poszukiwaniach.

Mar Cincin

Tak jak i ja :(Czego właściwie chcesz? Sry, ale jestem w biegu.

Już kiedyś odzywał się do mnie na ty. Lata temu zwracałam mu uwagę, lecz teraz mam to gdzieś. Właśnie odejmował sobie jeden punkt w ubieganiu się o względy Izy. Choć chyba nieco naginam fakty.

Nabieram powietrza i powoli je wypuszczam. Doskonale wiem, po co do niego napisałam.

Gabriela Kraus

Muszę się dowiedzieć, jakie hasło jest na laptopie Izy.

Cisza.

[Mar Cincin pisze właśnie wiadomość...]

Trzy kropki zaraz znikają.

Cisza się przeciąga.

Gabriela Kraus

Jesteś?

Mar Cincin

Mam przejechać czterysta kilometrów, żeby zhakować jej laptop? Swoją drogą policja go nie zabrała? Gsus!

*czterysta

Gabriela Kraus

To bardzo ważne. Zapłacę Ci.

Mar Cincin

Pfffff... To obsesja! Naprawdę kolejny raz chcesz się mieszać w prywatne sprawy Izy? Niczego się nie nauczyłaś? Rób to BEZE MNIE!

Gabriela Kraus

Proszę. Daj mi numer, to Ci wszystko wytłumaczę. Nie chcę pisać przez komunikator.

Chwilę później dowiaduję się, że zostałam zablokowana. Moje wiadomości nie docierają już do adresata.

GODZINA 30.

Szarpiąc się, nie mogę pisać. Amelia wyrywała mi się, ale przynajmniej już nie ucieka. W dłoni ściska nóż. Wielki kuchenny nóż do cięcia mięsa. Kieruje go w moją stronę i spazmatycznie płacze.

Jesteśmy w kuchni. Stoję naprzeciw niej, starając się blokować drogę do wyjścia. Nie mogę pozwolić jej uciec. Za wszelką cenę musimy się uspokoić.

– Czekał, proszę, posłuchaj...

– Odsuń się ode mnie.

Robię krok w tył, nie odrywając wzroku od masywnego ostrza. Mogłaby mnie teraz zabić, a pewnie każdy sąd świata to ją uznałby za ofiarę. Nie mam co do tego wątpliwości.

Cofam się jeszcze o krok. Gdzieś za mną jest stół, ale się nie odwracam. Muszę coś powiedzieć. Muszę się jakoś wytłumaczyć, choć chyba wszystkie tłumaczenia znajdują się w pokoju na piętrze. Liczą tysiące stron. Dziesiątki tysięcy. Miliony.

– Nie pamiętam, kiedy to zrobiłem. – Ślina zasycha mi w ustach. – Nic z tego nie rozumiem. Absolutnie nic...

Tłumaczę się, lecz brakuje mi słów. Co mam niby powiedzieć?

– Musimy odnaleźć wszystko w tym, co napisałem. Nie wiem, skąd się tam wzięła ta kobieta ani dlaczego...

– Ona mieszka kilka domów dalej!

Tego też nie byłem pewny. Ale co za różnica, czy ją znamy? Amelia dyszy i zaciska obie dłonie na ręczce noża. Ma pobielełe knykcie.

– Wiesz, że nikogo bym nie skrzywdził.

Najgorsze jest, że sam tego nie wiem. Nie mam nawet pojęcia, czy

nie czerpię perwersyjnej przyjemności z mordowania. Amelia obchodzi mnie i zatrzymuje się przy oknie. Opiera się o skraj szafki.

– Jezu... To jakiś koszmar...

– Proszę cię...

Zastanawiam się jednak o co. O spokój? O zrozumienie? Skoro Amelia nie miała bladego pojęcia, że w piwnicy jest Izabel, teoria o seksualnym trójkącie upada.

Kurwa mać. To znaczy jedno. Muszę to napisać najwyraźniej, jak się da. Zadrukować całą stronę, żeby wiedział to na przyszłość i nigdy już nie tracił czasu na wątpliwości. O ile kiedykolwiek będzie to nigdy. Bez względu na fakt, że zaraz mogę oberwać nożem.

JESTEM PORYWACZEM A BYĆ MOŻE ZABÓJCĄ JESTEM
PORYWACZEM A BYĆ MOŻE ZABÓJCĄ JESTEM
PORYWACZEM A BYĆ MOŻE ZABÓJCĄ JESTEM
PORYWACZEM A BYĆ MOŻE ZABÓJCĄ JESTEM
PORYWACZEM A BYĆ MOŻE ZABÓJCĄ

– Dzwonię na policję... – Amelia kręci nerwowo głową. – Odsuń się.

Idzie w moją stronę z wyciągniętym przed siebie nożem. Cofam się i zahaczam o krzesło.

– Nie rób tego, proszę...

– Powinni cię zamknąć w pokoju bez klamek.

Może ma rację.

– Nie chcę się tam obudzić, nie pamiętając, dlaczego mnie tam wsadzono. To niesprawiedliwe. Niesprawiedliwe...

Powtórzyłem to chyba z dziesięć razy. Ale naprawdę czuję się oszukany. Dlaczego to spotkało akurat mnie?

– Wypuszczę ją. Chciałem z nią porozmawiać, dowiedzieć się, co zrobiłem... Możesz przeczytać, że cię teraz nie okłamuję.

– Odsuń się!

– Wszystko załatwimy. Pójdę na jakąś terapię, na...

Sam nie wiem na co. Jakie są sposoby wyprowadzania świrów z szaleństwa bez zamykania ich w pokojach bez klamek?

– Boję się. – To szczere wyznanie. – Nie przeżyję, jeżeli mnie odizolują. Może kiedy się obudziłem, nie pamiętałem o tobie, ale gdzieś w środku wiedziałem, że jesteś... Wiedziałem, że mogę się czuć bezpiecznie. Że całe to gówno...

– Bezpiecznie? – Amelia ociera łzy wierzchem dłoni. Przez cały czas zaciska palce na rączce noża. – Boję się ciebie, a nigdy się nie bałam! To chore! Nic nie jest bezpieczne.

– Poradzimy sobie z tym. Obiecuję. Nie mam pojęcia jak, ale...

– Uwięziłeś kobietę w naszej piwnicy! Nie wierzę, po prostu, kurwa, nie wierzę.

Coś przychodzi mi do głowy.

– Może ktoś mnie wrabia? Może to wcale nie ja?

– Na pewno. – Amelia wybucha nerwowym śmiechem. Przesuwa się w stronę holu, a ja nie mogę jej zatrzymać. – Ktoś stroi sobie żarty, włamał się do nas do domu i zamknął w piwnicy gołą kobietę. Albo raczej wcześniej ją rozebrał i... Widziałeś, co ona ma w ustach?

Idzie tyłem, wciąż mierząc we mnie nożem. Zatrzymuje się przy stoliku, na którym stoi telefon.

– Błagam cię...

– Nie możemy tego cofnąć. – Chwyta słuchawkę i zaciska na niej dłoń. – Jesteś niepoczytalny, ograniczenie poczytalny, cokolwiek, ale to już znacznie więcej niż tylko szaleństwo. Mogę co dwa dni prowadzić z tobą te same rozmowy. Mogę ci przypominać, kim jestem i kim ty jesteś. Naprawdę zdążyłam się przyzwyczaić. Ale to...

– W psychiatryku się zabiję. Zrobię wszystko, żeby się zabić. Nie przeżyję tego.

Nie tylko wyrzucam z siebie te hasła, lecz także naprawdę czuję, że tak będzie.

Amelia drży jeszcze bardziej niż ja. Mógłbym do niej doskoczyć i wyrwać jej nóż, ale nie zrobię tego. Jeżeli będę miał szczęście

i zgodzisz się to przeczytać, wiedz, że nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby zrobić ci krzywdę.

Odkładasz słuchawkę na bazę i płaczesz. Nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczny. Obserwuję, jak wybiegasz z domu i...

GABRIELA KRAUS

Do Baltic Resort mogę wrócić albo wijącą się wzdłuż morza dziurawą szosą, albo drogą krajową. Biorąc pod uwagę zjazdy, dystans jest podobny. Biorąc pod uwagę komfort podróży, wygrywa krajówka. Ale nie czuję się na siłach włączyć do ruchu, gdzie średnia prędkość to sto pięćdziesiąt na godzinę, a wszystko wolniejsze należy bezwzględnie strąbić lub ostentacyjnie się z nim zrównać i popukać w czoło.

Dlatego jadę wąską, nawet zbyt wąską drogą z ładnym widokiem. Co prawda, nie zwracam na niego żadnej uwagi, ale czasem kątem oka odnotowuję skrzącą się toń morza. Na tym odcinku przebija spomiędzy sosnowych pni i poskręcanych koron. Opuszczam szybę, a do środka wpada świeże powietrze. Nigdzie nie ma piękniejszego zapachu niż w takich miejscach.

Jakieś trzy miesiące temu przyjechałam tu z Izą, zostawiłyśmy auto na symbolicznym poboczu i poszłyśmy na plażę. Okropnie wiało, a my, owinięte kocami, przez parę godzin gapiliśmy się w morze. Wzięłyśmy ze sobą książki, ale nawet ich nie otworzyłyśmy. Popijałyśmy gorzką mrożoną herbatę, łapałyśmy pierwsze promienie letniego słońca i żartowałyśmy, że powinnyśmy zabrać raczej termos. Wokół nie było prawie nikogo. Szeroką plażę otaczają lasek i nieużytki. Do najbliższej miejscowości jest kilka kilometrów.

Odrzucam te myśli i skupiam się na prowadzeniu. Muszę zwolnić, bo na odcinku kilkuset metrów ulica zamienia się w asfaltówkę. Drobne kamyczki bębnią o podwozie. Moja lewa noga znowu drętwieje, ale to nic. Przyzwyczaiałam się, że maksymalnie po kwadransie w aucie tracę nad nią kontrolę. Nie mam pojęcia

dlaczego. Siedzenie w kubelkowatym fotelu volvo jest równie wygodne, co wylegiwanie się w łóżku. Automatyczna skrzynia biegów wszystko robi za mnie.

Po raz kolejny wraca wspomnienie chwil spędzonych wspólnie na plaży. Na języku czuję smak tamtej herbaty. Pamiętam kształt chmur, które zbierały się na horyzoncie. I to, że Iza się położyła, oparła głowę na moim udzie, a potem zasnęła. Spokojnie i mocno.

Zaciskam zęby tak gwałtownie, że aż zgrzytają. Zbliżam się do skrzyżowania, za którym powinnam dalej jechać szutrową drogą, lecz moje dłonie same obracają kierownicę. Wiem, że teraz celem nie jest dom. Muszę dopilnować własnych spraw.

Muszę dopilnować spraw Izy, choćby się jej to nie podobało.

Prowadzę mniej sprawną lewą dłonią, a prawą przeczesuję torebkę. Staram się nie odrywać wzroku od drogi. Jest wprawdzie lepsza niż wcześniej, ale cholernie wąska i pozbawiona pobocza. A w okolicznych lasach często włączają się przekonani o własnej nieśmiertelności grzybiarze. Potrafią wejść na jezdnię tak, jakby przecinali kolejną ścieżynę. Zamiast się rozejrzeć, gapią się dalej pod nogi. Fakt, asfalt ma dziury, ale liczenie, że wyrosną w nich prawdziwki, to chyba przesada.

Zaczynam być rozdrażniona.

Wyrzucam na fotel pasażera szczotkę do włosów, tusz i fluid. Przynajmniej tak sędę po ich kształtach. Paczka tabletek przeciwbólowych, portfel, klucze...

Chyba mam.

Wyciągam sztywny kartonik i na moment odwracam wzrok. Zgadza się. Na wizytówce Mariusza Libnera jest nie tylko jego stopień i numer kontaktowy, lecz przede wszystkim adres komendy, w której pracuje. Wiem, jak tam dojechać. Nie potrzebuję pomocy GPS-u, ale mimo wszystko wolę się nie zgubić. Nie dzisiaj.

Nie teraz.

GODZINA 31.

Amelia nie może tego nigdy przeczytać. Nie mam pojęcia, co znajduje się na tych wszystkich stronach, ale muszę sobie z tym poradzić.

Dam radę.

Żadnego zwracania się bezpośrednio do niej, żadnych idiotycznych inwokacji, metafor i podtekstów. Skoro brak mi piątej klepki i muszę ciągle pisać, trudno. Ale należy robić to uczciwie. Tak żebym sięgając po kartki, mógł cokolwiek zrozumieć.

Czterdzieści dziewięć procent.

O właśnie. Nawet to gówniane odnotowywanie poziomu baterii. Po co mi to? A jednak pisząc, odciągam myśli i na ułamek sekundy zapominam. Zapominam o tym, że zapomniałem.

Amelia jest kilkadziesiąt metrów przede mną. Co chwilę podbiega i się odwraca, ale nie tracę jej z oczu. Minęliśmy trzy czy cztery identyczne posesje i znajdujemy się na kolejnej ulicy kopistów. Takie same mury, takie same domy, tylko żywopłoty się różnią. Niektóre z nich to gęste ciemnozielone krzewy przycięte do wysokości murów, a niektóre – mniej lub bardziej lite ściany z tuj lub modrzewi. Tylko po jaką cholere je sadzić, skoro tuż za nimi jest faktyczna ściana?

Wyglądają ładnie, to fakt, ale pewnie tylko latem. Albo zimą, kiedy oblepione gęstym śniegiem dodają okolicy bajkowego uroku i przypominają choinki. Przebłysk wspomnień, że ostatnie święta spędziłem właśnie tu, sporo wyjaśnia.

Mija mnie dwóch nastolatków ubranych jedynie w szorty do pływania i klapki. Kopia do siebie pomarańczową piankową piłkę. Taką, którą można się bawić w wodzie, bo nawet jeśli nasiąknie, to

nie tonie. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek miałem podobną. Ale po prostu to wiem.

Amelia skręca w kolejną uliczkę i muszę przyspieszyć. Chyba nie wzięła ze sobą komórki, a poza tym nie mam pojęcia, dokąd idzie. Czy po prostu ucieka? Nie krzyczy i nie biegnie. Uparcie stara się utrzymać mnie na jak największy dystans, ale ja idę szybkim krokiem i zachowuję od niej dość stały odstęp. To kolejna gra, której reguły wcale mi się nie podobają. Zaczyna mnie boleć udo.

Do tego staram się zapamiętać tę drogę. Będę musiał jakoś wrócić do domu, który pozostawiłem otwarty, z uchyloną bramą i niezamkniętą furtką. W sumie gdyby mnie okradziono, za paręnaście godzin już bym o tym nie wiedział. Jeżeli nie będę pamiętał, że miałem złoty rolex, to tak, jakbym go nigdy nie stracił.

Miałem unikać zbędnej paplaniny, ale to niemożliwe. Nie można bez przerwy notować tego, co się widzi wokół. Albo nie ma się na to zwyczajnie ochoty.

Dom po prawej ma sraczkowaty kolor.

Tak samo jak dom po lewej.

Trawnik cuchnie gównem.

Niebo robi mnie w wała.

Uliczka krzyżuje się z kolejną, jeszcze węższą. Ruch na niej jest jednokierunkowy i obowiązuje tu zakaz parkowania. Znak, co prawda, przysłania wysoka brzoza, ale i tak wszyscy się stosują. Nie ma tu pewnie przypadkowych gości. Choć o sobie mógłbym chyba tak powiedzieć.

Gość.

Moja narzeczona jest już na końcu uliczki. Za nią rozciąga się ściana sosnowego zagajnika, który widziałem z pokoju na piętrze.

– Zostaw mnie w spokoju! – wrzeszczy, a jadący na rowerze mężczyzna się odwraca.

Ja również odwracam twarz, bo nie chcę, żeby ktokolwiek zwrócił na mnie uwagę. Jeszcze bardziej przyspieszam kroku. Amelia ginie wśród drzew i boję się, że ją zgubię. Nie mogę na to pozwolić. Muszę jej powiedzieć, że nic jej nie grozi i że wszystko jakoś

załatwię.

Biały top widać z daleka, a sosny są tak rzadkie, że trudno się między nimi schować. Nawet nie odnotowałem momentu, kiedy włożyła krótką, kraciastą spódniczkę.

Cholera. Czy z upływającym czasem moja pamięć zaczyna szwankować? Zostało mi siedemnaście godzin. Szesnaście z małym hakiem.

Jest mi piekielnie gorąco, mimo że wieje delikatny, rześki wiatr. Otarłem się o jedną z gałęzi i igły posypały mi się za kołnierz. Czuję też intensywny zapach żywicy, która skleiła mi włosy. Co chwilę patrzę pod nogi, bo muszę uważać na wystające korzenie, doły i niewielkie piaskowe osuwiska. Amelia kluczy między drzewami, nie trzymając się wydeptanej ścieżki. Nieco zwolniła, więc zbliżyłem się do niej na jakieś dwadzieścia metrów.

Może mniej.

Powinienem krzyknąć z radości, bo spomiędzy drzew przebija błękit morza. Zamiast tego mam ochotę zakląć. Już stąd słyszę krzyki dzieciaków i uciszających ich rodziców. Widzę pierwsze kolorowe ręczniki znaczące przysypane piaskiem leżaki. Nie ma ich wiele, na plaży jest jeszcze trochę wolnego miejsca. Widać nie jest to najpopularniejsza lokalizacja albo na Bałtyk znowu wpłynęły lodowate prądy.

Znowu?

A kiedy wpłynęły ostatnio?

I tak ludzi jest wystarczająco dużo, by Amelia poczuła się bezpieczna. Zatrzymała się, zdjęła buty i spogląda na mnie wyzywająco. Tuż obok niej trzech osiłków dźwiga na ramionach rower wodny. Każdy z nich mógłby skrócić mi kark.

– Daj mi spokój!

W ogólnym rozgardiaszu nikt nie zwraca uwagi na jej kategoryczny, przesiąknięty strachem ton. Mówi głośno, ale już nie krzyczy.

– Proszę cię. Daj mi trochę czasu, a jakoś sobie z tym poradzę.

– Niby jak? – Zaciska dłonie na sportowych butach. – Niby,

kurwa, jak?

– Nie zgłaszaj się na policję. – Staram się patrzeć jej w oczy, a nie na telefon. – Porozmawiam z tą kobietą, może zaoferuję jej pieniądze albo... Mamy chyba dość kasy, prawda? Może się stąd wyprowadzimy? Na jakąś cholerną bezludną wyspę? Przynajmniej tam będę niegroźny.

Staram się zażartować, ale przez usta Amelii nie przebiega nawet cień uśmiechu.

– Hej! – Chcę złapać jej dłoń, lecz nie pozwala mi na to. – Wiesz, że nigdy bym cię nie skrzywdził.

– Naprawdę?

To chyba pytanie. A ja chciałbym zaklinać się na wszystkie świętości, że tak, właśnie tak. Tyle że obietnice w moich ustach brzmią pewnie zupełnie żałośnie.

– Czuję to. I czułem dziś przez cały dzień, odkąd cię zobaczyłem.

– To słaba gwarancja – parska. – Poza tym pójdiesz siedzieć albo zamkną cię na dobre w psychiatryku. A mnie razem z tobą.

Amelia odwraca się i spogląda gdzieś w stronę morza, lecz w górę. Teraz też słyszę huk przelatującego helikoptera. Nadlatuje zza niewielkiego klifu, który zamyka plażę. Leci kilkadziesiąt metrów nad taflą wody. Ale to nie jest mój jedyny problem.

W naszą stronę, środkiem przejścia między leżakami, zmierza trzyosobowy patrol policji.

– To nie jest pierwszy raz, kiedy to zrobiłeś – szepcze Amelia.

GABRIELA KRAUS

Kołobrzeg znam jak własną kieszeń. To tu leżałam parę tygodni w szpitalu, co, oczywiście, wyklucza zwiedzanie, ale pomaga usłyszeć wiele historii. W szpitalach człowiek dowiaduje się o miastach więcej niż z przewodników. Poza tym jestem tutaj co tydzień lub dwa na większych zakupach, w czasie których regularnie zahaczam też o księgarnię. Zgarniam wszystkie branżowe nowości, żeby chociaż tyle łączyło mnie z dawnym życiem. „To dobre dla stabilności psychiki” – zapewnił mnie terapeuta, więc nie polemizowałam.

Kołobrzeg jest uroczy.

Fakt, że sprawą Izy zajmuje się miejscowa komenda, a nie Koszalin lub Szczecin, nieco mnie uspokaja. To chyba dość pokrętna logika, ale jeżeli policja przykłada do sprawy mniejszą wagę, może ma podstawy, by ją bagatelizować? Chociaż...

Mimochodem zauważam, że wbijam sobie paznokcie w dłoń. Staram się rozluźnić, uspokoić oddech i poukładać myśli. Policjant robiący za recepcjonistę co chwilę łypie na mnie spode łba. Poza nami w pomieszczeniu nie ma nikogo. Przed chwilą dwójka funkcjonariuszy wyprowadziła skutego chłopaka, który pewnie nie miał jeszcze osiemnastu lat. Na plastikowym stoliku leży maskotka – miś w policyjnym mundurze, a na wielkiej tablicy jest rozpiska z co najmniej setką numerów alarmowych. Gdybym miała którykolwiek znaleźć, zajęłoby mi to wieki.

Nagle drzwi na czip się rozsuwają i Libner skinieniem głowy zaprasza mnie do siebie. Mamrocze coś pod nosem, a ja odpowiadam mu głośnym „dzień dobry”. Zero reakcji.

Po chwili wlokę się wąskim korytarzem, który przygotowuje mnie

o zawroty głowy. Od czasu incydentu bez żadnego konkretnego powodu nie lubię zamkniętych przestrzeni. Staram się skupić wzrok na szerokich plecach policjanta, co nieco mnie uspokaja. Lecz tylko nieco.

Buty komisarza wystukują rytm, który psuję pokraczonym stukaniem mojej laski. Libner co parę metrów zwalnia, żebym mogła za nim nadążyć, ale nie odzywa się nawet słowem. Nagle zatrzymuje się i przepuszcza mnie w drzwiach do małego gabinetu. W środku znajduje się zawałone teczkami biurko, dwie szafy i kilka krzeseł. Na ścianie wiszą plakat szkoły oficerskiej oraz jakiś dyplom. Nie widzę ani dla kogo, ani za co.

– Słucham panią. – Komisarz opada na skórzany fotel, a mnie wskazuje krzesło po drugiej stronie biurka.

– Nie chciałam przeszkadzać, ale...

– Proszę mówić śmiało.

– Dziękuję. – Siadam i postanawiam od razu przejść do sedna. – Powinien pan przesłuchać Mikołaja Popławskiego – mówię jak na spowiedzi.

Libner marszczy brwi i lekko opuszcza głowę. Nikt nie lubi, gdy ktoś wpieprza mu się w robotę.

– To jeden z sąsiadów.

Nie wiem, czy właśnie zadał pytanie, stwierdził fakt, czy pochwalił się rozeznaniem w temacie. Przygryza wargi i ociera dłonią pot z karku. Zerka w stronę wyłączzonego wiatraczka, ale nie uruchamia go. W pokoju rzeczywiście jest cholernie gorąco i duszno. Powietrze można by kroić nożem.

– Mieszka kilka domów dalej – precyzuję. – Koleguje się z moją córką, może nawet coś więcej, choć nie wiem tego na pewno. W każdym razie wczoraj poszłam do niego, bo chciałam...

– Poszła pani do niego?

– Czy to przestępstwo?

Libner kręci głową. Zniecierpliwiony pochyla się, dając mi znać, żebym mówiła dalej. Jego kwadratowa szczeka porusza się tak, jakby żuł gumę.

– W notesie mojej córki znalazłam numer telefonu podpisany jako, cytuję, „Zwyrol”. – Wypatruję choćby symbolicznej reakcji, ale komisarz nie okazuje żadnych emocji. – Zadzwoiłam tam i okazało się, że odebrał właśnie Popławski. Jak powiedziałam, byłam u niego i wydał mi się cholernie dziwny. Jakby oderwany od rzeczywistości. Nie wiem, jak to nazwać, ale... Cholera.

Zacinam się, bo właściwie nie wiem, co miałabym powiedzieć. Czuję, że to bez sensu. Że wielki przełom w poszukiwaniach mojej córki, który chciałabym spowodować, to tylko gówniana wydmuszka. Nakręcałam się. Od wczorajszego wieczoru nie robiłam nic poza szukaniem wymówek.

Z oczu ciekną mi łzy. Doskonale wiem, że jeżeli się teraz odezwę, nie będę w stanie opanować drżenia głosu. Opuszczam głowę, a komisarz podsuwa mi opakowanie chusteczek. Wstaje z fotela i do mnie podchodzi. Ciężko wzdycha.

– Proszę mnie posłuchać – zaczyna po chwili. – Robimy, co możemy, i nie wykluczamy żadnego scenariusza. Rozpytaliśmy już sąsiadów, kończymy przeglądać monitoring. Dziś rano jeszcze raz ściągnęliśmy psy.

– I? – Tylko tyle jestem w stanie wydusić.

– Na razie nie mogę powiedzieć nic konkretnego. Poza tym... – Libner na ułamek sekundy zawiesza głos. – Czy wiedziała pani, że pani córka prowadziła specjalny profil w mediach społecznościowych?

Wzruszam ramionami. Nie miałam o tym pojęcia.

– Specjalny? – dopytuję, bo to przecież słowo klucz.

– Izakiziasmutaska.

Nie uśmiecha się. To nie był żart.

– Co takiego?

– Wpisy, które tam zamieszczała, nie brzmią najlepiej. – Libner robi krok w stronę okna. Przybiera formalny ton. – To zbiór żalów, samobójczych sentencji i wołań o pomoc. Pod spodem fala paskudnych komentarzy. Ludzie w sieci bywają prawdziwymi skurwysynami.

Ocieram oczy i patrzę na niego pustym wzrokiem. Nie rozumiem jego ostatnich słów.

– Sama prowadziła terapie – szepczę. – I wiem, że też korzystała z pomocy...

– A w internecie wylewała żale anonimowo. To znaczy: prawie anonimowo. Poza tym ten list... –Komisarz splata ręce na piersi i powoli wciąga powietrze. Nie spuszcza ze mnie wzroku. Ma poważną minę, ale wydaje się autentycznie zmartwiony. – Wiem, że nie ma na nim śladów – wzdycha. – Muszę jednak panią poinformować, że poważnie rozważamy możliwość samobójczego targnięcia się na życie. Nie chcę pani straszyć ani być głoscicielem złej nowiny, ale...

Przerywa, a ja wybucham niepowstrzymanym płaczem. Może naprawdę istnieje jakiś pieprzony gen samobójcy?

GODZINA 32.

– Słucham?

Staram się nie patrzeć w stronę policjantów. Zatrzymali się właśnie przy jakimś grubasie z piwem w dłoni, ale nie są chyba zainteresowani wystawieniem mandatu. Mają ważniejsze sprawy na głowie.

– Już raz to przerabialiśmy. – Amelia zaciska pięści. Przynajmniej po drodze wyrzuciła gdzieś nóż i nie wymachuje mi nim przed twarzą.

– Co przerabialiśmy? Chyba nie...

Kiwa głową.

– Właśnie to. Wtedy też obiecywałeś mi niestworzone rzeczy. Masz przecież pełną kontrolę nad swoim zachowaniem. Dokładnie to powtarzałeś mi wtedy aż do znudzenia. Do tego byłeś bardziej przekonujący, bo ciągle płakałeś.

– Jezu...

– I wiesz co? – Nabiera powietrza i patrzy mi prosto w oczy. – Nie wiem, jak wtedy rozwiązałeś ten problem.

Ostatnie słowa niemal literuje. Pewnie takiego eufemizmu wtedy używaliśmy. Ten problem...

– Jak to: nie wiesz?

– Wyszłam z domu, a kiedy wróciłam, tej dziewczyny już nie było – wyjaśnia pospiesznie.

Zerka w stronę policjantów. Zbliżają się do nas, czujnie rozglądając się po plaży.

– Tyle że wtedy nie była goła. Znalazłam ją otumanioną na podłodze w kuchni. Może się do niej dobierałeś? – Uśmiecha się ponuro i wzrusza ramionami. – Co za różnica? W końcu nie

pamiętałeś, że jesteś ze mną.

Szlag. Szlag. Szlag.

– Nie powiedziałem ci, co z nią zrobiłem?

– Nie.

– I nie znalazłaś żadnych... Nie wiem, wskazówek, śladów, czegokolwiek?

– Chodzi ci, na przykład, o ślady krwi? – Przekrzywia głowę. Z jej oczu znów płyną łzy. – Nie, kochanie. Nic takiego nie znalazłam.

– Musimy...

– Musimy to skończyć.

Nim zdążyłem się odezwać, Amelia się odwróciła i ruszyła w kierunku policjantów. Przyspiesza kroku, wbija pięty w sypki piasek. Boże... Rozglądam się, w którą stronę mogę uciec. Mogę tego nie pamiętać, ale raczej nie jestem mistrzem świata w sprincie. Jedyna szansa to droga, którą przyszliśmy. Gdybym pierwszy dopadł do sosnowego lasku...

Amelia podchodzi do patrolu.

Nagle zwalnia i spogląda na mnie wyraźnie zaskoczona, że nie pobiegłem za nią. Że nie sprowokowałem interwencji, która mogłaby wszystko zakończyć bez jej bezpośredniego udziału. Jeżeli teraz mnie zdradzi, nie będę miał żadnego odwrotu.

Proszę, nie...

Odwraca wymownie głowę. Mija zamek z piasku i kieruje się ku krótkiemu bulwarowi, przy którym jest kilka budek z przekąskami. Znika między nimi, lecz nie zamierzam jej ścigać. Nie teraz. Ma mnie po uszy i ani trochę się temu nie dziwię.

To czyste szaleństwo.

Mogę napisać tylko tyle, że Amelia właśnie znikła z mojego życia. A ja nie wiem, czy na zawsze, na chwilę, czy tylko na ten czas, który został mi z moich czterdziestu ośmiu godzin. Po raz pierwszy poza wszechogarniającym chaosem czuję też potworną pustkę.

Przynajmniej przez kilka godzin będę wiedział, kim naprawdę jestem.

GABRIELA KRAUS

– Nie mogę udzielić pani podobnych informacji.

Kobieta z włosami zebranymi w kucyk tak mocno, że niemal wychodzą jej oczy, nawet na mnie nie patrzy. Całą uwagę skupia na tym, by jej potwornie długie krwistoczerwone szpony nie utknęły w szczelinach między klawiszami. Przepisuje coś w żółtym tempie.

– To moja córka. – Wyjmuję z torebki portfel i rozchylam go, żeby pokazać dowód.

Znowu całkowity brak zainteresowania.

– Zdaje się, że jest pełnoletnia.

– Co za różnica? To moja córka!

– Powtarzam, że nie mogę udzielić pani żadnych informacji. – Zostaję obdarzona pierwszym spojrzeniem małych, powiększonych przez prostokątne okulary oczek. – Jedna sprawa, że odpowiadam przed szefem, a druga, że to przestępstwo. Przykro mi.

Gównu prawda.

Opieram się na lasce. Często się sądzi, że inwalidzi specjalnie podkreślają swoje ułomności. Wcale nie. To ułomności podkreślają ich słabość w chwilach, gdy najbardziej pragną ją ukryć. Pokrętne, ale prawdziwe.

Przenoszę ciężar na marmurowy blat. Pochylam się w stronę sekretarki i spoglądam jej prosto w oczy. Przez dwie, trzy sekundy łapiemy kontakt.

– Ona zaginęła... – szepczę. – Policja prowadzi poszukiwania, ale nie mamy śladu...

Kobieta zaciska wargi. Serce mocniej łomocze mi w nadziei, że się nade mną zlituje. Że litość w jej sercu przeważy nad strachem.

– Nie mogę... Przykro mi.

Nogi się pode mną uginają. Męczyzna w kolejce za moimi plecami nerwowo sapie.

– Mam panią błagać? – W żadnej innej sytuacji nie zniżyłabym się do tego poziomu. – Zapłacę pani, ile pani zechce. Tysiąc? Dziesięć tysięcy? Albo wiem! – Chcę szeptać, a chyba krzyczę. – Żeby nie było problemów, wykupię dla pani i rodziny świetne wczasy. Kiedy bierze pani urlop?

Sekretarka kręci głową. Rozgląda się w poszukiwaniu ochroniarza.

– Proszę odejść.

– Ale...

– Proszę odejść. Nie mogę pani pomóc.

Puszczam laskę i walę z całej siły dłonią o marmur. Nie czuję bólu.

– Czy pani tego, kurwa, nie rozumie?! – Wybucham dziką furją. Nie kontroluję słów. – Chcę się dowiedzieć, kto leczy moją córkę! Przed dwoma dniami wyszła z domu, zostawiła pierdolony list pożegnalny i nie wiem, gdzie jest. Muszę porozmawiać z jej terapeutą! To nie jest sprawa pieprzonych procedur, tu chodzi, do kurwy nędzy, o jej życie!

Zyskałam jedynie tyle, że cała poczekalnia wbiła we mnie spojrzenia. Czuję, jak mnie oblepiają. Lustrują i przeszywają na wylot, wystawiając mi jak najgorszą ocenę. Według nich jestem pewnie kolejną wariatką. Nie zdają sobie sprawy, że kolejną, to znaczy taką samą jak oni.

– Pieprzone świry! Na co się gapicie?!

Jestem załosna, ale mam to gdzieś. Z trudem schylam się po laskę. Moja noga zupełnie cierpnie, tracę równowagę i prawie upadam. Przed wybiciem zębów chronią mnie jedynie przytępiały już refleks i prawa dłoń. Chociaż ta, po tym, jak przywaliłam w blat, zaczyna już puchnąć.

Ktoś chwyta mnie za ramię. Wyrrywam się, lecz uścisk jest bardzo silny i nie pozostawia mi pola manewru. Jedyne, co mogę, to

pozwoić się prowadzić. Dopiero po chwili udaje mi się podeprzeć na lasce i obrócić.

Wysoki, choć wcale nie mocarny ochroniarz wlecze mnie pod ramię do wyjścia.

– Proszę natychmiast opuścić ten budynek. – Zatrzymuje się jakieś dziesięć metrów od drzwi.

– Bo co? Procedury zabraniają mnie pobić?

– Bardzo panią proszę.

– W dupę sobie wsadź proszenie. – Mam ochotę zdzielić go w twarz.

Ktoś musiał powiedzieć coś cholernie śmiesznego, bo część korytarza zanosi się śmiechem. Inni patrzą na mnie pustymi spojrzeniami. Może w którymś z nich kryje się współczucie – ale raczej nie ma co na to liczyć. W głębi trzasnęły drzwi gabinetu.

– Jeżeli pani nie wyjdzie, będę musiał wezwać policję. – Ochroniarz ma co najwyżej dwadzieścia lat i okrągłą głowę. Wydaje się zażenowany całą sytuacją. – Ja tylko robię to, co muszę.

– Jasne – odpuszczam. – Wszyscy robimy to, co musimy.

Ostentacyjnie przeglądam dzinsy i poprawiam torebkę. Kuśtykając, ruszam do drzwi. Naiwnie myślałam, że w przychodni terapeutycznej ktoś przymknie oko na procedury i będzie gotów mi pomóc. Świat przesiąkł znieczulicą.

Wychodzę na dwór i wciągam rozgrzane, śmierdzące nagrzanym asfaltem powietrze. Nie mam pojęcia, co dalej. Skończyły mi się pomysły i zdaje się, że wszystkie okazały się totalną klapą. Zrobiłam z siebie idiotkę. Przez godzinę przekonywałam komisarza, że Iza z pewnością nie miała teraz myśli samobójczych. Jej przeszłość nie miała znaczenia. A blog? Nie mam pojęcia, dlaczego go prowadziła. Do tego bon moty o pięknie umierania nie były w jej stylu. Nigdy.

Ona, tak samo jak ja, zapadała się w sobie w absolutnym milczeniu.

Staję pośrodku parkingu i szukam wzrokiem auta. Nie pamiętam, gdzie zaparkowałam. W ogóle mam wrażenie, że w głowie ktoś

bełta mi wielką, rozgrzaną do czerwoności łyżką. Nie jestem nawet pewna, czy na komisariacie tkwiłam przed paroma godzinami, czy przed tygodniem.

Łapczywie chwytam powietrze. Muszę się oprzeć o czarny SUV. Jego karoseria prawie mnie parzy.

– Pani Kraus?

Zza samochodu wychodzi kształtna, zgrabna brunetka. Jest ubrana w spódnicę i elegancki żakiet z koronką. Na nogach ma co najmniej dziesięciocentymetrowe szpilki, ale porusza się, jakby stanowiły przedłużenie jej stóp. Niesamowite.

Zatrzymuje się tuż obok mnie i nerwowo rozgląda.

– Jestem terapeutką Izy – szepcze. – Porozmawiajmy za czterdzieści minut w kawiarni Yellow Submarine. Wie pani, gdzie to jest?

Kiwam głową, a kobieta natychmiast odchodzi.

GABRIELA KRAUS

– Nie mogę udzielić pani podobnych informacji.

Kobieta z włosami zebranymi w kucyk tak mocno, że niemal wychodzą jej oczy, nawet na mnie nie patrzy. Całą uwagę skupia na tym, by jej potwornie długie krwistoczerwone szpony nie utknęły w szczelinach między klawiszami. Przepisuje coś w żółtym tempie.

– To moja córka. – Wyjmuję z torebki portfel i rozchylam go, żeby pokazać dowód.

Znowu całkowity brak zainteresowania.

– Zdaje się, że jest pełnoletnia.

– Co za różnica? To moja córka!

– Powtarzam, że nie mogę udzielić pani żadnych informacji. – Zostaję obdarzona pierwszym spojrzeniem małych, powiększonych przez prostokątne okulary oczek. – Jedna sprawa, że odpowiadam przed szefem, a druga, że to przestępstwo. Przykro mi.

Gówno prawda.

Opieram się na lasce. Często się sądzi, że inwalidzi specjalnie podkreślają swoje ułomności. Wcale nie. To ułomności podkreślają ich słabość w chwilach, gdy najbardziej pragną ją ukryć. Pokrętne, ale prawdziwe.

Przenoszę ciężar na marmurowy blat. Pochylam się w stronę sekretarki i spoglądam jej prosto w oczy. Przez dwie, trzy sekundy łapiemy kontakt.

– Ona zaginęła... – szepczę. – Policja prowadzi poszukiwania, ale nie mamy śladu...

Kobieta zaciska wargi. Serce mocniej łomocze mi w nadziei, że się nade mną zlituje. Że litość w jej sercu przeważy nad strachem.

– Nie mogę... Przykro mi.

Nogi się pode mną uginają. Męczyzna w kolejce za moimi plecami nerwowo sapie.

– Mam panią błagać? – W żadnej innej sytuacji nie zniżyłabym się do tego poziomu. – Zapłacę pani, ile pani zechce. Tysiąc? Dziesięć tysięcy? Albo wiem! – Chcę szeptać, a chyba krzyczę. – Żeby nie było problemów, wykupię dla pani i rodziny świetne wczasy. Kiedy bierze pani urlop?

Sekretarka kręci głową. Rozgląda się w poszukiwaniu ochroniarza.

– Proszę odejść.

– Ale...

– Proszę odejść. Nie mogę pani pomóc.

Puszczam laskę i walę z całej siły dłonią o marmur. Nie czuję bólu.

– Czy pani tego, kurwa, nie rozumie?! – Wybucham dziką furją. Nie kontroluję słów. – Chcę się dowiedzieć, kto leczy moją córkę! Przed dwoma dniami wyszła z domu, zostawiła pierdolony list pożegnalny i nie wiem, gdzie jest. Muszę porozmawiać z jej terapeutą! To nie jest sprawa pieprzonych procedur, tu chodzi, do kurwy nędzy, o jej życie!

Zyskałam jedynie tyle, że cała poczekalnia wbiła we mnie spojrzenia. Czuję, jak mnie oblepiają. Lustrują i przeszywają na wylot, wystawiając mi jak najgorszą ocenę. Według nich jestem pewnie kolejną wariatką. Nie zdają sobie sprawy, że kolejną, to znaczy taką samą jak oni.

– Pieprzone świry! Na co się gapicie?!

Jestem załosna, ale mam to gdzieś. Z trudem schylam się po laskę. Moja noga zupełnie cierpnie, tracę równowagę i prawie upadam. Przed wybiciem zębów chronią mnie jedynie przytępiały już refleks i prawa dłoń. Chociaż ta, po tym, jak przywaliłam w blat, zaczyna już puchnąć.

Ktoś chwyta mnie za ramię. Wyrrywam się, lecz uścisk jest bardzo silny i nie pozostawia mi pola manewru. Jedyne, co mogę, to

pozwoić się prowadzić. Dopiero po chwili udaje mi się podeprzeć na lasce i obrócić.

Wysoki, choć wcale nie mocarny ochroniarz wlecze mnie pod ramię do wyjścia.

– Proszę natychmiast opuścić ten budynek. – Zatrzymuje się jakieś dziesięć metrów od drzwi.

– Bo co? Procedury zabraniają mnie pobić?

– Bardzo panią proszę.

– W dupę sobie wsadź proszenie. – Mam ochotę zdzielić go w twarz.

Ktoś musiał powiedzieć coś cholernie śmiesznego, bo część korytarza zanosi się śmiechem. Inni patrzą na mnie pustymi spojrzeniami. Może w którymś z nich kryje się współczucie – ale raczej nie ma co na to liczyć. W głębi trzasnęły drzwi gabinetu.

– Jeżeli pani nie wyjdzie, będę musiał wezwać policję. – Ochroniarz ma co najwyżej dwadzieścia lat i okrągłą głowę. Wydaje się zażenowany całą sytuacją. – Ja tylko robię to, co muszę.

– Jasne – odpuszczam. – Wszyscy robimy to, co musimy.

Ostentacyjnie przeglądam dzinsy i poprawiam torebkę. Kuśtykając, ruszam do drzwi. Naiwnie myślałam, że w przychodni terapeutycznej ktoś przymknie oko na procedury i będzie gotów mi pomóc. Świat przesiąkł znieczulicą.

Wychodzę na dwór i wciągam rozgrzane, śmierdzące nagrzanym asfaltem powietrze. Nie mam pojęcia, co dalej. Skończyły mi się pomysły i zdaje się, że wszystkie okazały się totalną klapą. Zrobiłam z siebie idiotkę. Przez godzinę przekonywałam komisarza, że Iza z pewnością nie miała teraz myśli samobójczych. Jej przeszłość nie miała znaczenia. A blog? Nie mam pojęcia, dlaczego go prowadziła. Do tego bon moty o pięknie umierania nie były w jej stylu. Nigdy.

Ona, tak samo jak ja, zapadała się w sobie w absolutnym milczeniu.

Staję pośrodku parkingu i szukam wzrokiem auta. Nie pamiętam, gdzie zaparkowałam. W ogóle mam wrażenie, że w głowie ktoś

bełta mi wielką, rozgrzaną do czerwoności łyżką. Nie jestem nawet pewna, czy na komisariacie tkwiłam przed paroma godzinami, czy przed tygodniem.

Łapczywie chwytam powietrze. Muszę się oprzeć o czarny SUV. Jego karoseria prawie mnie parzy.

– Pani Kraus?

Zza samochodu wychodzi kształtna, zgrabna brunetka. Jest ubrana w spódnicę i elegancki żakiet z koronką. Na nogach ma co najmniej dziesięciocentymetrowe szpilki, ale porusza się, jakby stanowiły przedłużenie jej stóp. Niesamowite.

Zatrzymuje się tuż obok mnie i nerwowo rozgląda.

– Jestem terapeutką Izy – szepcze. – Porozmawiajmy za czterdzieści minut w kawiarni Yellow Submarine. Wie pani, gdzie to jest?

Kiwam głową, a kobieta natychmiast odchodzi.

GODZINA 33.

Jestem porywaczem, a może również mordercą.

Przez całą drogę powrotną pisałem tylko jedno zdanie.

Jestem porywaczem, a może również mordercą.

Raz małymi literami, raz wielkimi, ze spacjami, bez i z powiększeniem czcionki. Jeżeli zajdę do pokoju swoich niespełnionych obietnic, powinienem trafić na całe stosy kartek właśnie z tą krótką informacją.

Jestem porywaczem, a może również mordercą.

W tych kilku słowach zawiera się niemal wszystko, co o sobie wiem. Chyba nie powinienem w ogóle wspominać, że mam narzeczoną. Kiedy się obudzę, może być przecież całkiem inaczej. Mogę być sam.

W małej celi albo w pokoju bez klamek. Przywiązany skórzanymi pasami do wysokiego łóżka z zablokowanymi kółkami. Może będę spacyfikowany jakimś środkiem ogłupiającym? To nie byłoby takie złe. W takim miejscu nie chciałbym być świadomy. Nie mogę sobie wyobrazić pobudki bez choćby szczątków tego, o czym dowiedziałem się przez ostatnie półtorej doby. Mogę być porywaczem, a nawet mordercą, ale wiem, że kimś jestem. Moje miejsce na świecie nie jest pieprzoną pustą kartką.

To wina tej suki pod podłogą.

To wszystko jej wina.

Wiem to.

Od dwóch albo trzech kwadransów gapię się w ścianę. Odrywam od niej wzrok tylko po to, by zerknąć na ekran komórki. Jest znowu podłączona do prądu, bo poziom baterii spadł do krytycznych

trzydziestu trzech procent. Wiek chrystusowy.

Lepiej byłoby mi pisać na laptopie, lecz nie chcę po niego iść. Odpowiada mi ten piękny widok mlecznoszarej ściany. Widok, który nie mąci myśli. Nie prowadzi ich na złe tory, w przeciwieństwie do choćby trawnika lub muru. Od tamtej strony przyjdzie po mnie policja. Pewnie od tamtej strony przywlokłem do domu nieszczęście.

Mam dość, ale chyba nie potrafiłbym się zabić.

Nie potrafiłbym?

Myślę o tym non stop. Długo powstrzymywałem się przed przelaniem tego na kartki wypluwane przez drukarkę piętro wyżej. Teraz to bez znaczenia.

Na zabicie się zawsze znajdzie się czas. Chociaż w zasadzie mogę dochodzić dokładnie do tego samego wniosku co czterdzieści osiem godzin. Może właśnie co dwie doby postanawiam się zabić, a potem o wszystkim zapominam? Zaczynam zabawę od nowa, tylko po to, żeby zakończyć ją w tym samym miejscu.

I niech mi ktoś powie, że to Syzyf miał przesrane.

Staram się zaśmiać z własnego dowcipu, ale średnio mi to wychodzi. Prawda jest taka, że zamartwianie się niczego nie zmieni. Muszę spojrzeć przez okno. Nieważne, czy od strony muru przyjdzie po mnie policja. Póki co widać przez nie popołudniowe słońce.

Piękne.

Zaraz się wzruszę własnymi słowami. Teraz jest przecież całkiem dobrze. Najlepiej, odkąd się ocknąłem, bo znam odpowiedź na kilka dręczących mnie pytań.

O ironio, słońce akurat jest za chmurami. Po niebie zasuwiają tylko pojedyncze obłoki, a jeden z nich przysłonił je właśnie teraz. Widzę, jak cień chmury wędruje po moim trawniku. Przenoszę wzrok dalej, na sosnowy lasek, i mrużę oczy. Przed chwilą tam byłem. Przed chwilą tamtędy biegłem.

Słońce wreszcie wychodzi. Promienie rozświetlają część pokoju i widzę unoszące się w powietrzu drobinki kurzu.

Dlaczego miałbym zmarnować ostatnie godziny świadomości? Skoro wszystko trafił szlag, może powinienem spróbować je wykorzystać?

Słowo „wykorzystać” jest przy tym mocno kłopotliwe. Przynajmniej w kontekście tego, co płącze mi się po głowie, co sobie wyobrażam. Gdybym kiedykolwiek czytał te notatki, powinienem wiedzieć, od czego zacząć.

Powinienem.

Muszę dać się prowadzić pieprzonemu instynktowi. Wsłuchać się w to, czego naprawdę pragnę. Przecież miałem jakiś powód, by uwięzić tę kobietę kiedyś i tę teraz. Izabel. To imię kołacze mi się w mózgu.

Izabel.

Moja szansa, kochanka i prawdziwy początek.

Gówno.

Słowa nigdy nie poukładają mi chaosu w głowie. Ten pomysł wcale mnie nie nakręca, ale przecież nie cofnę czasu.

Odsuwam klapę na bok i spoglądam w dół. Siedem stopni dzieli mnie od piwnicy. Jakies dziesięć metrów – od Izabel. Czekam, aż instynkt mi podpowie, co powinienem zrobić. Mam mało czasu, ale będę cierpliwy.

Schodzę.

Idę do ciebie, kochanie.

GABRIELA KRAUS

Yellow Submarine to klimatyczna kawiarnia pełna modeli żaglowców, łodzi podwodnych i rafandynek. Ściany są pomalowane, oczywiście, na żółto. Wisi na nich mnóstwo fotografii i obrazów przedstawiających chyba każdy rodzaj jednostek pływających, od tratw i indiańskich canoe po współczesne okręty wojenne. Kawa podawana jest w filiżankach z – a jakże! – motywami akwarystycznymi. Talerzyki do ciasta mają deseń z glonów. Kelnerki chodzą w kusych strojach marynarskich, a z głośników lecą szanty.

To sen pijanego bosmana. Odklejona od rzeczywistości wizja kogoś, komu sztormy wywiały część rozumu.

Czekam na terapeutkę Izy i coraz intensywniej się zastanawiam, czy w ogóle ją spotkałam. Czy to miejsce jest prawdziwe? Kawa ma jednak cierpki, wyrazisty smak. Czuję też jej zapach i to, jak po kilku łykach skręcają mi się jelita. Widok za oknem też nie jest zdjęciem z katalogu biura podróży. Wręcz przeciwnie. Wzdłuż długiej, przeszklonej ściany ciągnie się parking, za którym jest ulica, a po jej drugiej stronie – pudełkowaty supermarket. Od morza tę knajpkę dzieli co najmniej kilkaset metrów. Może nawet kilometr.

Odwracam głowę na dźwięk czyichś kroków. Do mojego stolika podchodzi kelnerka z notesem i czerwonym długopisem.

– Ma pani może ochotę na coś jeszcze? – zagaduje, wyprostowana jak struna. Gdybym była facetem, pewnie pochyliłaby się, żeby wyeksponować imponujące piersi.

Kręcę głową. Nie. Dziękuję. Jeżeli przełknęłabym choć kawałek ciasta, natychmiast bym go zwróciła. Czuję to. Kawa również była

błędem, ale głupio mi siedzieć przy pustym stoliku.

Konwenanse.

Kelnerka uśmiecha się przyjaźnie, poprawia marynarską czapkę i odchodzi. O dziwo, kręcąc tyłkiem.

To irytujące, że teraz zwracam uwagę na takie szczegóły. Umysł chyba stara się wychwytywać idiotyczne detale, byle przez chwilę odpocząć od myśli trawiących go prawie od doby. Byle odetchnąć.

Drzwi kawiarni się otwierają i do środka wchodzi kobieta, która zatrzymała mnie na parkingu. Rozgląda się, macha do mnie, po czym pokazuje, że zanim podejdziesz, zamówi coś przy barze. Okej. Świetnie. Nigdzie się nie wybieram.

Cierpliwie czekam, aż oblepiony marynarskimi wlepkami ekspres zrobi jej kawę. Kobieta bierze filiżankę delikatnie za uszko. Spodeczek zostawia na plastikowej tacy.

Po chwili siada naprzeciw mnie i uważnie się mi przygląda. Trwa to ledwie ułamek sekundy, ale jestem pewna, że z mojej mowy ciała, mimiki i Bóg jeden wie z czego jeszcze już wysnuła pierwsze psychologiczne wnioski. Niektórzy tak mają. W tym przypadku to zboczenie zawodowe.

– Ewa Lisicka. – Kiwa delikatnie głową i mruga do mnie porozumiewawczo. – Od dwóch lat prowadzę terapię Izy. Dosłownie przed godziną usłyszałam w radiu, co się stało...

– W radiu?

– W wiadomościach o czternastej.

A więc sprawa stała się już medialna.

– Mam nadzieję, że dziennikarze dadzą policjantom kopa w dupę – mówię głównie do siebie. – Do tej pory gównu zrobili. Pieprzone lenie.

– To nie są łatwe sprawy...

Obrzucam ją spojrzeniem pełnym przygany.

– W dzisiejszych czasach odnalezienie człowieka nie powinno stanowić żadnego problemu! – wybucham, ale zaraz się strofuję. – Przepraszam... Jestem tym wszystkim potwornie zdenerwowana.

– To całkowicie zrozumiałe.

Nadszedł czas na wymianę uprzejmości.

– Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną porozmawiać. Wiedziałam, że Iza chodziła na terapię, ale...

Przełykam ślinę. Zaczynam się po raz setny rozklejać.

– To nie jest terapia w ścisłym znaczeniu. – Lisicka udaje, że nie widzi, jak ocieram łzy. – Nie z gatunku tych, że pacjent przychodzi do psychologa i twierdzi, że jest chińskim jednorożcem. – To chyba jakiś branżowy dowcip, bo rozchyła usta w delikatnym uśmiechu. A może tylko chce mnie rozluźnić, bo szybko się opanowuje. – Iza musi na nią chodzić nie ze względu na swoje problemy, ale dlatego, że sama jest terapeutą.

– Chyba nie rozumiem.

– To nic skomplikowanego. Jeżeli mamy rozmawiać z pacjentami i pomagać im pokonać trudności, musimy znać swoje. Oczyszczamy terapię z naszych własnych obciążeń. Z tego syfu, który nas nieświadomie oblepia...

Nie miałam o tym pojęcia.

– Czyli Iza nie chodziła do pani w związku z depresją, myślami samobójczymi czy podobnym gównem?

Przy moim ostatnim słowie Lisicka splata dłonie. Chyba właśnie nazwałam gównem sedno jej roboty.

– Nie – odpowiada lakonicznie.

– A jednak zgodziła się pani ze mną porozmawiać...

Odsuwam od siebie filiżankę kawy. Od samego jej aromatu zaczyna mnie coraz bardziej mdlić. Lisicka natomiast oblizuje wymalowane różową szminką usta z mlecznej pianki. Wzdycha. Rozgląda się po lokalu, jakby szukała podsłuchu. Wreszcie pochyla się nad stolikiem i jeszcze mocniej splata dłonie.

– Ostatnio Iza zaczęła zgłębiać temat psychopatii i seryjnych zabójców – szepcze. – Sporo o tym rozmawiałyśmy. W tych zagadnieniach jest mnóstwo ciekawych teorii, nieostrych pojęć i analiz. Najpierw myślałam, że to zwykłe hobby. Wie pani, żeby się nie wypalić zawodowo, trzeba się czymś zainteresować.

Przerywa i wbija we mnie wymowne spojrzenie. Chce, żebym

sama wydobyła z niej informacje.

– Ale to nie było zwykłe hobby?

– Nie wiem tego na pewno – wzdycha. Czuję jej kawowy oddech. – Może się domyśliła, że jeden z jej pacjentów ma z tym coś wspólnego? Może nawet się jej do czegoś przyznał...

– Nie musiałyby o tym zawiadomić policji?

– Niekoniecznie. A już na pewno nie wtedy, gdyby jedynie się domyślała czyichś skłonności. Poza tym Iza ma ciągoty do tego, by zbawiać świat. Nie lubi szukać pośredników. – Lisicka nagle się podnosi i poprawia rękawy zakietu. – Zresztą o tym pani sama wie najlepiej.

Ja również wstaję i opieram się o stolik. Łyzeczka z mojego spodka z brzęknięciem spada na blat.

– Gdzie zdobędę listę jej pacjentów? – dopytuję, całkowicie skołowana.

Terapeutka przerzuca torebkę przez ramię i kieruje się do wyjścia. Mija mnie, stukając obcasami.

– W jej laptopie – szepcze. – Wszystkie notatki Iza prowadziła na laptopie. Mam nadzieję, że całe to zamieszanie to tylko zwykłe nieporozumienie...

GODZINA 34.

– Cześć, Izabel, moje kochanie.

Właśnie tak się z nią kiedyś witałem. Pamiętam to z notatek, które przeczytałem wczoraj, zaraz po przebudzeniu. Musiałem je tak pozostawić, by od razu przykuły moją uwagę. Dzisiaj też powinienem tak zrobić. Gdy zacznę tracić świadomość, muszę się obkleić kartkami z odpowiedziami na pytania z mojego dekalogu. Choć teraz nie do końca pamiętam, jak brzmiały. I czy to aby na pewno był dekalog.

Zaczynam się gubić.

– Proszę.

Na podłodze postawiłem butelkę wody i miskę z ekspresowym spaghetti do przyrządzenia w mikrofalach. Pomyślałem o tym, nim otworzyłem drzwi komórki. Jak w amoku, nawet nie pisząc, wróciłem, chwyciłem wodę i odgrzałem danie.

– Zdejmę ci knebel, ale się nie odzywaj, dobrze? – szepczę. – Nawet słowem. Żadnego proszenia, żadnego przekonywania, że nie masz do mnie pretensji albo że mnie kochasz. Wiem, że to głównie prawda. Okej?

Izabel energicznie kiwa głową. Na ramiona zarzuciła koc, zrobiła sobie z niego również podkładkę pod tyłek. Patrząc na jej długie uda, na biodra i doskonale zagłębienie pępka. Jest piękna.

Pamiętam, że – zgodnie z wiadomością – jeżeli zdejmę jej knebel, skończy się jakaś gra. Nie wiem jaka, więc właściwie mogę mieć to gdzieś. Wolę jednak nie ryzykować. Skoro w moich notatkach Izabel nie miała jeszcze knebla, musiałem jej go założyć, tracąc świadomość. Tylko po co?

– Nie bój się.

Obracam jej głowę w stronę światła. Rozplątywanie jedną ręką wiązań jest problematyczne, a konstrukcja knebla to cała masa maleńkich klamerek i sprzączek. Część z nich jest rozpięta, a część – uszkodzona. Skórzane pasy wyraźnie rozciągano.

– Widzę, że już przy tym kombinowałaś...

Izabel popiskuje zza plastikowej kulki.

– Nie odzywaj się i bądź zupełnie cicho.

– Mhm.

Jej „mhm” jest całkiem wyraźne i akceptowalne.

Rozumiem, dlaczego nie udało się jej zdjąć knebla. Paski i sprzączki zostały zamontowane na zasadzie labiryntu, w którym jest mnóstwo ślepych zaułków. Dziesiątki sprzączek to tylko atrapy. Ich rozpięcie nie zmieniało zupełnie niczego, a utrudniało trafienie na te prawdziwe. Klamerki stawały na sztorc i kryły istotną sprzączkę, która znajdowała się tuż obok. Można je zobaczyć, tylko patrząc na całą konstrukcję.

Fajna zabawka. Prosta i stworzona dla szaleńców.

Rozpinanie idzie mi całkiem sprawnie. Nie jest to zbyt precyzyjna robota, a ja mam dość drobne palce. Choć znowu zaczęły trząść mi się dłonie...

Ostatnia sprzączka się poluzowała i Izabel od razu zaczyna kaszleć. Wypluwa kulkę i dłońmi rozmasowuje policzki. Dyszy.

Obchodzę ją i po raz pierwszy (w tym ciągu świadomości – tak to nazywam? Takie określenie przynajmniej instynktownie przychodzi mi do głowy) spoglądam na jej twarz bez knebla. Naprawdę jest piękna. Rdzawe włosy opadają jej na ramiona, a koc zsunął się, odsłaniając całą sylwetkę. Znowu się mnie wstydzi i zakrywa dłońmi piersi, które jednocześnie wypycha do przodu, przez co zdają się nieco większe. Czuję, że mimo całego absurdu tej sytuacji mógłbym się z nią zaraz kochać. Jestem na to gotowy. Z przyjemnością posiadłbym każdy centymetr jej ciała i wypełnił ją własnymi wątpliwościami.

Poezja pasuje do spraw miłości.

Patrząc na Amelię, czułem podobne pożądanie, lecz nie

towarzyszyło mu żadne dodatkowe napięcie. To cenna uwaga. Męczy mnie, gdzie jest teraz moja narzeczona, ale mam też usprawiedliwienie. Zostawiła mnie.

Porzuciła.

Jak śmiecia.

Przesuwam porcję spaghetti w stronę Izabel. Robię to czubkiem buta, a tacka szura o podłogę.

– Będziesz musiała jeść rękoma. Na razie wolę nie dawać ci widelca.

– Dobrze... – mówi niewyraźnie.

– Cisza! Miałaś się nie odzywać, zapomniałaś, do cholery?

Pospiesznie kiwa głową. Nie chciałem na nią nakrzyczeć, ale odzywając się, przypomniała mi, że nie panuję nad tą cholerną sytuacją. Inaczej. Że nie do końca nad nią panuję.

– No. Teraz o wiele lepiej.

Zaczyna niezdarnie jeść, a tłusty sos oblepia jej palce. Jego plamy skrzą się wokół jej ust i na podbródku. Nitka spaghetti wymknęła się z dłoni i spadła tuż obok jej piersi. Już ich nie zasłania.

Jedzenie jest ważniejsze niż wstyd.

Podchodzę do metalowego nocnika i go zabieram. Wylewam mocz do kratki odpływowej na korytarzu. Mam nadzieję, że nie służy na przykład do zbierania deszczówki albo czegoś podobnego. Czasem naprawdę dobrze byłoby coś pamiętać.

Gdzie jest Amelia?

Przecież to właśnie ją kocham... To myśl, którą powinienem zagłuszyć jako pierwszą. Jeżeli poszła na policję, to już nie ma odwrotu. Jeśli nie poszła, za paręnaście godzin nie będę nawet o niej pamiętał.

Tak czy siak, nie ma odwrotu.

Izabel z ekspresowym spaghetti poradziła sobie w naprawdę ekspresowym tempie. Teraz stara się obetrzeć ubrudzone jedzeniem dłonie o kilka listków papieru toaletowego, które wygrzebała gdzieś z koca. Ciekawe, co jeszcze tam schowała.

Pieprzyć to.

Znowu muszę się skupić na instynkcie. Patrząc na jej nagie, piękne ciało, czuję podniecenie, lecz potrafię je kontrolować. Jednak: czy chcę? Być może to jedyne sensowne pytanie. Czy naprawdę chcę kontrolować swój instynkt? Równie dobrze mógłbym walić się pięścią po kroczu.

Na tym właśnie polega życie w zgodzie ze społecznymi nakazami. Moralność? Wstrzemięźliwość? Supremacja słabości? Czy któregoś dnia postanowiłem po prostu z tym zerwać?

Podchodzę do Izabel i gładzę ją po włosach.

– Chcesz, żebym cię uwolnił?

GABRIELA KRAUS

Przez dwie godziny po wyjściu z kawiarni bezsensownie kręciłam się po Kołobrzegu. Noga bolała mnie jak diabli, co parę kroków odmawiała mi posłuszeństwa, ale uparcie się katowałam. Biłam się z myślami. Roztrząsałam słowa Lisickiej oraz wywody Libnera i starałam się je nałożyć na siatkę własnych spostrzeżeń. Co się stało z moją córką? O co w tym chodzi?

Zdałam sobie nawet sprawę, że jestem zła o to, że to nie ze mną Iza rozmawiała o psychopatii i seryjnych zabójcach. To nie ze mną dzieliła te tajemnice.

Ale przecież jej brak zaufania był tylko moją zasługą. Zapracowałam na niego bardziej niż na emeryturę.

Dwa razy przeszłam park Żeromskiego, a potem zawróciłam pod bazylikę. Mieszkańcy wieżowców przy Wąskiej mają najładniejszy widok, jaki rozciąga się gdziekolwiek z peerelowskich potworków. Choć zdaje się, że kolegiata i cała stylizowana okolica to również dzieło czynu społecznego ludowego z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Nędzna replika.

Mam to gdzieś.

Gdy doszłam pod ratusz, lewa noga trzęsła mi się tak bardzo, jakby była z wprawionej w drżenie gumy. Musiałam usiąść na ławce i porządnie ją rozmasować. Kobitka miętosząca się z całej siły po udzie to z pewnością dziwny widok, ale inaczej nie dowleklabym się do samochodu.

Wciąż było mi potwornie niedobrze. Posmak kawy usztywnił mi język, a na dnie gardła czułam nieustannie kipiącą żółć. Bluzkę i dzinsy dosłownie mogłabym wyzymać z potu. Na szczęście na ciemnym materiale plamy nie były tak widoczne.

– Gdzie jesteś, Izo?

Nie potrafiłam myśleć o czymkolwiek innym. Przyjęcie podsuwanych przez wyobraźnię scenariuszy wątku seryjnego mordercy było czymś totalnie abstrakcyjnym. A jednocześnie brzmiały one całkiem wiarygodnie. Od początku nie wierzyłam, żeby moja córka po prostu wyszła się zabić.

Tyle że znacznie lepiej brzmiały rozważania nad jej ewentualną wycieczką w Bieszczady, na samotny rejs albo na jakieś cholerne zadupie. Czy gdyby się kogoś obawiała, powiedziałyby mi o tym?

Szczerze mówiąc – nie sądzę.

Marne szanse.

Pewnie bałyby się, że znowu postanowię działać obok niej albo po prostu będę miała w nosie jej problem. Chyba nie pomyliłaby się za bardzo. Bo niby co miałabym zrobić, gdyby powiedziała mi, że ma pacjenta ze skłonnościami do zabijania? Przecież pomaganie ludziom i leczenie świrów to jej praca. Lekarz nie pyta, czy pacjent na stole operacyjnym spowiadał się w zeszły piątek i nie okłamał ostatnio szefa. Czy nie przejechał samochodem psa.

Kurwa mać.

Każda z tych myśli rozsadza mi mózg. Nie mogę już chodzić, więc jak kretynka jeżdżę po uliczkach w okolicy Baltic Resortu. Na siedzeniu obok leży komórka z nastawionymi na pełny głos dzwonekami, uparcie jednak milczy.

Prowadzenie zawsze pomagało mi zebrać się do kupy, a teraz najchętniej przejechałabym się tam i z powrotem przynajmniej do Warszawy. Muszę być jednak na miejscu. Muszę czuwać.

Grupa dzieciaków kopie piłkę przez całą szerokość ulicy, więc zwalnam prawie do zera. Grzybiarze, zwierzęta i dzieciaki to największe niebezpieczeństwo na okolicznych drogach. Gdy Iza była mała, zabraniałam się jej bawić w pobliżu ulic. Ruch był sto razy mniejszy niż dzisiaj, a jednak zawsze miałam to z tyłu głowy. Te zakazy stanowiły jedne z nielicznych stosowanych przeze mnie środków wychowawczych. O ile w ogóle zakazy dzisiejsza nauka traktuje jako środki wychowawcze. W końcu klapsy zrównano

z torturami...

Myślę, że za rolę matki powinnam raczej pójść siedzieć.

Pierwsi turyści już wracają do hoteli. Wloką ze sobą torby wypchane materacami z nie do końca spuszczonego powietrzem, frisbee, olejkami do opalania... Niektórzy mają zarzucone na ramiona parasole, choć regulamin pobliskich plaż pozwala korzystać tylko z wersji odpłatnych. Być może chodzą aż na dziką plażyczkę dobre trzy kilometry stąd. Albo na pełen obrzydliwych glonów fragment przy ujściu jednego z kilku wijących się w okolicy ścieków.

Mam to gdzieś.

Teraz jak mrówki suną do pachnących sprzątnięt pokojów w molochowatych hotelach. Zostawiają za sobą ślad ze złotego piasku. Mają swoje miłe życia, beztrudne wakacje i pięć minut szczęścia. Czasem, żeby mieć ochotę wjechać w pieprzony tłum, nie trzeba być islamskim fundamentalistą.

Skrećam w zatoczkę autobusową i powoli zawracam. Już prawie zupełnie straciłam czucie w lewej nodze. Moja kończyna jest teraz stuparocentymetrowym fragmentem mięsa, ścięgien i kości, który zalega w moim aucie. Powinnam natrzeć się toną rozgrzewających maści albo wziąć zastrzyk, który specjalnie na takie sytuacje przypisał mi jeden z lekarzy.

„Przemęczenie, forsowanie, a nawet stres – wtedy niedowład może się wzmagać”.

Najwyraźniej dziś zafundowałam sobie kompilację tych składowych. Cholerne trzy w jednym brzmiało znacznie lepiej w kontekście mojego rozbudzającego drinka. Mam na niego piekielną ochotę. Albo na jeszcze ciekawsze trzy w jednym – w wersji uspokajającej. Szczególnie polecanej przed ważnymi spotkaniami, stresującymi negocjacjami lub, w moim przypadku, wystąpieniami publicznymi. Bez solidnego drinka trema potrafiła mnie zniszczyć.

Zjeżdżam z głównej drogi i skręcam w osiedle. Od kilku lat mamy tu sklep z artykułami pierwszej spożywczej potrzeby. Czasem

zachodzą do niego też turyści, więc w gablocie wiszą stroje kąpielowe, kartki pocztowe i zabawki na plażę. Zaraz za sklepem rozpoczyna się rząd zaprojektowanych przez kalkę rezydencji. To starsza część osiedla, przy której trzymano się jeszcze pierwotnych koncepcji. Po drugiej stronie uliczki właściciele mieli je w dupie. Cztery wille prezentują style od bawarskiego przez włoski po, nazwijmy to, mauretański. Białe mury błyszczą w popołudniowym słońcu, psy obronne szczekają, a faceci w koszulkach polo i hawajskich spodenkach z namaszczeniem podlewają trawniki. Nigdy tego nie rozumiałam. Ogrodnicy mogą pieścić żywopłoty i kosić trawę, ale monotonnym, nudnym nawadnianiem zazwyczaj zajmują się właściciele.

Skręcam w kolejną uliczkę. Jest przyjemnie zacieniona przez rosnące po obu stronach brzozy. Na przemian zasadzono odmiany zielono- i czerwono listne, co dodatkowo ozdabia okolicę. Pięknie. Naprawdę pięknie.

Amerykanie powiedzieliby, że dwie przecznice i jakieś sto metrów w lewo stąd stoi mój dom.

Poprawiam się na fotelu i wciskam hamulec. Zawieszenie volvo dosłownie połyka garb spowalniający. Chcę na powrót przyspieszyć, gdy coś przykuwa moją uwagę. Nie mam pojęcia, co takiego. Jakiś szczegół jest tak niewyraźny, a zarazem tak oczywisty jak słowo, które ma się na końcu języka.

Staram się jeszcze raz skupić. Gdyby nie automatyczna skrzynia, samochód pewnie właśnie by mi zgasł. Dodaję minimalnie gazu, bo ktoś wlecze się tuż za mną. Wciąż się rozglądam.

Nagle rozumiem swoje skonsternowanie. Oddech mi przyspiesza, a serce grzęźnie wraz z żółcią w gardle. Radość wcale nie ma przyjemnego posmaku. Mrużę oczy, ale nie mogę się mylić.

W rozpiętej bluzie, z narzuconym na głowę kapturem mijają mnie właśnie Iza.

GODZINA 35.

Usunięcie kilkudziesięciu linijek tekstu z ekranu telefonu to żaden problem. Nie mam ich teraz przed sobą ani nie mogę przewinąć, aby je znowu odczytać. To nic.

W tym momencie wszystko doskonale pamiętam. Natomiast na przyszłość drukarka wypuła już kartki. Pewnie znowu będę bał się zajrzeć na górę. Cyrk zacznie się od nowa, ale kolejnym razem może zabraknąć Amelii.

Może zabraknąć też tego domu, pełnej lodówki, laptopa i telefonu. Pieprzyć to. To żałosne, że nawet sikając, trzymam w dłoni komórkę i staram się trafić w klawisze. Piłem dawno temu, ale długo wstrzymywałem się z pójściem do toalety. Boli mnie pęcherz i piecze cewka. O tym właśnie będę chciał czytać? Żadna z tych informacji nic nie wniesie do mojego życia.

Naprawdę mam wrażenie, że jestem porządnym facetem. Z pewnymi odchyłami, ale jednak całkiem porządnym. Kocham Amelię, chciałbym mieć dzieci i psa. Ale nigdy nie zgotowałbym im piekła.

Pies skończyłby w kałuży szczyln, bo zapomniałbym wyprowadzić go na spacer. Już widzę minę uroczej złotowłosej córeczki, która wpada do kuchni, przytula się do mnie, a ja nie wiem kim, do cholery, jest ani nawet jak ma na imię. Pięknie, co? Jeżeli jest jakiś bóg, jakiś admin tej idiotycznej gry, którą nazwano życiem, i jeśli czyta mi w myślach albo to, co tu klepię, powiem mu jedno – pierdol się!

Wlokę się schodek po schodku na piętro. Pomarańczowe światło wpada przez świetlik w dachu, natomiast korytarz tonie w półmroku. Powinienem zostawiać otwarte drzwi, wtedy byłoby tu

przyjemniej. Powinienem przemaalować ściany na żywsze kolory, tak jak na dole.

Co właściwie jest w tych pokojach? Sypialnie? Komórki podobne do tej w piwnicy? Szarpię za pierwszą z brzegu klamkę i popycham solidne drzwi. Wbijam wzrok w ekran komórki. Siedemdziesiąt dwa procent. Pełny zasięg. Boję się spojrzeć w głąb pomieszczenia, ale muszę to zrobić.

Pokój.

Zwykły pokój z dwoma bujanymi fotelami, maleńkim stolikiem i biblioteczką w kształcie litery L. Książki ciągną się przez całą wysokość ściany, szczelnie wypełniając kolejne półki. Są ich tysiące. Przytwierdzona do metalowej szyny ruchoma drabina ułatwia dostęp do pozycji na górze. W kryształowym zyrandolu migoczą ostatnie promienie wieczornego słońca. Pomieszczenie nie jest ciemne, ale przydałyby się większe okna. Albo rzadsza firanka.

Zostawiam drzwi otwarte i idę dalej. Kieruję się do pokoju moich obietnic. Nie zatrzymuję się więcej, bo czuję, że jedynym miejscem, w którym mógłbym dopuścić się zbrodni, jest piwnica. Psychologiczny mechanizm pozwala uwolnić instynkty dopiero poza obrębem pokoi. Przynajmniej tak to widzę.

Wchodzę do środka i znowu przytłacza mnie ogrom tych kartek. Drukarka właśnie wyrzuca następną. Wśród zadrukowanych stron leżą również gazety, poobdzierane z okładek książki i ulotki. Może robiłem na nich notatki? Gdyby któregoś razu wysiadł prąd, wpadłbym pewnie w panikę. Czy to się już zdarzyło?

Zdaje się, że na biurku w gabinecie widziałem notes i rząd długopisów. Choć nie jestem pewny. Najlepiej z tamtego pomieszczenia pamiętam naiwne sceny marynistyczne.

Przerzucam kolejne kartki. Albo jeździłem po całym świecie, albo nie wszystkie są moimi zapiskami. Jednak znaczna ich część – na pewno. Przeglądam idiotyczne relacje z posiedzeń w kiblu, przyrządzania zupy błyskawicznej i koszenia trawnika. Próbowalem też grać na PlayStation, ale nie potrafiłem jednocześnie pisać, więc dałem spokój. Czytanie również

przeszkadza w pisaniu.

Być może dlatego nie lubię tego miejsca. To skarbnica pamięci, która jednocześnie jest dla mnie prawie niedostępna. Obca.

Pomiędzy drukarkami dostrzegam teczkę. Jest lekko rozerwana, a spomiędzy okładek wysunęła się tasiemka. Wygląda, jakbym ją schował i jednocześnie chciał zwrócić na nią uwagę. Jest dokładnie taka, jak całe moje życie.

Wyszarpuję ją, ale muszę uważać, bo strony zahaczyły o podajnik. Nie chcę ich rozerwać.

Wreszcie, kiedy trzymam w dłoni ją całą, mogę zacząć czytać. Zaciskam zęby i przekraczam kolejne granice absurdu.

GABRIELA KRAUS

Naciskam hamulec tak mocno, że opony rzeżą o asfalt. Włącza się kontrolka jakiegoś czujnika, ale to nie ma znaczenia. Tak samo jak trąbienie barana, który wlecze się za mną, jakby nie potrafił wyprzedzić.

– Iza! – drę się, zdzierając przy tym gardło.

Popycham drzwi i gwałtownie zrywam się z fotela. Zapominam, że trzyma mnie pas, który wżyna się teraz w mój lewy bark i piersi. Wypinam go wściekłym ruchem.

– Iza!

Kątem oka widzę, że kobieta w bluzie dresowej i biodrówkach przyspiesza kroku. Prawie biegnie. Za rzędem brzoź, których cienkie gałęzie falują na wietrze, widzę jedynie zarys sylwetki.

– Czeka!

Wyskakuję z auta, ale lewa noga ugina się pode mną i blokuje się w miejscu. Niech to szlag. Bezwładnie upadam na asfalt. Uderzam o niego kolanami, a skóra na dłoniach zdiera się na drobniutkim żwirze zmieszonym z piaskiem. Z samochodu za mną wysiada szczupły mężczyzna w garniturze.

– Coś się pani stało? – pyta, idąc w moją stronę.

Nie mam czasu odpowiadać. Wszystkie moje myśli koncentrują się na białych adidasach i dole nogawek, które widzę kilkadziesiąt metrów dalej. Nie czekając na pomoc, podciągam się na drzwiach. Gdy staję wyprostowana, niemal znowu upadam, ale tym razem przytrzymuję się klamki. Jestem wściekła. Skołowana, zdeterminowana i wściekła. Mam ochotę lać się po nodze, dopóki nie zacznie normalnie funkcjonować. Niestety, to działa całkiem inaczej.

– Czy mogę pani...

Nie słyszę końcówki pytania, bo nachyliłam się w stronę auta i, przytrzymując się zagłówka fotela, sięgam po laskę.

Od chwili upadku nie minęło więcej niż dziesięć sekund, lecz ja mam wrażenie, jakby w tym czasie Ziemia wykonała co najmniej pół obrotu. Cienie są dłuższe, wiatr mocniejszy, a zarys mojej córki znajduje się prawie na końcu uliczki.

– Iza! – krzyczę, zwracając uwagę wszystkich wokół, tylko nie jej.

Kobieta w biodrówkach jeszcze przyspiesza.

Zrywam się do paralitycznego biegu, w którym tupot buta i stukanie laski uzupełnia wyrwany z horroru odgłos ciągniętej kończyny. Moja lewa noga działa jak pieprzony hamulec. Gdybym miała teraz nóż, odciąłabym ją. Słowo daję, odrąbałabym sobie ten cholerny problem.

Laska wbija mi się w dłoń, ale nie zwracam uwagi na ból. Staram się jak najmocniej zapierać, bo wtedy robię dłuższe kroki. Kobieta z warczącym seterem irlandzkim ściąga smycz. Psy zazwyczaj nie lubią kalek. Albo podchodzą do nich bardzo nieufnie.

Widzę plecy córki. Skuliła się i jeszcze przyspieszyła. Kojarzę tę bluzę z kapturem, bo zamówiłam ją jakieś pół roku temu w sklepie internetowym. Planowałam nosić ją do ćwiczeń. Okazało się, że nie mogę w niej nawet nabrać powietrza. Pomyliłam się co najmniej o rozmiar, więc podarowałam ją Izie. Na nią pasowała idealnie, a poza tym się jej spodobała.

Teraz nie mam żadnych wątpliwości. To Iza skręca w uliczkę, która ciągnie się prosto aż do bulwaru. Przez ułamek sekundy wiatr obsuwa jej kaptur i rozwiewa włosy. To z pewnością moja córka.

– I...

Po pokonaniu ledwie kilkudziesięciu metrów łapie mnie potworna zadyszka. Zaraz wypluję płuca, ale uparcie prę na przód. Krok po kroku. Pot spływa mi po dłoni i muszę ją zaciskać z całej siły, żeby laska mi się nie wymknęła. Gdybym upadła w trakcie tej parodii biegu z kijkami, pewnie bym się połamala.

Cieężko sapiąc, dopadam do załomu muru, za którym zniknęła Iza. Niebieska tabliczka z białym napisem informuje, że to Aleja Brzóz. Podświadomie dopowiadam sobie w myślach, że ta, która ją przecina, to Aleja Ku Morzu.

Pieprzyć nazwy.

Prawie bez tchu podtrzymuję się muru i wypadam z za winkła. Oczy zalewa mi pot zmieszany ze łzami. Intensywnie mrugam, ale przecież wzrok mnie nie myli.

Iza zniknęła.

GODZINA 36.

Nachodzą mnie urywki wspomnień. Wiem, że nie są to sceny z obejrzanych filmów albo ze snów. Obraz knajpy, w której siedzę z kilkoma osobami, wyostrza się. Stół jest lepki i stoi na nim kilka kufli piwa. Pomiedzy nimi są opróżnione kieliszki po wódce. Albo tequili. Na talerzyku leżą plasterki cytryny poprzebijane wykałaczkami.

Kelnerka bez twarzy przyjmuje kolejne zamówienie i odchodzi, kręcąc biodrami. Patrzę na nią tak samo, jak chyba każdy facet w otoczeniu. To naprawdę zgrabna kobieta w obcisłych džinsach. W moim zachowaniu nie ma żadnej perwersji ani przesady. To odruch. Upijam łyk piwa i niezgrabnie odstawiam kufel. Kilka kropli rozbryzguje się na drewniany blat. Wycieram je ręką i strzepuję na podłogę.

Ludzie wokół się śmieją. Ktoś śpiewa „Sto lat”, a ktoś go przekrzykuje, wznosząc toast. Gra głośna muzyka. Wstaję i, lekko się chwiejąc, podchodzę do baru. Chyba chcę wziąć serwetki albo coś takiego. Jestem wstawiony, ale nie pijany. Zderzam się z mężczyzną w czarnym garniturze i czarnej koszuli. Zwraca mi uwagę, lecz prawda jest taka, że to on się cofnął i wpadł na mnie. Wymieniamy kilka ostrych słów, po czym olewam go i idę dalej. Staję przy barze, łapiąc spojrzenie krępego mężczyzny w firmowym stroju. Uwija się, robi jednocześnie kilka drinków, a przede wszystkim stara się przekrzyczyć muzykę.

Daje mi znać, żebym chwilę zaczekał. No tak, w kolejce ma kilka uroczych pańienek.

Kiwam głową i siadam na wysokim hokerze. Ktoś staje tuż obok i trąca mnie ręką. Odwracam się, pewny, że to ten facet

w garniturze, lecz widzę pierwszą wyraźną twarz w całym wspomnieniu. Obok mnie stoi Izabel. W tym momencie wszystko się rozmazuje. Skupiam się jak mogę, ale nie potrafię pchnąć obrazu ani o sekundę dalej. Zawiesił się. To wszystko, na co mnie teraz stać.

Chrzanię to. Być może cała ta wizja to jeden wielki wymysł mojego pokręconego umysłu. Wybryk tłumionej przez całkowite zaćmienie wyobraźni. Nie warto tracić na to czasu.

Spoglądam przez okno i w tym samym momencie rozlega się łoskot. Znacznie cichszy niż wczoraj, a do tego od razu domyślam się, o co chodzi. Rolety antywłamaniowe wędrują w dół. Jak gilotyna ucinają widok wieczornego, mieniącego się strzępem czerwieni nieba. Jednocześnie zapaliło się światło – dwuramienny żyrandol wisi tuż nad drukarkami.

A jednak w tej rezydencji każde okno i każde drzwi są zabezpieczone. Żałuję, że nie zapytałem Amelii, skąd steruje się tym cholerstwem. Mimo to w przeciwieństwie do wczorajszego wieczoru dziś czuję się całkiem dobrze odcięty od świata. Żeby dostać się do środka, policja musiałaby narobić sporo hałasu. Ale to chyba tylko jeden z wielu powodów.

W końcu odrywam wzrok od zasłoniętego okna i jestem gotów przeczytać wiadomość. Na włożonej do teczki kartce jest kilka zdań zapisanych pogrubioną czcionką. Kiedyś musiałem zrobić wiele, aby zwróciły moją uwagę. A potem pewnie rozmyśliłem się i włożyłem teczkę między drukarki. To chyba mój naturalny sposób porozumiewania się z samym sobą.

Jeżeli na to trafiłeś, musisz mieć dzień desperacji. Piszę to, bo też taki miałem, choć z tego, co odkryłem, nie zdarza się on często. Jeżeli chcesz zrozumieć, kim jesteś (jestem, jesteście?), musisz zajrzeć do schowka pod drukarką. Powinienem napisać, żebyś sobie darował, ale wiem, że to bez sensu. Przerabiałem to już wiele razy – zdaje się, że kiedyś nawet założyłem oddzielną teczkę na te informacje. W każdym razie powodzenia. Czegokolwiek się dowiesz, i tak za kilka godzin nie będzie cię już interesowało.

I może właśnie to jest naszym największym szczęściem.
W końcu wszystko wyda ci się zabawne.

Schówek pod drukarką? Właściwie tylko to wylapuję z tych paru nieskładnych zdań. Cała reszta to otoczka, dokładnie takie same myśli, jakie dręczą mnie przez cały czas. Wątpliwości, niedopowiedzenia i pytania. Lepiej czegoś nie zrobić, lepiej nie iść na górę, lepiej nie...

Bzdury.

Kłęczę przy większej z drukarek i staram się wymacać jakikolwiek schówek, ukrytą szufladę czy cholera wie co. Nic. O mało przy tym nie urywam osłony tonerów. Okazuje się, że to nie jest ruchomy element. Podobnie jak płyta przednia oraz podajnik.

Aby mieć dostęp do niej z drugiej strony, muszę przesunąć dwie rzyzy papieru. Przez przypadek wywracam wysoką na kilkadziesiąt centymetrów zadrukowaną wieżę. Kartki poniewierają się już zupełnie wszędzie. Dlaczego ich nie numeruję? Pewnie z tego samego powodu, dla którego nigdy nie dam rady tego wszystkiego przeczytać. Czterdzieści osiem godzin nie starczyłoby mi na przebrnięcie przez jedną dziesiątą własnej historii. Choć podejrzewam, że za każdym razem jest ona bardzo podobna.

Na czworakach podchodzę do drugiej drukarki. To chyba nowszy sprzęt i stoi na czymś w rodzaju stelażu. Ponownie nie znajduję żadnych sekretnych miejsc. Sprawdzam wszystko. Wsadzam nawet rękę w szczelinę pod panelem sterowania. Wyczuwam jakieś przełączniki, zębátky – i tyle. Dłoń mam całą umazaną smarem. Cud, że nie kopnął mnie przy tym prąd.

Chyba mam pomysł.

Zdaje się, że stelaż unosi się kilka milimetrów nad podłogą. Przywieram do niej i zerkam od spodu. Tak jak się spodziewałem, konstrukcja znajduje się na kilku mikroskopijnych łożyskach. Dzięki temu mimo wagi sprzętu i papieru można nią przesuwac w dowolną stronę. W jakiś sposób łożyska zostały jednak zablokowane.

Zaskakujące, jak wiele zastosowań może mieć moja pisanina. Dwie kartki złożone w harmonijki o boku krótszym niż centymetr tkwiły przy przednich kołach. To wystarczyło, by unieruchomić cały stelaż. Fabrycznie najwyraźniej miał być zawsze ruchomy.

Teraz wystarczy go delikatnie popchnąć. Trafiam w kolejną papierową wieżę i pokój zaczyna przypominać pobożowisko. Brakuje jedynie ścian obklejonych tapetą z notatek. Kiedy jednak o tym myślę, moją uwagę zwraca coś innego.

W podłodze znajduje się niewielkie zagłębienie. Nie ma prawie w ogóle kurzu, więc musiałem tu zaglądać całkiem niedawno. Pięknie. Zaskakujące, jak wiele z tego pamiętam. Nasuwające się wątpliwości ponownie powstrzymują mnie przed działaniem.

Koniec z tym.

Ciekawe, jak wiele razy mówiłem to sam do siebie, pochylony właśnie nad tym fragmentem podłogi. Dotykam tego zagłębienia. Rozlega się kliknięcie, a płytka powoli się podnosi.

Właśnie czegoś takiego się spodziewałem.

GABRIELA KRAUS

Od godziny siedzę przed domem i gapię się na ulicę. Nawet na chwilę nie weszłam do środka, zaczynam się trząść z zimna. Elwira i Maciej próbowali się do mnie dodzwonić, lecz nie odebrałam. Bez czytania usunęłam też kilka esemesów i informację o wiadomości na poczcie głosowej.

Nie potrzebuję pieprzonego wsparcia.

Nie potrzebuję poklepywania po plecach ani zapewnień, że jakoś to będzie. Doskonale wiem, że zawsze, naprawdę zawsze jakoś jest. Czasem dobrze, ale znacznie częściej całkowicie do bani.

Zamiast kłapać z kimkolwiek o szczęściu, co chwilę podświetlam ekran komórki. Gapię się na numer Libnera i zaraz blokuje telefon. Nie wiem, czy dzwoniąc do niego, nie zrobię z siebie wariatki. I tak traktuje mnie z pobłażaniem.

Ale ja, do cholery, naprawdę ją widziałam.

To była Iza.

Gdyby ten policyjny dupek przejrzał zapis z kamer, musiałby mi uwierzyć. Tyle że wszystkie, które widziałam, rzeczywiście były skierowane na wejścia do domów lub, znacznie rzadziej, na ich podjazdy. Nikogo nie interesują osoby przechodzące za bramą. W pięknym świecie bogatych ludzi życie toczy się w wielkich domach bądź we wnętrzach luksusowych aut. Ewentualnie w wirtualnej rzeczywistości internetowych randek, sekskamerek i telekonferencji. Wiem coś o tym.

Na wszystkie strony roztrząsam myśl, skąd szła moja córka.

I dokąd.

Nie widziałam dokładnie jej twarzy, ale gdyby wpadła w ręce psychopatycznego świra, chyba nie wypuściłby jej na ulicę. Nie

pozwoliłby jej spacerować po osiedlu. A ona nie uciekałaby przede mną.

Chyba że...

Ktoś ją obserwował. Kazał jej coś zrobić, ale trzymał wycelowaną w nią lufę karabinu. Lub zwyczajnie czymś ją szantażował, bo, do diabła, każdego da się czymś zaszantażować. Teczkami ubecji, nagrany rozmową z knajpy, w której pada kilka kurew, albo zdjęciem z kochanką. Naprawdę, nawet papieża można zaszantażować.

Jeżeli ktoś obserwował Izę, musiał widzieć również mnie. Wtedy mógł w jakiś sposób kazać jej przyspieszyć i natychmiast się oddalić. Uciec. Z pewnością nie chciałby dopuścić do naszego spotkania. W końcu nawet jeżeli wypuścił Izę, by coś zrobiła, ja mogłam wszystko spieprzyć. Tylko co?

Przynajmniej wiem, że ona żyje. Ta myśl nieco mnie uspokaja, choć nadal kompletnie nie rozumiem, co się dzieje. Zaczynam wątpić we własną poczytalność.

Dobrze wiem, czym są omamy i jak trudno odróżnić je od rzeczywistości. Ale tym razem naprawdę kurczowo trzymam się rzeczywistości.

Wiem to.

Kolejny raz rozluźniam pięść. Wnętrze prawej dłoni mam całe poharatane, a paznokieć środkowego palca pękł mi na pół. Lakier się naderwał i odchodzi całym płatem. Bezwiednie stukam tym palcem o podłokietnik leżaka. To sprawia specyficzny ból, przetworzony przez splot nerwów tak, że mam wrażenie, jakby w kark wbijano mi szpilki. Kiedyś wydawało mi się to całkiem przyjemne.

A jeżeli Iza naprawdę szykowała się do samobójstwa? Tylko kto, chcąc się zabić, robi trzydniowe przygotowania?

Boże święty.

Przeciągam dłońmi po twarzy i staram się przestać trząść. Przynajmniej stopniowo odzyskuje jako takie czucie w lewej nodze. W stopę jest mi nawet okropnie zimno. Jakby obłożono ją lodem

i zalano ciekłym azotem. Albo jeszcze zimniej.

Może Libner miał rację i istnieje jakiś cholerny gen samobójców? Nie, nie, nie... Nie mogę nawet próbować tak myśleć, bo lada moment zacznę nienawidzić swojego męża. A może od dawna go nienawidzę? Za te wszystkie podejrzenia, proces, w którym ostatecznie uniewinniono go z braku dowodów, i za rozmaite dziwactwa. Za to, że się zabił. Za to, że mógł być mordercą.

Mógł być. W jakiś pokrętny sposób prokurator zbudował akt oskarżenia.

Choć ten upadł.

A chwilę później, niedługo po wyjściu z aresztu, mój mąż się zabił. Wtedy mogłam go znienawidzić.

Pamiętam ten proces. Kiedy znalazłam jego zwłoki, zanurzyłam się w smolistej, ohydnej rozpacz. Iza, raczkując, prawie się o niego potknęła. Przytuliła się do jego zimnego ciała.

Po dwóch dniach poczułam okropną pustkę, którą miałam ochotę przerwać raz na zawsze. Zabrakło mi tylko sił. Nie roztrząsałam już przeszłości. Natomiast gdy znowu zaczęła mi wracać świadomość, gdy zrozumiałam, że zostałam sama z Izą, pojawił się gniew.

Zostawił nas.

Porzucił.

Wykpił się.

Nieważne, że choroba i tak by go zabrała, a do tego chciał oszczędzić nam przedłużającego się cierpienia. I tak był dupkiem. Nie chodziło o raka. Sednem były wyrzuty sumienia. Krótki, emocjonalny list nie mógł mnie przekonać, że było inaczej. Od początku nie wierzyłam w jego wymówkę.

Nie chcę o nim teraz myśleć.

Po omacku sięgam po laskę i podnoszę się z leżaka. Na trawie jest rosa, a mnie nie chce się wkładać butów. Po całym dniu nawet zamarzające stopy są lepsze niż trumny z cielej skóry. Muszę coś zjeść, napić się i zdrzemnąć.

Muszę być czujna i zacząć myśleć zupełnie racjonalnie.

Od strony morza słyszę grzmot nadlatującego helikoptera. Po chwili dostrzegam na niebie mrugające światełka i nie będę się oszukiwać, że nie wiem, co to oznacza. Nad Bałtykiem prowadzą poszukiwania ciała.

Automatycznie zerkam na ekran telefonu, ale nikt, na szczęście, nie dzwonił. Nie ma ani dobrych, ani złych wieści. Tym razem mi to nie przeszkadza.

Wyciągam z torebki klucze i otwieram oba zamki. Jestem pewna, że górę przekręciłam dwa razy, a otwiera się już po jednym obrocie klucza. Dziwne.

Naciskam klamkę i ostrożnie popycham drzwi. Nie obracając się w stronę kontaktu, zapalam światło. Hol rozbłyska jasnością. Oświetlają go dwa wielkie żyrandole i kilka kinkietów. Zawsze lubiłam jasne wnętrza.

Rzucam torebkę na szafkę i wtedy ją dostrzegam.

Kolejna wiadomość.

Kolejna kartka, tym razem zapisana ręcznym, nierównym pismem. Bez wątplenia jest to pismo Izy.

GODZINA 37.

Wgłębienie ma mniej więcej trzydzieści centymetrów głębokości. Otacza je estetycznie wykonana konstrukcja, więc mogło pierwotnie służyć jako profesjonalny sejf. Zaskakujące, że zamek nie wymaga wpisania szyfru. Gdybym nie wiedział, gdzie szukać, za cholerę bym na to nie trafił. Ale zawsze warto się dodatkowo zabezpieczyć. Choć obstawiam, że policja przy przeszukaniach domów wykorzystuje wykrywacze metalu. A gdy kryminaliści są naprawdę wkurzeni, to zdzierają podłogi i kują ściany. Przynajmniej robili tak w złotej erze seriali o gliniarzach. Mike Ness? Tak się nazywał ten skubaniec w białym garniturze i...

Znowu umyślnie odbiegam od tematu.

Gram na czas.

Nic dziwnego, że tych zbiorów nie trzymałem na wierzchu. Mam przed sobą cztery półlitrowe słoiki pełne czerwono czarnej, w większości bardzo gęstej substancji.

Krwi.

W trzech słoikach już zakrzepła, a w jednym ma konsystencję lejącego się miodu z kawałami skrzepów w środku.

Znowu mam dreszcze.

Jest mi też trochę niedobrze i uświadamiam sobie, że przez cały dzień nic nie jadłem. Nie miałbym nawet czym zwymiotować. Nie wiem, czy brzydzi mnie sama zawartość słoik, czy to, co zrobiłem. Choć jeżeli dałem się po prostu prowadzić instynktom – zaczynam się trochę rozumieć. Jak długo można być zamkniętym w tej wiecznej spirali niepamięci? Jak długo można udawać, że kopniaki w dupę to romantyczne poklepywania?

Po kolei oglądam słoiki. Na każdym z nich jest nalepka, jakby

w środku znajdowały się konfitury. Zawsze jednak są na niej tylko dwa wyrazy.

Maria Pabiak

Kamila Nowacka

Wiktoria Kosowska

Nie Pamiętam

Dlaczego ostatnie imię i nazwisko wcale mnie nie dziwi? Pasuje mi jako idealny element układanki, którą tworzą te wszystkie razy, kiedy się budzę i nie wiem, kim jestem. Zaczynam pisać nieskładnie. Myślę nieskładnie.

Obok słoików leżą dwa dowody osobiste, pierścionek z rubinem i dwa złote łańcuszki. Na jednym jest zawieszony krzyżyk, a na drugim – astrologiczny symbol strzelca. Poza tym widzę karty SIM, pendrive i poobijaną bransoletkę ze szkła. Jest też mały, damski scyzoryk z kwiatami na oprawie. Kwiaty są przybrudzone krwawymi smugami.

Dość tego. Wydaje mi się, że w głębi dostrzegam również skrzący się rant zegarka, ale nie zamierzam go wyciągać. Każdy z tych przedmiotów ma jakieś znaczenie. Interesuje mnie zawartość pendrive'a, lecz nie na tyle, by tracić na niego czas. Poza tym sądzę, że należał do jednej z kobiet, których nazwiska są na słoikach. Może nawet do Nie Pamiętam. Ona fascynuje mnie najbardziej. Znajduje się na nim film erotyczny z nią w roli głównej? CV? Zdjęcia, które robiłem jej z ukrycia?

To nie ma specjalnego znaczenia. Złote łańcuszki czy pierścionek to tylko gadzety, które miały uruchomić wspomnienia. Jestem o tym więcej niż przekonany. Jestem o to całkiem spokojny, jeśli w ogóle można być spokojnym w takiej sytuacji.

Zamykam schowek i upewniam się, że nie odstaje od podłogi. Lepiej, żeby nikt nie trafił na moje skarby. Nawet ja sam. Dlatego przyciągam stelaż, na którym stoi drukarka, i ustawiam go tak jak wcześniej. Męcę się, wciskając papierowe harmonijki w łożyska. Mam wrażenie, że wypadną, a kiedy wyjdę z pokoju, konstrukcja sama odjedzie. Wreszcie udało mi się zablokować je na amen.

Dobrze.

Została jeszcze jedna rzecz.

Siedzi mi w głowie, odkąd trafiłem na schowek. Zwróciłem na to uwagę ułamek sekundy wcześniej i potraktowałem jako mniej istotne. Cokolwiek by mówić, miałem rację. Słoje z krwią wyjaśniły mi prawie wszystko.

Chyba powinienem zakląć.

Wstaję i lekko zdrętwiały podchodzę do ściany. Kucałem w niewygodnej pozycji, krew odpłynęła mi z prawego podudzia, więc teraz staram się je rozruszać. Stopa w dół i stopa w górę. Czucie powoli wraca.

Mrużę oczy i nie mam już żadnych wątpliwości. Wśród kwiecistych wzorów tapety na ścianie okiennej znajdują się setki zdań. Napisanych drobnym, bardzo drobnym pismem za pomocą ostrego narzędzia. Znaki mają fosforyzujący, białawy kolor, który delikatnie odcina się od czarno-szarego tła. Jako atrament musiało posłużyć coś, co jest niewidoczne w naturalnym świetle. Z tego powodu wcześniej nie zwróciłem na to uwagi. I pewnie dlatego za każdym razem czytam te wynaturzenia przed ostatecznym snem. Tuż przed upływem czterdziestej ósmej godziny.

Robię to z premedytacją.

DZIEŃ TRZECI

GODZINA 41.

MORDERCA.

SUKINSYN.

GNÓJ.

MORDERCA.

Jeżeli kiedykolwiek znowu tu dotrę, muszę podjąć ostateczną decyzję. Dziś kończy mi się czas i nie mam dość siły. Inaczej. Odwagi. Choć może mi się udało. Pisząc to, muszę siedzieć, bo z mojej rozprutej nogi leje się krew. Kręci mi się w głowie i zaczynam gubić wątek. Może mi się udało? Proszę, niech mi się uda już teraz.

Jeśli czytam to po raz kolejny, to mam dla siebie radę – POWIEŚ SIĘ. Zrób to porządnie. Zrób to, do kurwy nędzy, raz a porządnie. Natychmiast.

Jeżeli tu jestem, proszę, niech przypomnę sobie, że jutro obudzę się jako ktoś całkiem inny. Po wypadku poza zanikami pamięci cierpię na naprzemienne rozdwojenie jaźni. Co czterdzieści osiem godzin rozgranicza je płytki sen. To wszystko, czego jestem pewny.

Przez kilka godzin pisałem te zdania, żeby móc skupić się tylko na nich. Analizowałem je, ale przecież są całkiem jasne. Już raz dotarłem dokładnie do tego punktu. Może chwilę wcześniej, choć raczej – chwilę później.

Zostało mi niecałe osiem godzin. Za jakieś sześć czy siedem podniosą się rolety i formalnie nastanie nowy dzień. Być może wcale nie powinno mnie tu być. Może tak byłoby naprawdę o wiele lepiej.

W zamkniętym domu nie mam zasięgu. Albo znowu coś zaburza mi zmysły i zamiast czterech kreseczek widzę czerwoną kropkę. Brak zasięgu. Brak łączności ze światem. W sumie dobrze mi z tym.

Z natury chyba przez całe życie byłem samotnikiem. Nie mogę tego zrzucić na domy dziecka czy na rówieśników. Po prostu taki się urodziłem. Czy można mieć za złe niemowlęciu to, że codziennie ryczy? To przecież nie jego wina. Sra pod siebie, czasem rzyga i non stop się drze. Taka jest natura. Zastrana i rozdarta.

Pół szklanki wody wypilem prawie duszkiem. Ściskam w dłoni puste już naczynie, a przed oczami mam okrągłe, wypełnione krwią słoje. Po brzegu szklanki spływa kropla, lecz wzdrygam się przed jej otarciem. Jest przejrzysta, a jednak...

Szklanka rozpadła się na setki kawałków. Celowałem nią w podwieszany telewizor, ale trafiłem w ścianę. Idę po drobinkach szkła. Wciąż nie zdjąłem butów, a gumowa podeszwa jest dość gruba, aby mnie przed nim ochronić. Resztki trzeszczą i piszczą o terakotę. Ten okropny dźwięk wżyna się w mózg.

Nigdy nie przeszkadzało mi zgrzytanie kredy o tablicę lub pocieranie suchym palcem o skórę. Nigdy, w czasach, które pamiętam. Chrupot szkła też nie stawiał mi włosów na karku.

Brakuje mi tchu.

Czuję, że zaraz eksploduje mi pęcherz, ale drzwi do łazienki są za daleko. Sikam prosto do zlewu, kilka kropli pociekło mi po nogawce. Jestem kurewsko żaloszny. Z osoby, którą byłem rano, została już tylko pusta fasada. Jeśli tak wygląda naturalna przemiana doktora Jekylla w pana Hyde'a, to im współczuję. Gdzie jest ten cholerny doktor Boston? Mój przyjaciel, o którym nie pamiętam. I gdzie jest Amelia?

Została przy mnie tylko Izabel.

Nie. Ta myśl to szaleństwo. Naciskam guziki pilota, lecz telewizor nie chce się włączyć. Cholerne chińskie badziewie. Zaskoczył dopiero za entym razem. Pospiesznie przełączam kanały i modlę się, żeby nie trafić na to, czego szukam. Gdzieś w głębi ducha postanowiłem, że jeśli tak się stanie, to będzie to znak. Sygnał od losu, że muszę wszystko skończyć. Wystarczy policzyć do dziesięciu i nacisnąć czerwony guzik.

Dwa.

Trzy.
Brak programu.
Cztery.
Film erotyczny.
Pięć.
Sześć.
Brak programu.
A jednak...

...bez śladu. Przeszukanie pasa nadmorskiego również nie przyniosło żadnych efektów. Rzecznik komendy odmówił dalszych komentarzy, tłumacząc się dobrem postępowania. Nie wiemy, czy takie sformułowanie oznacza, że nastąpił jakikolwiek przełom. Chyba wszyscy mamy jednak taką nadzieję.

Jakie piękne podsumowanie. Żałuję, że szlag nie trafił telewizora, nim natknąłem się na tę cholerną relację. Gapię się w czarny ekran, ale dokładnie pamiętam wszystkie słowa. Nie mam jednak dość odwagi. Daję sobie jeszcze ostatnią szansę i wlokę się na sofę. Wczoraj, gdy tylko się położyłem, światło zgasło. Czujki muszą być nastawione na jakiś czas reakcji. Albo mają włącznik godzinowy.

Kładę się. W butach, spodniach i przepoconej koszuli. Czuję swój własny smród, lecz nie zamierzam zachodzić do łazienki. Gdybym wpakował sobie do ust szczoteczkę, z pewnością bym zwymiotował. Woda uzupełniła zasoby mojego żołądka. Krople zalegają mi w przełyku, jakby były drobinkami zatłuszczonego szkła. Znowu staram się zatrzeć prawdziwe myśli poezją.

Spać, spać, spać...

Będę to pisał, dopóki telefon nie wypadnie mi z dłoni. Muszę zasnąć. Niech los zdecyduje, czy obudzę się z jakimikolwiek wspomnieniami, czy jako człowiek bez pamięci. Wtedy będę wiedział, co robić.

Albo zacznę wszystko od nowa.

Spać, spać, spać...

* * *

Budzę się zlany potem. Która godzina? Rolety wciąż są opuszczone, a ja wszystko pamiętam.

Spać, spać, spać...

GABRIELA KRAUS

Po dwóch bezsennych nocach ma się wrażenie zawieszenia w równoległej rzeczywistości. Być może kilka mocnych kaw pomogłoby mi się zresetować, ale i z tym jest problem. Po dwóch wypitych o piątej rano łykach wylądowałam w toalecie. Wszystko dociera do mnie w zwolnionym tempie.

Słyszę nawet cykanie zegarka na nadgarstku. Wbija się w mój umysł jak setki igieł wbijanych przez szalonego lekarza w trakcie operacji na otwartej czaszce. Choć sam mózg podobno nie jest unerwiony.

Moje myśli odpływają przy każdej okazji. Głowa mi opada, a jednak nie mogę zasnąć. Siedzę przy oknie w kuchni i gapię się na nierówny trawnik. Właściwie czuję się tak, jakby to on gapił się na mnie. Każde cholerne źdźbło pożółkłej wysuszonej trawy, każdy różowy kwiat wyłaniający się z cierni różanych krzewów.

Marzę o swoim dawnym sposobie rozbudzania się. Wiem, że jeden, góra dwa drinki „trzy w jednym” postawiłyby mnie na nogi. Albo przynajmniej – na nogę.

Psiakrew.

Od trzech lat staram się powstrzymać od wódki, o spirytusie w ogóle nie wspominając. Unikam nawet nasączanych nimi ciast, czekoladek i moich ulubionych muffinek od Ciszewskiego. Choć te, zdaje się, były z rumem...

Psia mać.

Przedwczoraj się zламаłam, ale nic się nie stało. Nałóg mnie nie wciągnął i nie wychlałam naraz całej butelki. Nawet w tym mnie oszukano.

Zresztą nigdy nie miałam problemów z winem.

Alkohol poniżej czterdziestu procent nie uzależnia.

Pochyliam się nad blatem i po raz kolejny zerkam na zwykłą białą kartkę. Może pochodzić z tej samej ryzy, z której wzięto papier na pierwszą wiadomość. Może pochodzić z jakiegokolwiek ryzy.

Te kilka zdań przez noc zdążyło mi się wystarczająco mocno wbić w głowę. Teraz mam zbyt zapuchnięte oczy, by czytać. Mimo to wyraźnie widzę litery. Wyraźnie rozróżniam każdy zawijas, każdą kreskę i kropkę. Wyobrażam sobie, jak Iza prowadziła długopis.

„Mamo, nie szukaj mnie. Nie martw się niczym i przekaz tę wiadomość policji – nigdzie nie zaginęłam. Wkrótce Ci wszystko wyjaśnię”.

Raz po raz analizuję każde słowo. Czytałam je w różnej kolejności, od tyłu, co drugie lub trzecie. Zamieniałam litery i doszukiwałam się podtekstów. Żaden z nich mnie nie przekonał. A mimo to coś mi nie pasuje.

Czy Iza napisała tę wiadomość pod przymusem? Powinnam chyba założyć, że tak. Choć biorąc pod uwagę, że widziałam ją wczoraj po południu, jak przemyka przez nasze osiedle... Po pierwsze, w takie dni nikt nie zarzuca sobie na głowy kaptura, a po drugie, w jej chodzie było coś niezwykłego. Jakaś dziwna sztywność, mechaniczność.

Matka wie.

Matka dostrzega takie detale.

Zdaję sobie sprawę, że powinnam zadzwonić na policję, a jednak wzbraniam się przed tym. Czy nie potraktowaliby tego listu jako sygnału do zakończenia poszukiwań?

„Jak pani widzi, wszystko jest w porządku. Pani córka jest pełnoletnia i może robić, co chce. Może pani odetchnąć”.

Słyszę, jak komisarz Libner wypowiada te słowa. Słyszę sarkastyczny, a zarazem zmęczony ton jego głosu.

„Może być pani spokojna. Na tym zakończymy nasze dochodzenie, choć – oczywiście – pozostaniemy w kontakcie. Będę osobiście nadzorował tę sprawę. Proszę wreszcie przestać się martwić”.

Być może posłałby mi jeszcze pokrępowy uśmiech i położył mi

dłoń na ramieniu. Albo zaproponował herbatę, a potem tępo gapił się na moje piersi.

Nie. Ten list na razie muszę zachować tylko dla siebie. Choć Iza prosiła mnie, abym przekazała go policji, nie mogę tego zrobić. Jeżeli ktoś podyktował jej tę wiadomość, w jakiś pieprzony sposób zmusił ją do jej stworzenia, to po prostu nie mogę inaczej. A kiedy już dorwę tego gnoja, wydam wszystkie swoje pieniądze, żeby cierpiał. Uruchomię wszystkie dawne znajomości, poruszę niebo i ziemię.

To zwykle mrzonki. Nigdy nie wróciłabym do tamtego świata. Nigdy bym nikogo o nic nie prosiła. Poza tym nigdy nie miałam znajomości wśród typów spod ciemnej gwiazdy. To znaczy innych niż tych, którzy zawsze działają pod kołnierzykiem i w białych rękawiczkach.

Aż podskakuję, gdy obok mnie brzęczy telefon. Pojedynczy dzwonek. Zdrętwiałym palcem trudno mi odblokować ekran. Dwa razy się mylę, ale chyba w tym modelu mam nieskończoną liczbę prób. Inaczej niż kiedyś i inaczej niż zazwyczaj w życiu.

Maciej.

Martwię się. Jak możesz, daj choci...

Wystarczy mi zobaczenie pierwszych znaków wiadomości. Kwalifikuję ją do natychmiastowego usunięcia. Nie wiem, co sobie myślałam, zapraszając go do domu, robiąc do niego maślane oczy i go kokietując. Nie mogłabym się już chyba zakochać. Potrzebowałam bliskości, cudzego uznania, ale z obecnej perspektywy widzę, że dawałam mu jedynie nadzieję. Złudną nadzieję.

Elwira potrafiła mnie godzinami katować opowiastkami, jaki z Macieja jest cudowny facet. Być może właśnie dlatego powinnam mu powiedzieć, żeby trzymał się ode mnie jak najdalej. Może nie istnieje żaden gen samobójcy, ale są osoby, w których towarzystwie odechciewa się żyć.

Nie protestowałabym, gdyby uznano mnie za jedną z nich. Co prawda, to nie ja zaraziłam mego męża nowotworem ani nie wplątałam go w sprawę o zabójstwo, ale zapewne, widząc moje cierpiętnicze miny, zrozumiał, że tak będzie mi lżej. Iza nie szukała dodatkowych powodów do odejścia. Ani teraz, ani wtedy, przed sześciu laty.

Telefon znów brzęczy.

Chwytam słuchawkę i kolejny raz myślę się przy wpisywaniu kodu. Jeżeli Maciej o tym marzy, to zaszczycę go cholerną rozmową. I stekiem bluzgów.

Czy tak trudno zrozumieć, że człowiek chce być sam? Że ma tyle na głowie, że brakuje mu tylko grona płaczek obok?

– Odpierdol się – cedzę sama do siebie.

Wreszcie udaje mi się odblokować telefon i włączyć okno powiadomień. Ślady potu na ekranie na chwilę go zawieszają. Mam ochotę przywalić w niego pięścią.

– No dalej...

Nabieram powietrza i ocieram komórkę mankietem. Niemal jednocześnie odczytuję początek wysłanej przez Messengera wiadomości.

Za moich czasów Iza używała hasła...

Nadawca: Mar Cincin.

GODZINA 46.

Spać, spać, spać...

Nie pamiętam, żebym to pisał. Nie pamiętam snów, ale doskonale wiem, kim jestem. Pamiętam słoje z krwią, rzeczy moich ofiar i nabazgraną na ścianie wiadomość.

Nie chcę wstawać. Mam zdrętwiałe mięśnie, wywrócony do góry nogami żołądek i okropny posmak w ustach. Nigdzie wokół nie widzę plam żółci, a czuję się, jakbym dopiero co zwymiotował.

Wspominanie czasów, które pamiętam, sprawia mi przyjemność. Pisanie o nich jest chyba jedynym sposobem, żebym przez chwilę nie myślał. To dwie strony tego samego medalu. Nawet najboleńsze strzępy przeszłości są urzekająco racjonalne. Chciałbym je schwytać i się ich przytrzymać. Przenieść do tamtych dni.

Nie zamierzam wstawać.

Nie zamierzam myśleć.

* * *

– Jak możesz tak ciągle pisać? Von Trier jest podobno szurnięty, ale ty jesteś zupełnym czubem. – Michał Sokołowski stał obok mnie na cuchnącym korytarzu łódzkiej kamienicy. Aby stworzyć właściwy klimat, organizatorzy kursu wynajęli jej całe dwa piętra. Zajęcia z pisania scenariuszy to naprawdę mordęga. Ale przynajmniej kiedy skupiałem się na tekście, nie czułem potrzeby opisywania rzeczywistości. Zanurzałem się w tworzonej historii i otaczałem się nią.

– Sprawa perspektywy – odpowiedziałem zdawkowo.

Mieliśmy półgodzinną przerwę, a ja trzymałem na kolanach

rozłożony notatnik. Pisałem ołówkiem, bo nie lubiłem skreśleń. W razie potrzeby okrągła gumka usuwała słowo po słowie.

– Fajnie mieć wszystkich w dupie? – dodałem. Widziałem, że Sokołowski łypie w stronę blondynki, której imienia chyba nigdy nie poznałem. Na kursie było około dwudziestu osób, w tym kilku przetrąconych przez życie niedoszłych artystów. Sokołowski był jednym z nich. Wiecznie naćpany albo nachlany. Twierdził, że na trzeźwo opuszcza go wena. – Ej, pajacu.

– Ej, gimnazjalisto.

Doczyłem się z nim z dużą satysfakcją. Jednocześnie pisałem i uśmiechałem się ironicznie. Był totalnym idiotą.

W chwili, gdy wyrwał mi notes, chyba po raz pierwszy w życiu wpadłem w furję. Może wtedy też po raz pierwszy pojawiły się głębokie wyrwy w mojej pamięci. Wiem tylko, że dopadłem do niego i tłukłem go ceramiczną doniczką, która stała na parapecie. Pękła, a ja wciąż nie przestawałem. Kiedy mnie odciągnięto, Michał miał zakrwawioną twarz, rozharatany nos i podartą koszulę, całą w krwistych plamach.

Nie wniósł pozwu ani zgłosił się na policję. Pewnie dlatego, że bał się wgłębiania w szczegóły. Ja mogłem być świrem, ale on był notorycznie naćpanym śmieciem. Sprawie ukrecono łeb. Niestety, musiałem się pożegnać ze szkoleniem, a pierwszy scenariusz ukończyłem z ponad rocznym poślizgiem. Ku mojej satysfakcji udało mi się w nim przemycić aluzję do całej sytuacji.

Zawsze lubiłem się śmiać ostatni.

Ale czy to jest, do diabła, cecha mordercy?

To wydarzyło się ładnych kilka lat temu Tymczasem, mam wrażenie, znalazłem się z drugiej strony kamery. Wszystko wokół jest jak cholerne studio filmowe. Gram najbardziej naturalistyczną rolę w dziejach kina.

– To turpizm – powiedziałyby profesor Rebner. – To pieprzony turpizm.

W tym jednym przypadku muszę się chyba z nim zgodzić.

Podnoszę się z łóżka i wolną dłonią rozmasowuję kark. Mam

spoczone plecy, mokre plamy pod pachami i kapeć w ustach. Krótka mówiąc, od wczoraj niewiele się zmieniło. Czy to następuje dokładnie co czterdzieści osiem godzin? Gilotyna ucina moje wspomnienia i zostawia mnie w pół ruchu?

To możliwe. Biorąc pod uwagę, że pierwsze, co pamiętam, to ocknięcie się w gabinecie.

Czterdzieści dziewięć procent.

Mniej niż połowa, co oznacza, że powinienem zacząć się martwić. Ładowarkę zostawiłem chyba na blacie w kuchni, ale nie jestem pewny. Zaraz po przebudzeniu przyszedł mi do głowy jeszcze jeden pomysł. Żeby go zrealizować w komfortowych warunkach (jakkolwiek kretyńsko to brzmi), potrzebuję laptopa.

Jestem tak odwodniony, że nie czuję nawet porannego parcia na pęcherz. O jakiegokolwiek pracy jelit nawet nie mam po co wspominać. Ostatni posiłek zwymiotowałem, a nie wiem, kiedy wcześniej jadłem. Pewnie Amelia zmuszała mnie do przełknięcia jakichś kleików albo pompowano we mnie wszystko sondą. Kto wie.

Laptop jest tam, gdzie go zostawiłem. Na podłodze gabinetu, w którym wszystko się zaczęło. Uruchamiam go i obserwuję kolejne komunikaty. Wgrywa się tapeta. Ty razem obraz nocnego nieba z rojem spadających meteorytów.

Natychmiast uruchamiam notatnik.

[→ przełączenie się na laptopa]

/

[→ przełączenie się z komórki]

W książce kontaktów przeglądam kolejne numery. Nie ma ich wiele, a część jest podpisana całkiem idiotycznie. Króliczek, Łysek, Dziewczynka Jeden i Dwa. Zastanawiające, którą z nich jest Amelia.

Jest też numer do przychodni terapeutycznej, ale nie ma żadnego zamiaru na Bostona. Jak on się nazywał? Walter. Chyba Walter.

To mi wystarczy. Reszty powinienem się bez problemu dowiedzieć. Tyle że nie wiem, czego miałbym się dowiedzieć ani czy czyjekolwiek słowa mogą coś zmienić. To bez sensu.

– NZOZ Poradnia Psychologiczna. Słucham.
– Chciałbym rozmawiać z doktorem Walterem.
– Doktor jest teraz zajęty... – Zapada wymowne milczenie. – A kto dzwoni?

Kaszlę. Gram na czas, jak idiota charcząc w słuchawkę. Kładę karty na stół.

– Przepraszam – szepczę. – Mikołaj Popławski. Jego pacjent i przyjaciel.

Znowu chwila milczenia. Słyszę stukanie palców w klawisze i zastanawiam się, czy moje też tak słyhać.

– Znajduje się pan u nas w bazie? – Kobieta jest wyraźnie zdziwiona.

– Nie wiem...

– Nie widzę pana w żadnym rejestrze. Zresztą nie kojarzę pańskiego nazwiska. Czy...

Rozłączam się.

GABRIELA KRAUS

Mar Cincin

Mam nadzieję, że to w czymś pomoże... Iza raczej nie zmieniała go zbyt często. Nigdy nie słyszałem więcej marudzenia niż wtedy, gdy bank zmusił ją do zrestartowania hasła po pięciu latach ;)

Gabriela Kraus

Właśnie idę na górę.

Mar Cincin

Może uda mi się w ten sposób wkupić w Twoje łaski :D

Gabriela Kraus

Robisz to tylko po to? Kończę, bo muszę to wszystko sprawdzić.

Mar Cincin

Po prostu wiem, że sporo spieprzyłem :] A teraz staram się ogarnąć, Iza jest częścią planu porządkowani życia. :>

*porządkowania

Jesteś?

Muszę wiedzieć, czy to hasło zadziałało!!! I proszę, obiecaj, że poprosisz Izę, żeby się do mnie odezwała. Pliz! Nie jestem interesownym skurwysynem, ale ja naprawdę...

Gabriela Kraus

Naprawdę co? Nie wiem, czy hasło działa, bo czekam, aż ten stary trup się uruchomi.

Mar Cincin

Właśnie w tym, że Iza go nie wymieniła, jest cała nadzieja!!!

I nie wiem naprawdę co. Wybiłaś mnie z kontekstu i nastroju. Tylko nie zrozum mnie źle z tym nastrojem :[Cały czas czekam na dobre wieści o Izie, pół nocy prześlęczałem, słuchając radia. Same lamerskie audycje.

Masakra ;(
Jesteś?
Halo? OOO??

Telefon się wygasza, a wraz z nim kolejne wiadomości od Marcina. Nie zwracam uwagi na uporczywe brzęczenie. Nie słyszę już cykania zegarka, a myśli w mojej głowie w końcu wskakują na właściwe tory. Jeżeli mam działać, muszę być przytomna.

Czekając, aż klepsydra na ekranie obróci się wystarczająco wiele razy, odsuwam się od fotela. Nie mam czasu ani zamiaru iść do łazienki. Żeby się przebudzić, wzięłam ze sobą butelkę wody. Odkręcam ją i staję tak, by nie zachlapać laptopa. Wylewam chłodną wodę prosto na twarz, dekolt i kark. Rozcieram ją, jakbym stała nad wanną. Nie interesuje mnie, że na parkiecie zebrała się kałuża, a parę kropli padło i na białą pościel.

Biel. Niewinna biel pokoju mojej córki. Taka sama, jak w jej dziecięcej sypialni sprzed dwóch dekad. Od najmłodszych lat uczyłam ją schludności, a marzenia o różowej tapecie w księżniczki traktowałam jak fanaberię. To była musztra. Księżniczki dostają wszystko pod nos, więc nie myśl sobie, że jesteś jedną z nich. Mamy ten dom we dwie na głowie i musimy się dzielić obowiązkami po równo. Obowiązkami, cierpieniem i przyzwyczajeniami. Pół na pół.

Skoro ja nie miałam pięknej dorosłości, moja córka nie mogła mieć pięknego dzieciństwa. Wiele lat później właśnie w ten sposób moje metody wychowawcze określił mój terapeuta. Chyba miał rację.

Klepsydra wreszcie przestaje się kręcić i wyświetla się pole z nazwą użytkownika.

Izabelabella.

Całkiem ładnie. Brzmi lepiej niż izakiziasmutaska.

Pamiętam jednak, że schody pojawiają się po naciśnięciu enteru. Zgodnie z przewidywaniem kolejne pole jest puste. Nad nim szarymi, przygaszonymi literami laptop wydaje mi rozkaz:

Wpisz hasło.

Odrzucam do tyłu mokre włosy i wycieram dłonie w spodnie.

Kiedy palce są wystarczająco suche, zaczynam powoli wpisywać to, co przesłał mi Marcin. Literka po literce. Nie chcę się pomylić i przeżyć rozczarowania tylko dlatego, że ominęłam jakiś klawisz. Albo że zamieniłam kolejność.

Choć hasło jest dziecinnie proste.

pieprzonyleń1

Kolejny raz naciskam enter i czekam.

GODZINA 47.

„Chcesz, żebym cię uwolnił?”

Jakoś tak brzmiało moje pytanie. Wtedy Izabel odpowiedziała mi na nie jedynie wybałuszeniem oczu i intensywnym kręceniem głową. Spodziewałem się całkiem innej reakcji.

Cholera.

Myślała, że to podstęp? Że ją sprawdzam i zdobywam zaufanie? Że jeśli pokaże mi, że nigdzie się nie wybiera, sam uznam, że nie ma sprawy, i wypuszczę ją jak ptaka z klatki?

Przeliczyła się. Naprawdę cholernie się przeliczyła, jeżeli miała mnie za idiotę.

Wiem, że przede wszystkim się bała. Bała się odezwać i złamać obietnicę milczenia. Potulnie czekała, aż założę jej knebel, a potem zapnę kluczowe sprzączki, jedną po drugiej. Zapiąłem również te, które maskowały ich mechanizmy. Znowu nie udało się jej z nimi poradzić.

Spoglądam na jej opatulone kocem, ułożone na boku ciało. Ma częściowo zakrytą twarz i światło żarówki chyba jej nie obudziło. Z ulgą widzę, że jej klatka piersiowa się porusza.

Błąd.

Spisując myśli i spostrzeżenia, dostrzega się, jak często się oszukujemy.

Jak robimy samych siebie w balona.

Marzyłem o tym, żeby w momencie, gdy się zjawię w tej cholernej komórce, Izabel była martwa. Chciałem zastać ją udławioną śliną albo śluzem czy powaloną atakiem serca. Przecież wypadki chodzą po ludziach. Jestem na to najlepszym przykładem.

Kosmyk rudych włosów opadł jej na twarz i zawinął się na

betonie. Przyjemnie byłoby go podnieść, założyć jej za ucho, a potem się uśmiechnąć i nazwać całą sprawę żartem. Zamiast tej wizji w mózg ponownie wżyna mi się obraz napełnionych krwią słoików.

Co im robię przed śmiercią?

Torturuję?

Naprawdę właśnie to sprawia mi przyjemność? Gwałcę je? Z pewnością myśl o tym wywołuje u mnie podświadome emocje. Całkiem przyjemne, jak wszystko, co wiąże się z seksem. Izabel przecież jest piękna. Każdy facet musi fantazjować o gwałcie, bo wiążą się z nim pierwotne instynkty. Władza, siła...

To chyba wcale nie bzdury.

Biolodzy nazywają to atawizmem.

Co jednak nakłoniło mnie do popełnienia pierwszego zabójstwa? Dlaczego, do cholery, to zrobiłem?!

W kontekście wszystkich luk w pamięci wspomnienie o tym wydaje mi się teraz bardzo ciekawe. Przecież byłem normalnym facetem z drobnymi odchyłami. Jak każdy. Jedni nie chodzą po łączeniach płytek, inni są przesądni, ja natomiast lubiłem wszystko notować. Żadnych innych aberracji, jak pewnie określono by moje zachowanie na terapii. Jasne, odkąd pamiętam, lubiłem seks, a podglądanie dziewczyn w szatni było tylko jednym z etapów.

Element po elemencie...

Izabel zaczyna się budzić. Porusza nerwowo palcami dłoni i coraz szybciej oddycha. Wydychane przez nią powietrze zderza się z kneblem i słychać świst. Może ona teraz o czymś śni? O czym?

W górze rozlega się stłumiony grzmot. Iza się przeciąga, a jednocześnie mój klosz bezpieczeństwa unosi się znad drzwi oraz okien. Nastaje kolejny dzień.

Zgodnie z planem lada moment powinienem stracić świadomość.

Zamiast tego powoli wracają do mnie wspomnienia z baru. Był tam mężczyzna, który co chwilę poklepywał mnie po plecach, a którego imienia za cholere nie pamiętam. Widzę również Amelię. Siedzi przy barze tuż obok Izabel.

A dalej...

Słyszę charkot.

Izabel właśnie się obudziła na dobre. Otula się szczelniej kocem. Zakrywa nagą pierś i podciąga kolana. Mruga intensywnie, starając się przyzwyczaić do sztucznego światła. Jęczy, lecz knebel tłumi głoski.

Podchodzę do niej. Klękam tuż obok i spoglądam jej w oczy. Chciałbym zadać jej każde pytanie, lecz nie potrzebuję kolejnych fałszywych odpowiedzi. Nie mogę jej zaufać. Będzie z pewnością przesadnie miła, zacznie się podlizywać i opowie mi swoją wersję bajeczki. Albo taką, którą ja chciałbym najbardziej usłyszeć.

– Nasze życia są jak bajki. – Przychodzi mi do głowy. – Wiesz o tym?

Podciągnęła jeszcze wyżej kolana i obejmuje je ramionami. Napięty łańcuch zabrzączał.

Dość.

Już czas.

Po raz ostatni kalkuluję wszystkie za i przeciw, lecz nie mogę zwlekać. Nie wiem, co się wydarzy już za chwilę. Wiem natomiast, że nie zamierzam się pożegnać z życiem. Bez względu na to, jak denne by było.

Wniosek jest tylko jeden.

– Będę musiał cię zabić. – Prawie doskonale panuję nad głosem. – Ja pierdolę... Jeśli cię wypuszczę, pójdę siedzieć. Nieważne gdzie. Ważne, że nie będę mógł być już sobą.

Czy właśnie od tej obawy za każdym razem zaczyna się mój cyrk?

– Tak cholernie mi przykro...

Słyszę, jak na górze trzaskają drzwi. Ktoś dostał się do mojego domu.

GABRIELA KRAUS

– Jest!

Z radością krzyczę, kiedy ekran startowy znika i zaczyna wczytywać się pulpit. Rzędy ikon, folderów, a w tle nocna panorama miasta. Los Angeles? Zdaje się, że rozpoznaję Golden Gate, ale może to być jakikolwiek inny most. Nie widzę żadnych charakterystycznych budynków. Nie ma London Eye, Prateru ani węgierskiego parlamentu. Po prostu to musi być Golden Gate. Podświadomie zastanawiam się nad tym, dopóki nie wczyta się pulpit.

Zabijam tym czas.

Kolejne ikonki zakrywają miejsca, w których przed momentem lokale w wieżowcach żarzyły się światłem.

Czerwonym światłem.

Dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że całe miasto, most i nawet latarnie na wzgórzach w tle płoną czerwienią. Nawet rozmazany ruch uliczny przypomina krwiste smugi, roztarte między drapaczami chmur.

Wszędzie krew.

To musi być jedna z tych idiotycznych kart psychologicznych, które terapeuci wykładają w gabinetach i czekają na reakcję pacjenta.

– Co pan tu widzi? Czy coś panią niepokoi? Nie sądzi pan, że te budynki są nieproporcjonalnie wydłużone względem otoczenia?

Nie wierzyłam w terapię i właściwie nadal nie wierzę. Wszystko, co osiągnęłam, było wynikiem mojej tytanicznej pracy, uporu i chęci dokonania zmian. Do tego nie mogę zapomnieć o kilogramach środków, które mi pomogły. Tabletkach

przeciwbólowych, zastrzykach uspokajających, a potem ich lżejszej formie w proszku. Pomogło mi też odcięcie od zapasów alkoholu. Wszystko sprawiło, że wreszcie mogłam zobaczyć prawdziwy obraz swojego życia.

Czterdziestoparolatka pokiereszowana w spowodowanym po pijaku wypadku. Leżąca jak błoto w szpitalnym łóżku. Opłacona łąpówką jedynka, drogie kwiaty na metalowej szafce. Kartka z życzeniami powrotu do zdrowia od „trzymającego kciuki zespołu”. Oprócz tego pustka wypełniona dźwiękami z głośników telewizora. Prawdziwy szum w tle. Jedynymi odwiedzającymi będą przyprowadzani przez lekarza studenci. Poza nimi zajrzy do mnie pielęgniarzka, Elwira, a czasem sztucznie uśmiechnięty ksiądz. Miałabym się modlić o naprawienie tego, co Bóg zepsuł?

To nie dzięki wierze ani terapii udało mi się wrócić do świata żywych. Zawdzięczałam to tylko sobie. Choć podobno wcale nie do końca byłam teraz sobą. Któregoś razu podsłuchiłam neurologa. Tłumaczył studentom to, czego mi nigdy nie powiedziano. I szczegółów czego wolałabym nie poznać.

Mówiąc obrazowo, krew zalała w moim mózgu fragmenty, które odpowiadają między innymi za emocje. Mogłam robić się niespodziewanie apatyczna, wybuchowa lub płaczliwa. Stałam się za to nieco bardziej emocjonalna i opanowana. Rodzinna. I z podwójną mocą odżyło moje uczucie do córki. Oto mój mózg. Mój, a jednocześnie nie do końca mój.

Czy to znaczy, że nie ja o tym decydowałam?

Gdybym miała możliwość, być może już dawno nacisnęłabym odpowiedni guzik i dokonała w swoim życiu podobnej zmiany. Patrząc jednak z perspektywy bezwzględnej sukki karierowiczki, którą byłam – nie sądzę. Wtedy potrzebowałam czegoś całkiem innego. Nawet przez myśl by mi nie przeszła perspektywa sprzedania akcji spółki, zrzeczenia się członkostwa w zarządzie i wybrania na przedwczesną emeryturę. Biznes planowałam rozwijać aż do śmierci. A z Izabelą wiązałam tylko takie plany, że kiedyś go przejmie jako interes rodzinny. Nie chciałam jej nawet

kształcić w tym kierunku. Miałam gdzieś jej zainteresowanie sprawami firmy. Po prostu musiała pójść w moje ślady. Byłam pewna, że kiedy wydam jej kategoryczny rozkaz, ona w jednej chwili stawi się przede mną na baczność.

Taka jest prawda.

Naginałam rzeczywistość do własnych wyobrażeń i chyba po części ten nawyk mi pozostał. Chciałam, żeby Iza zmieniała się tak łatwo jak ja. Na pstryknięcie ukrytego gdzieś w mózgu przełącznika. Ale to tylko mrzonki. Zmieniła się na tyle, na ile dopuściłam ją do siebie. Nie odpokutowałam nawet ułamka win. Moja córka zamieszkała ze mną trochę z litości, ale głównie dlatego, że przy mnie ma wszystko, czego potrzebuje. Gdy nawiąże nowe relacje, pozna faceta lub odłoży parę groszy, wyniesie się stąd.

To pewne.

Ona jest terapią dla mnie, a ja dla niej. Dogadujemy się, bo obie na tym korzystamy.

Z tego powodu tak bardzo się boję wniknąć w jej życie. Odkrywając jego szczegóły, wiem, że trafię na niewygodną prawdę. W rozmowach ze znajomymi zapewne nie porusza mojego tematu. Bez dwóch zdań wstydzi się swojego dzieciństwa oraz wszystkiego, co później z premedytacją jej zaserwowałam. Ludzie kształtują swoje dzieci, choćby te myślały, że jest inaczej. Że robią na przekór rodzicom.

Na pulpicie uruchamia się okno przeglądarki. Ostatnio używane zakładki są domyślnie zapisane i nie pozostawiają złudzeń.

W komunikatorze otwarte są dwie rozmowy. Przeglądam pierwszą z nich, prowadzoną z użytkownikiem o nicku Kościarz. Moja córka podpisywała się jako izakiziasmutaska, lecz nie jest to wymiana zdań osób planujących wspólne samobójstwo. Iza wypowiada się jako terapeuta i specjalista. Przeprasza, że tak podstępnie nawiązała z nim kontakt, ale zapewnia, że wie, przez co przechodzi. Podkreśla, że przeżywała to samo i teraz nie wyobraża sobie, jak mogła chcieć umrzeć.

Wszystko staje się jasne.

Blog Izy miał jedynie przyciągać ludzi o skłonnościach samobójczych. Miał stać się lepem na dusze, którym chciała pomóc.

Zaskakuje mnie wiadomość, że Iza prowadzi darmową terapię dla pogrążonych w depresji. „W ten sposób sama nie zapominam o własnych błędach” – pisze w jednej z ostatnich wiadomości.

Wyłączam tę rozmowę i uruchamiam drugie okno. Czuję wstyd, czytając prywatne rozmowy córki. Jednak z każdym zdaniem wszystko układa się w logiczną całość.

Mój Boże.

W piekielnie logiczną całość.

Odruchowo łapię laptop i zsuwam z klawiatury dotykowy ekran. Niezdarnie kuśtykam w stronę drzwi. Udaje mi się odblokować telefon, więc natychmiast uruchamiam listę kontaktów. Wybieram jeden z ostatnio używanych numerów.

– Wiem, gdzie jest moja córka! – krzyczę już na schodach.

GODZINA 47.

Amelia jest blada, jej oczy są podkrążone, a szczątkowy makijaż – rozmazany. Wygląda, jakby od wczoraj go nie zmyła. Ma zresztą na sobie to samo ubranie, w którym wybiegła z domu. Biały top i spódniczkę w szkocką kratę. Odnoszę wrażenie, że odkąd gnałem za nią po plaży, minęły wieki.

Rozglądam się, spodziewając się nalotu policji. Nic się nie dzieje. W holu jesteśmy tylko we dwoje. Na zewnątrz również panuje martwa cisza.

Amelia zaciska pięści i patrzy mi prosto w oczy. Przygryza usta, ale jej warga drży. Widzę, że chce coś powiedzieć. Nie wie jednak, od czego zacząć. Nerwowo przełyka ślinę. Podchodzę do niej, a ona pozwala mi położyć dłoń na swoim biodrze.

– Uporałeś się z problemem? – wyrzuca z siebie jednym tchem.

A więc znowu posługujemy się eufemizmami.

– Co masz na myśli? – pytam ostrożnie.

– Dobrze wiesz...

Wiem. Nie ma sensu po raz kolejny bawić się w niedopowiedzenia. Nie w momencie, gdy do mojego życia wraca kobieta, która powinna mnie już dawno zabić. Albo zostawić i zawiadomić policję. Albo...

– Jak miałbym go niby rozwiązać?

– To twoja sprawa. Raz już sobie poradziłeś.

– W takim razie jestem coraz bardziej do dupy.

Amelia uśmiecha się ironicznie. Delikatnie odsłania drobne białe zęby.

– Przynajmniej jeszcze o mnie pamiętasz. – Ociera dłońmi twarz i nabiera powietrza. – Za parę godzin znajdę cię leżącego gdzieś

w kącie z rozdziawionymi ustami i oczami wyrażającymi bezgraniczne zdumienie. Gdzieś obok będzie leżał telefon albo laptop. Ewentualnie notes. – Odwraca się ode mnie i podchodzi do okna. – A potem zapytasz, kim jestem i co to za zamieszanie z tą durną historią o braku pamięci. Czterdzieści osiem godzin? Czterdzieści osiem godzin do czego?

– Swoją drogą, lada moment minie czterdzieści osiem godzin.

– Swoją drogą...

Naśladowuje mnie. Przedrzeźnia. Nie ma w tym jednak złośliwości, a jedynie bezgraniczny smutek. Czuję go każdym strzępem własnego ciała. Jak zwykle, gdy męczy mnie jakaś myśl, skupiam się na słowach. Dlaczego jednak miałbym się teraz hamować? Zakończenie tej historii będzie początkiem następnej. A tamta następnej...

Niestety, właśnie tak działa moje życie.

Trzydzieści jeden procent.

Będę musiał się tym martwić pewnie już po przebudzeniu. W każdym razie ładowarki nie ma nigdzie w zasięgu mojego wzroku. Staję tuż za Amelią i zaciągam się świeżym zapachem jej włosów. Mógłbym uwierzyć, że spała na plaży.

– Mogę cię o coś zapytać? O coś dość intymnego...

Wzrusza ramionami.

– To ty jesteś przy mnie ciągle skrępowany. Później się przyzwyczajasz, ale najpierw gapisz się na moje ciało, jakbyś widział je po raz pierwszy.

– Bo tak jest – rzucam zgryźliwie.

Moja narzeczona wciąż spogląda na podwórze. Pewnie po raz kolejny ukrywa przede mną łzy. Wstydzi się ich bardziej niż cellulitu i włosów na nogach. A ja nie wiem, dlaczego miałyby się ich w ogóle wstydzić.

– O co chciałeś zapytać?

Tracę rezon. Naprawdę jednak dręczy mnie to pytanie.

– Kiedy ostatnio się kochaliśmy? – Biorę oddech. – Czy w ogóle to robimy?

– Chodzi ci o seks? – Amelia opiera czoło o szybę i nerwowo chichocze. – Tak, zdarza się. Czasem próbujesz mnie zgwałcić, czasem po czterdziestu godzinach zaczynasz się ze mną oswajać, czasem...

Amelia urywa, a ja czuję palący ból w przełyku.

– Powinnaś mnie zostawić. Jak można tyle wytrzymać? A teraz jeszcze...

– Kocham cię, do kurwy nędzy! – Przekleństwa podkreślają jej bezradność. Odwraca się gwałtownie i uderza mnie pięściami w pierś. Nagle wybucha głośnym płaczem. Wtula się we mnie, a ja modłę się, żebym zaraz wszystkiego nie zapomniał. – Musisz ją zabić – wychlipuje żałośnie. – Ja pieprzę, nie wierzę, że to mówię, ale to jedyne wyjście. Ukryjesz ciało, a potem pójdziemy na terapię. Albo uciekniemy z kraju i zaszyjemy się w Ameryce Południowej. – Stara się uśmiechnąć, lecz płacz zaraz wygina jej usta w żalną podkowę. – Kiedyś mówiłeś, że tam mogłoby ci się spodobać. Może jakiś cholerny indiański szaman potrafiłby cię uleczyć. A jeśli nie... Jeśli nie...

Głos się jej łamie i milknie, wtulona w mój rękaw.

Boże. Przytulam ją i również nie panuję nad płaczem. Jednocześnie dobrze wiem, że właśnie zapadł wyrok.

Dwa głosy za. Los Izabel został ostatecznie przypieczętowany. O ile...

Za murem dostrzegam przejeżdżający radiowóz. Właśnie zwalnia przy naszej bramie. Wbijam w Amelię wściekłe spojrzenie.

GABRIELA KRAUS

Mam wrażenie, że stukot laski niesie się po całej dzielnicy. Przechodnie się odwracają, ale zaraz wracają do swoich spraw. Widok starającej się biec inwalidki jedynie na moment odrywa ich od własnych myśli. Pewnie część z nich uśmiecha się z politowaniem.

Na filmach w podobnych sytuacjach bohaterowie zazwyczaj rozpaczliwie krzyczą. Bohaterki płaczą i piszczą, starając się zwrócić na siebie uwagę. Natomiast ja nie potrafię wydobyć z siebie nawet słowa. Cud, że udało mi się wychrypieć komisarzowi adres i kilka słów wyjaśnienia. Nie wiem, czy mi uwierzył, ale obiecał zająć się tą sprawą. Niezwłocznie.

Być może nawet nie mam się o co martwić. Może wszystko jest w porządku, a niewinna zabawa trwa w najlepsze. Ale matka wie. Matka czuje i wie.

W ósme albo dziewiąte urodziny Iza wyblagała, abym zorganizowała dla niej przyjęcie. Cztery bliskie przyjaciółki, tort i kilka godzin nieposkromionej zabawy. Podobno wszyscy rodzice urządzali takie imprezy.

– Ty nie jesteś wszyscy.

Pamiętam, że po tych słowach rozplakała się i zaczęła rozpaczać, że właśnie taka chce być. Jak wszyscy.

– Dobrze – zgodziłam się z lodowatą obojętnością. – Skoro tak bardzo chcesz być przeciętna. Twoja sprawa.

Byłam naprawdę okropną matką, a mimo tego miałam przecucie. Naturalny instynkt, który kazał mi zejść do jej pokoju akurat w momencie, gdy pozostałe dziewczynki dawały jej prezent. Związały jej rączki gumkami do włosów, zakleily usta zdartą

z opakowania tortu taśmą i wysmarowały jej nos śmietaną. Chciały być cholernie zabawne.

Kiedy weszłam, miały naprawdę świetny ubaw. Iza natomiast zaczęła przybierać barwę dojrzałego pomidora z plamami białej pleśni. Już nigdy nie wpadła na pomysł zorganizowania przyjęcia urodzinowego. Nigdy, aż do trzydziestki.

Histora lubi się powtarzać. Ludzie, którzy kiedykolwiek zaczęli przesadzać z alkoholem, wiedzą, w czym rzecz. Pracoholicy również. A do tego gnębiło mnie to idiotyczne złe przecucie.

Mijam Aleję Brzóz i zagłębam się w kolejną sztapnową uliczkę. Zaczynam nienawidzić tego osiedla, zaparkowanych na posesjach wielkich bryk i ludzi z kijami w dupach. Przeszkadza mi nawet poranny zapach morza i sosen. To był kiedyś mój świat. Teraz moje neurony domagają się zmian.

Muszę obejść grupę nastolatków, którzy na środku chodnika urządzili sobie mecz. Kiedy staram się jak najszybciej przekuścić na drugą stronę, widzę, że jeden z nich mnie parodiuje. Skacze na lewej nodze, a drugą wyciąga sztywno przed siebie. Pozostali zaśmiewają się do rozpuku.

Mam ich gdzieś.

Ostatnie kilkadziesiąt metrów pokonuję, nie oddychając. Za zebrami czuję pierwsze objawy kolki. Uchwyt laski pogłębił wcześniejsze otarcia i zdarł mi skórę na nadgarstku do krwi. Wszystko przez durne skórzane tasiemki, które miały stabilizować uchwyt. Czuję ciepłą lepkość na zewnątrz dłoni i na małym palcu.

Już niedaleko.

Furtka na posesję jest zamknięta, lecz kiedy naciskam klamkę, mechanizm ustępuje. To chyba pierwsza dobra wiadomość. Na przystrzyżonym trawniku niemalże nie ma krzewów. Nie ma również basenu, przenośnego placu zabaw ani huśtawek. Widocznie z właścicielem mamy wiele wspólnego. Brakuje tylko pojedynczego leżaka z biało-żółtym materacem i perukowca. Architektoniczne rozbieżności między domami stałyby się niezauważalne, a podjazd z obłych białych kamieni sama

chciałabym mieć.

Staję na niewielkiej werandzie i nasłuchuję. Ze środka nie dobiega żaden dźwięk. Rozprasza mnie wrzask dzieciaków zmieszany z wściekłym ujadaniem jakiegoś małego psa. Małe psy z wielkim ego zawsze ujadają. Tak mówił mi któryś z terapeutów. To chyba była aluzja do mojego charakteru.

Przykładam ucho do solidnych drzwi i wstrzymuję oddech. Pali mnie w piersi, a kolka wyżyma mi przełyk. Nic. Cisza. Żadnego znaku życia lub umierania. Wychylam się i zaglądam do najbliższego okna, lecz sekretów wnętrza strzeże firanka. Podobnie przy dwóch następnych.

Pukam.

Mocno i szybko. Raz za razem. Czekam kilka sekund po czym znów pukam. Nie używam dzwonka, bo boję się, że rozproszę nim jakąś iluzję. Że ostatecznie utwierdzę się w złych przeczuciach i skuszę los. Do diabła, nigdy nie byłam przesądna, a teraz paraliżuje mnie strach.

Pukam raz jeszcze, lecz już z mniejszą werwą. Nie doczekawszy się żadnej reakcji, cofam się na podwórze. Wtedy dobiega mnie rozpaczliwy krzyk.

GODZINA 48.

Tym razem radiowóz zniknął. Nagle przyspieszył i odjechał z mojego życia. Pod wpływem chwili chciałem pójść na górę, żeby pokazać Amelii słoje z krwią, lecz to byłby zły pomysł. Przesadna szczerłość potrafi przynieść więcej szkody niż pożytku. Nawet w przyptywie miłości do narzeczonych.

Mam złudną nadzieję, że od razu po przebudzeniu Amelia mogłaby mi wszystko wyjaśnić. Nie potrzebowałbym dwóch dób, żeby zrozumieć, kim naprawdę jestem. Bez niej nadal zostanę z tym całkiem sam. Chyba że...

– Gdy tylko się ocknę... – Przerywam, bo nie jestem pewny, czy chcę dokończyć. Stoimy w piwnicy, drzwi do komórki są zamknięte, ale kłódka – zdjęta. Biegając na górę, nie miałem czasu jej założyć. – Gdy tylko się ocknę, powiedz wszystko, co o mnie wiesz. Nie oszczędzaj mi niczego.

Chciałem to mieć za sobą. Amelia trzyma mnie za rękę, a jej palce zaciskają się na niej z całej siły.

Muszę być precyzyjny.

– Powiedz mi, że jestem porywaczem i mordercą. Że potrzebuję terapii i się na nią zgodziłem. Gdybym miał jakiegokolwiek wątpliwości...

Robię pauzę. Przetykam ślinę, a Amelia świdruje mnie wzrokiem. W jej oczach widzę strach. Musi się o tym dowiedzieć.

– Kiedy stracę świadomość, pójdz na górę i odsuń mniejszą drukarkę. Pod nią jest schowek...

– Schowek? Z czym?

– Teraz to nieważne. – Obracam się i tym razem ja ściskam jej dłoń. Kciukiem gładzę jej skórę. Klamka zapadła. – Kiedy wszystko

odkryjesz, pamiętaj, że jestem ci wdzięczny, że jesteś. Kocham cię i chcę sobie z tym wszystkim poradzić. Wepchnij mi do gardła strony, na których to się wydrukuję.

– O czym ty mówisz?

Amelia drży. Wpatruje się we mnie całkowicie zaskoczona. Kręci głową. Moje słowa do niej dotarły, ale teraz stara się je jak najszybciej wyprzeć. Musiała się wszystkiego domyślać. Nie wierzę, że była aż tak naiwna. Tyle że oboje woleliśmy wiele przemilczeć i częstowaliśmy się niedopowiedzeniami.

Ten problem.

Ta sytuacja.

Eufemizmem zakrywaliśmy prawdę, a to, że w chwili, gdy stawałem się prawdziwym sobą, wychodziła z domu, niczego nie zmieniało. Ilu morderców żyje w normalnych rodzinach? Często się słyszy, że przed zatrzymaniem sąsiedzi mieli ich za przykładnych obywateli, lokalnych społeczników i wzorce dla dzieci.

– Posłuchaj... – Uśmiecham się. – Nie musisz tu być. Nie musisz brać na siebie jakiegokolwiek odpowiedzialności. Jeżeli uznasz, że tak jest lepiej, po prostu możesz udawać, że o niczym nie masz pojęcia.

– Wiesz, że nie mogę.

– Możesz. Proszę cię, żebyś po przebudzeniu powiedziała mi, kim jestem, ale nie chcę cię zmuszać. To będzie tylko twój wybór.

– Nie mam wyboru. – Znowu zaciska usta, ale na krótko. – Nie mam wyboru od chwili, kiedy się w tobie zakochałam.

– Nie mów tak.

Kładę palec na jej ustach i czuję ciepło oddechu. W piwnicy jest chłodniej niż na górze, ale i tak zaczyna być duszno. Amelia przesuwa się w stronę komórki. Nasłuchuję, lecz z jej środka nie dobiega żaden dźwięk. Po tym, co powiedziałem Izabel, nie sądzę, żeby spała.

– Po prostu to zrobimy. – Amelia kładzie na kłamec dłoń, lecz zaraz chowa ją wśród plis spódnicy. To nie *déjà vu* ani nie *omam*. Choć tego nie planowałem, domyślam się, co się zaraz stanie. – Weź

to.

Daje mi wielki nóż. Ten sam, którym mi wczoraj groziła. Teraz ufnie trzyma go rączką w moją stronę i delikatnie potrząsa.

Wzdrygam się.

– Weź go i zrób to bezboleśnie.

Przeszywa mnie zimny dreszcz, nie mam jednak odwrotu. Nóż jest o wiele cięższy, niż sądziłem. Z powodzeniem można by nim rozplatać kawał żylastego mięsa. I właściwie chyba taki mam plan.

– To chore...

– Wiem. Tylko, proszę, miejmy to za sobą. Nie wahajmy się. Zrobmy to i zapomnijmy o całej sprawie, zanim...

Trzynaście procent.

– Zdaje się, że mnie uda się zapomnieć o wszystkim już całkiem niedługo. Martwię się o ciebie...

Chwytam za klamkę i naciskam ją z całej siły. Drzwi ustępują. Amelia jeszcze coś mówi, ale ma rację. Nie powinienem się wahać. Jeżeli chcę wyrwać się z tej popieprzonej spirali, muszę z tym skończyć. Ostatni raz i w pełni świadomie. Z premedytacją.

Moja dłoń spoczywa na włączniku światła, lecz robię krok w tył. Brak mi tchu. Odwracam się do Amelii, ale nie patrzę jej w oczy.

– Jeśli wszystko zaraz zacznie się od nowa...

– To?

– Zajmiesz się ciałem? – pytam z nadzieją. – Nie mogę zacząć kolejnego razu od widoku trupa tuż obok siebie. Robię to tylko dlatego, żeby nie zostawić żadnego śladu. I zacząć wszystko od nowa. Rozumiesz?

Amelia nie wygląda na przekonaną. Mimo to kiwa potwierdzająco głową.

– Dam sobie radę – zapewnia bez przekonania. – Coś chyba wymyślę... Boże...

Tyle mi wystarczy. Za kilka minut minie równe czterdzieści osiem godzin, odkąd przeczytałem o Izabel. Włączam światło i zanurzam się w wilgoci komórki. Nóż ciąży mi w dłoni. Muszę jeszcze napisać do siebie ostatnią wiadomość. Na wypadek, gdybym zaszedł kiedyś

na górę i odszukał stronę właśnie z tym fragmentem mojego życia.

Izabel to moja ostatnia ofiara. Zaraz po jej zabiciu powinienem zabić siebie, ale nie będę miał na to odwagi. Nie będę miał jaj. Wiem to. Zresztą ją też zabijam jedynie z powodu własnego tchórzostwa. Tyle potrzeba, abym określił, kim dokładnie się stałem. Porywaczem, mordercą i tchórzem.

Jestem porywaczem, mordercą i tchórzem.

Jestem porywaczem, mordercą i tchórzem.

Chcę tylko jednego. Zrobić to tak, żeby jak najmniej cierpiała. Wolałbym po prostu zamurować tę piwnicę i nigdy więcej do niej nie wchodzić. Tyle że to byłoby zbyt proste. Pogrzebałbym ją żywcem. Skazał na śmierć z wycieńczenia. Mógłbym wpuścić do środka jakiś gaz, ale skąd miałbym go, do diabła, wytrzasnąć? Trucizna? Dodając do jedzenia lub wody porcję wybielacza albo trutki na szczury, zaserwowałbym jej agonię i cierpienie spowodowane rozpuszczaniem przelyku.

Pewnie właśnie dlatego zawsze robię to własnoręcznie. Tym razem jednak nie będzie słoika i nalepki.

Szuram po chropawej podłodze. Patrzą na czubki swoich butów, ale coś odciąga moją uwagę. Kątem oka dostrzegam, że Izabel wije się i opętańczo próbuje zsunąć knebel. Przesuwa palce między sprzączkami, lecz ponownie zagubiła się w ich labiryncie. Nie ma szans, by je rozpiąć bez lusterka lub rysunku podglądowego. Albo bez pomocnika.

Dość tego.

Chwytam ją za włosy i szarpie do tyłu. Nie zwracam uwagi na piękno jej ciała, na oczy ani na twarz. Izabel niemal nieruchomieje. Czeka na to, co zrobię, jak na egzekucję. Jedynie lewą dłoń z rezygnacją manewruje wśród skórzanych rzemieni. Prawą zapiera się o posadzkę. Charczy.

Jestem gotowy wbić nóż prosto w jej szyję. Jestem, do cholery, gotów...

Jestem.

Za plecami słyszę wrzask Amelii.

GABRIELA KRAUS

O wyszczerbiony schodek werandy opieram ekran laptopa. Wlokłam go ze sobą z myślą, że do tego mi posłuży. Jako dowód. Jako ostatni ślad, że właśnie tu byłam. I jako odpowiedź na wszystkie pytania.

Dyszając, kuśtykam w stronę podjazdu. Staram się przełknąć gulę w gardle, ale kolka nie ustępuje. Ból narasta razem z posmakiem żółci i kołataniem serca.

Chwytam dwa obłe kamienie. Lewą dłoń mam zajęta laską, więc aby mi nie wypadły, muszę przyciskać je do prawego boku. To utrudnia chodzenie, lecz udaje mi się dowlec z powrotem tuż pod dom. Z tej odległości nie mogę chybić. Problem może być za to z ich dorzuceniem, bo otoczaki mają wagę piłek lekarskich.

Po raz kolejny rozlegają się głośny krzyk i odgłos awantury. Wydaje mi się, że słyszę głos Izy, lecz nie mam stuprocentowej pewności. Nie zamierzam się zastanawiać.

Zwlekałam zbyt długo.

Już pierwszy rzut roztrzaskuje wysokie okno. Trafiłam dokładnie w jeden ze szprosów, który złamał się i stłukł połowę szyby. Pośpiesznie zgarniam odłamki szkła. Najpierw końcówką laski, potem – gołą dłonią. Szkło spada z parapetu na podmurówkę i kruszy się z brzękiem. Jeden z kawałków wpada mi do buta, lecz nie zamierzam go wytrzepywać.

Przerzucam laskę na drugą stronę, a po chwili wchodzę do środka. Z większą gracją przerzucono by worek kartofli. Na chwilę zamieram, zaskoczona, że okolicy nie rozbrzmiał pisk alarmu. Wiele razy widziałam, jak grube rolety automatycznie zasłaniają każde z okien tego domu. Spodziewałam się, że pilnuje go cały

sztab kryzysowy. Właściwie nawet miałam taką nadzieję.

Wyjmuję z ramienia kilka kawałków szyby i ocieram wypływającą krew. Rozmazuje się, a rany są nieco głębsze, niż sądziłam. Trudno. Pieprzyć to. Rozglądam się wokół i nie wiem, w którą stronę iść. W tym momencie w domu panuje całkowita cisza.

Może to kwestia solidnie wyciszonych drzwi do pokoju. Znajduję się w niewielkim gabinecie. Przy oknie stoi masywne biurko, jedną ścianę zajmuje kominek, a drugą – niewielka biblioteczka oraz kilka obrazów. Na biurku leży odłożona książka. Tuż obok, jak na złość, jest papierowa zakładka.

Nabieram tchu i wychodzę na jasny korytarz. Widzę fragment holu, klatki schodowej oraz łazienkę, której drzwi są otwarte na oścież. W domu pachnie czystością, lecz wyczuwam jeszcze jakiś inny, znacznie mniej przyjemny zapach. Mdły? Słodki? Być może to wyobraźnia działa mi na zmysły. Modłę się, aby tak było.

Podpierając się o drogą, mahoniową boazerię, postanawiam iść w prawo. Hol znajduje się tuż przy wejściu, a przez główne drzwi niewiele słyszałam. Pokrętna dedukcja, ale ponownie oparta na zwykłym przeczuciu. Mimo że z zewnątrz dom wydaje się podobny do mojego, w środku jest znacznie mniej przestronny. Mam wrażenie, jakby był płataniną maleńkich pomieszczeń, które urządzono schludnie, lecz bez pomysłu.

Labirynt.

Labirynt o gładkich ścianach i mnóstwie zakrętów, które pasują do domu tajemnic. Do pokoju zagadek. Dwa razy mijam to samo pomieszczenie, a jednocześnie wiem, że to niemożliwe. Dwa pokoje musiały zostać umeblowane niemal w ten sam sposób.

Wreszcie zatrzymuję się na głównym korytarzu. Obeszłam dom prawie dookoła i znalazłam się przy wejściu do holu oraz kuchni. To jedyna duża, otwarta przestrzeń. Od samego poruszania się po tej płataninie pomieszczeń można zwariować.

Zatrzymuję się, bo jedynym, co słyszę, jest stukanie laski. Niemal od razu dobiegają mnie rozpaczliwy spazm płaczu i krzyk. Do

tego... Od strony ulicy chyba słyszę skowyt policyjnej syreny, lecz nie zamierzam czekać. Nie teraz.

Prawie nie wspomagając się laską, truchtam w stronę kuchni. Odłamek szkła wbija mi się w stopę.

Z daleka dostrzegam odłożoną na bok płytę do piwnicy i blask światła w środku. Nie mam wątpliwości, że dźwięki dochodzą właśnie stamtąd. I że słyszę głos Izy.

GODZINA 48.

To była moja przedostania ofiara. Przynajmniej chciałbym, żeby tak było, ale kurewsko się boję. Zostałem jeszcze ja. Powód wszystkich problemów i zmartwień. Amelii, siebie samego, a kto wie, czy nie kogoś jeszcze.

Ciepła krew spływa po mojej dłoni i skapuje na beton. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że jestem oburęczny. To akurat szczęśliwy przypadek. Nóż leży obok mnie, a Izabel wije się w konwulsjach dwa kroki dalej. Jej rozpruta szyja zionie pustką. Zza knebla pryskają czerwone drobiny i zraszają nogawkę moich spodni.

Czuję metaliczny smród.

Nie zamierzam wyprzeć się tego, co zrobiłem. Pisząc to, pamiętam, że dwa piętra wyżej gdzieś wśród tysięcy kartek autobiografii zostawiam kolejne dowody własnej winy. To furтка dla sprawiedliwości. Nie sądzę jednak, żeby ktokolwiek był na moim tropie. O to jestem spokojny. Uderzając w klawisze komórki. zagłuszam szorstki charkot ulatującego życia. Skupiam się na czym innym, znów oszukuję siebie samego.

– O kurwa, kurwa, kurwa...

Amelia przytyka palec do szyi Izabel. Również ma dłoń we krwi, lecz nie zwraca na to uwagi. W dzikim amoku chwyta zrolowany koc i kładzie go na brzuchu nagiej kobiety. Jakby krępowało ją jej piękno.

– Ej, nie umieraj mi tu! Nie umieraj! Czekać....

Słowa Amelii strzępią się i rwą. W ich tle wyostrza się natomiast wspomnienie baru.

* * *

„Hej, ho, kolejkę nalej...”

Zespół w drugiej sali daje z siebie, ile może. Nachylam się nad stolikiem i krzyczę, żeby zagłuszyć chrypę solisty. Kiedy chóralnie dołączają się do niego kompani, knajpa dosłownie wibruje. Obok mnie siedzi Amelia. Nie zachowujemy się jeszcze jak para, ale z pewnością dobrze nam się rozmawia. Śmiejemy się. Opowiadamy sobie o wspólnych problemach i sposobie radzenia sobie z... Z życiem. W skrócie to właśnie do tego sprowadza się nasza rozmowa. I chyba dlatego tak dobrze się rozumiemy. Łaskoczę ją pod stolikiem w kolano, a ona podskakuje i uderza nim w blat. Czyjeś piwo się przesuwa, ale na szczęście – nie rozlewa. Wybuchamy śmiechem.

Przekomarzamy się.

* * *

– Ja pieprzę. Zabiłeś ją...

Amelia jak oszalała klepie Izabel po policzkach. Tamta leży bez ruchu, a plama krwi sięga już prawie drzwi komórki. Krew jest jasna i miejscami spieniona. Świeża...

Amelia chwyta za koc. Rozwija go i strzepuje. Raz, potem drugi. Z zakamarków wypadł jakiś przedmiot i rąbnął o ziemię. Telefon komórkowy.

Co jest... Jakim cudem...

Amelia błyskawicznie odblokowuje aparat i wpisuje numer. Ani przez moment na mnie nie patrzy. Zaciska oblepioną krwią dłoń na kruchej białej obudowie i przykłada ją do ucha.

– Halo! Halo... Potrzebuję pomocy! To pilne! Krew się leje, tyle krwi...

Słowa znowu nikną mi w masie wspomnień.

* * *

Z zimnej, wilgotnej butelki piwa zdzieram etykietę i rzucam ją na stół. Ktoś to komentuje i wszyscy znowu się rubasznie śmieją.

Mężczyzna w czarnym garniturze stoi tuż obok z grupą znajomych. Czasem odwraca się i zerka na mnie spode łba.

– A gdyby mnie klepnął po tyłku? – Amelia jest mocno wstawiona. Ma sztywne usta i bełkoce.

– Wtedy musiałbym go zabić.

Rechoczę, choć zaraz gubię kontekst.

* * *

Teraz Amelia nachyla się nad Izabel. Wyprostowanymi rękoma ugniata jej klatkę piersiową. Rzuca się na nią ciężarem całego ciała i głośno płacze. Słyszę tępy plask uginających się żeber. Przy każdym ruchu rzeźenie miesza się z odgłosem ulatującego powietrza. Staje się jednak cichsze, aż w końcu ledwie słyszalne.

– Zdejmowałeś jej knebel? – Amelia patrzy na mnie przerażonymi oczami. – Zdejmowałeś?!

A jakie to ma znaczenie? Skoro wezwała karetkę, jedzie tu też policja. Myśl o tym całkiem mnie paraliżuje.

– Zdejmowałem.

– Kurwa, musiałeś potem coś inaczej zapiąć!

– O czym ty mówisz? Co miałbym inaczej zapinać?

Amelia spazmatycznie płacze, a ja nie mogę się ruszyć. Chciałbym stąd uciec, lecz jedyne mięśnie, nad którymi mam kontrolę, znajdują się w dłoniach.

Jezu.

Policja już tu jedzie. Słyszę brzęk szkła i kroki na górze. Dlaczego to zrobiła? Bezwładnie osuwam się na podłogę i patrzę w stronę prostokątnego wyjścia. Mogłem zakryć je klapą. Mogłem...

* * *

Amelia śmieje się i całuje mnie w policzek. Czuję od niej mdły zapach piwa. Nachyla się jeszcze bliżej i przygryza mi płatek ucha. Wypuszcza w nie powietrze, a mnie przeszywa dreszcz. Rozglądam się po barze, sprawdzam, czy ktoś zwraca na nas uwagę. W tym momencie nawet facet w garniturze jest odwrócony.

– Zabawmy się – szepcze Amelia. – Tylko obiecaj, że na trzeźwo dalej będziesz pamiętał o obietnicy. Dobrze?

Kładzie dłoń na moim kroczu i delikatnie zaciska palce. Jeszcze raz całuje mnie w policzek.

– Już przestaję pić – zapewniam, odsuwając prawie pełne piwo. – Co to za zabawa i co mam obiecać?

* * *

Amelia uśmiecha się w chwili, gdy kroki na górze stają się coraz głośniejsze. Nad klapą staje kobieta, która wczoraj mnie odwiedziła. Matka Izabel. Patrzy na nas z niemym przerażeniem. Z jedną dłonią przytkniętą do ust, a drugą zaciśniętą na lasce. Chwieje się.

Amelia oderwała się od bezwładnego ciała i stara się wdrapać po schodach. Porusza się prawie na czworakach. Roznosi po stopniach ślady krwi i co chwilę się potyka. Mimo tego uparcie pełźnie ku wyjściu.

– Mamo... Proszę cię, mamo... – powtarza, a w moim umyśle odzywają kolejne wspomnienia.

Po czterdziestu ośmiu godzinach przypominam sobie, kim jestem.

Dwa procent.

[Tryb awaryjny]

GABRIELA KRAUS

- Niech pan to przeczyta.
- Kompletnie nie rozumiem, o co pani chodzi. – Libner zerka ponad moim ramieniem na któregoś z podwładnych. Bez wątpienia ma mnie za szurniętą. Wzdycha zirytowany, ale przywołuje kogoś ręką.

Technik z maseczką na twarzy podaje mu laptop. Drugi pomaga włożyć rękawiczki.

- Proszę przewinąć ekran do początku rozmowy – mówię.
- Mam cholerne wrażenie, że tracę czas.
- Proszę. Wtedy pan wszystko zrozumie.

Iza Kizia

Cześć. Poklikamy? ;)

Mikołaj Popławski

Dzizus. Tak pisało się sto lat temu. W czasach GG i Naszej Klasy.

Iza Kizia

OK. W takim razie jak się pisze dzisiaj?

Mikołaj Popławski

Zaczyna się od wysłania swojego nagiego zdjęcia. Potem jakoś leci ;D

Iza Kizia

Na to na razie nie licz! Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy w barze, czy jednak byłeś zbyt nachlany?

Mikołaj Popławski

Oczywiście, że pamiętam.

Iza Kizia

O zakładzie też?

Mikołaj Popławski

Też :D

Iza Kizia

To co? Stoi?

Mikołaj Popławski

Nie wiem dokładnie, co ma stać :P

Iza Kizia

W takim razie przypominam: założyliśmy się, że jesteś zdolny do zabicia człowieka. O coś przyjemnego. Na przykład o dobrą kolację.

Mikołaj Popławski

Niby jak to sprawdzisz? Zaoferujesz mi parę baniek? :P Czy siebie? :D

Iza Kizia

Nie. Na to czas przyjdzie może później, jeśli się wykazesz ;) Ale najpierw zrobię Ci zastrzyk z powexilu. Działa na podobnej zasadzie jak alkohol, tylko bez kaca.

Mikołaj Popławski

Będę miał helikopter?

Iza Kizia

Drugi raz pudło. Nie będziesz jednak pamiętał niczego z ostatnich tygodni albo miesięcy. Może nawet roku. Efekt utrzymuje się zazwyczaj około czterdziestu ośmiu godzin i taką dawkę Ci zaaplikuję. Poza tym będę potrzebowała współpracownicy – zaraz dołączy do naszego czata.

Mikołaj Popławski

<3 Pisz mi jeszcze! Trójkąt :D

Iza Kizia

Będę musiała zmienić imię, żebyś we wspomnieniach reagował na naszą ofiarę. Nie na mnie.

Mikołaj Popławski

To znaczy? Jak się przedstawisz?

Iza Kizia

Cześć, jestem Amelia XYZ. Jestem totalnie pokręcona.

Mikołaj Popławski

Pięknie, Amelio.

[Hania dołącza do rozmowy]

Hania Kovalsky

Iz wszystko mi streściła. Nie wiem tylko, dlaczego mam mieć jej imię.

Mikołaj Popławski

Dobrze, że ja wiem ;) Chyba...

[Wyślij tylko do Hania]

Iza Kizia

Będę potrzebowała sztucznej krwi. A może da się kupić krew w sklepie mięsnym?

Wiesz coś o tym?

Hania Kovalsky

Jesteś popieprzona.

Iza Kizia

To będzie świetna zabawa. Zobaczysz :) Na podstawie tego przypadku mogłabym napisać doktorat...

Hania Kovalsky

Zrobię z tego performans, więc w sumie mam dobry fan, ale Ty – jako Pożal Się Boże Pani Reżyser – nie zrób z tego opery mydlanej... Jesteś terapeutką.

Iza Kizia

Chodzę na zajęcia z aktorstwa.

Hania Kovalsky

Tak, wiem. Tam poznaje się dzianych marketingowców i scenopisarzy.

Iza Kizia

Napisałam, że Ci zapłacę.

Hania Kovalsky

Wiesz, ile biorę za gołą sesję.

[Wyślij do wszystkich]

Iza Kizia

Mikołaj, jesteś tam?

[Wyślij tylko do Hania]

Iza Kizia

Będziesz miała knebel w ustach. Nauczę Cię go zdejmować i szybko nakładać. Gdy Mikołaj będzie na dobre nakręcony, zdejmiesz go, a wtedy wystarczy, że powiesz słowo bezpieczeństwa.

Hania Kovalsky

Jakie?

Iza Kizia

Wymyśl coś i napisz.

Hania Kovalsky

W takim razie słowo bezpieczeństwa muszę znać tylko ja. Inaczej nie będzie zabawy :D BTW po co mi ono?

Iza Kizia

Po powexilu ten głupek będzie w stanie podobnym do hipnozy. Czaisz? Zakodujesz mu słowo bezpieczeństwa, które natychmiast zacznie go wybudzać.

Hania Kovalsky

Czad!!! Normalnie skłaniam się ku temu, żeby nie wziąć za to ani grosza, tylko wszystko nakręcić! ;) Pozwolenie na kamerowanie jest płatne? :D

Iza Kizia

Żadnych kamer. Przy okazji trochę rozruszam moją matkę.

Hania Kovalsky

?

Iza Kizia

Nieważne.

[Wyślij do wszystkich]

Iza Kizia

Mikołaj?

Mikołaj Popławski

Jestem, przepraszam. Musiałem się odpryskać.

Iza Kizia

Będę potrzebowała kilku dni na przygotowania. Muszę odpowiednio ogarnąć Twój dom. Automatyczny system antywłamaniowy to fantastyczny składnik dobrego klimatu. Masz jakąś zbędną makulaturę?

Mikołaj Popławski

Po co Ci?

Iza Kizia

Zasady są proste. O nic nie pytasz.

Mikołaj Popławski

Coś się znajdzie.

Iza Kizia

Muszę też napisać pierwszą scenę wspomnień, która zasugeruje Ci, kim jesteś. Trzy albo cztery strony o tym, co niby zrobiłeś. Przeczytasz je po ocknięciu.

Mikołaj Popławski

Chyba nie do końca czaję. To w ogóle bezpieczne? Nie chcę skończyć jak te dzieciaki po dopalaczach ;]

Iza Kizia

Nie pękaj, kochany! Wszystko jest w rękach mamusi.

To co? Dobra kolacja przy winie i świecach. Zakład stoi? ;)

Świętej pamięci Hani Kowalskiej.

Stawiam ostatnią kropkę.

Zero procent.

POSŁOWIE

Tej książki nie byłoby, gdyby nie Państwo – Czytelnicy. I to co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, osiągnięte przez poprzednie pozycje statusy bestsellerów pozwalają mi wierzyć w to, co robię, i szalenie (nie wiem, czy to adekwatne słowo) motywują do pracy. Dają też dodatkową wiarę Wydawcy (który dzięki Bogu uwierzył we mnie już przed debiutem) oraz całej sieci dystrybutorów, hurtowników i księgarzy.

Drugi powód jest zgoła bardziej bezpośredni. Iskrą zapalną fabuły stały się pytania zadane na jednym ze spotkań autorskich. „Czy uważam, że każdy z nas może być mordercą?” „Czy każdy z nas ma w sobie pierwiastek zabójcy?”

Oczywiście w sytuacji, gdy mamy już bagaż doświadczeń, mądrości i spostrzeżeń dokonanych przez wszystkie lata życia, łatwiej nam udzielić odpowiedzi. Ale może być to odpowiedź oparta na fałszywych (czy też życzeniowych) przesłankach.

Gdybyśmy dla siebie samych stanowili białą kartę, odpowiedź mogłaby być całkiem inna. W co łatwiej byłoby nam uwierzyć – w to, że uwielbiamy najbardziej perwersyjne gry seksualne? Że jesteśmy porywaczami? Gwałcicielami? Zabójcami? A może potrafilibyśmy zaufać wrodzonemu dobru i od razu byśmy te wszystkie wątpliwości odrzucili? Może wolelibyśmy pójść za kratki niż okazać się kimś złym lub perwersyjnym? Czy perwersja w ogóle jest zła?

Te pytania towarzyszyły mi przez drogę powrotną ze wspomnianego spotkania autorskiego, a potem przez cały czas tworzenia powieści. Odpowiedziałem na nie, ale szczegóły

przemyśleń zostawię dla siebie. Choć ponoć książki są podświadomymi spostrzeżeniami przefiltrowanymi przez umysł autora. Nie przeczę.

A może wcale nie? Może to całkowita fikcja?

W każdym razie pięknie dziękuję za tłumne spotkania, rozmowy i zadane pytania. Dzięki nim tym mocniej możemy tworzyć wspólny świat. To my jesteśmy tymi, którzy tańczą w myśl nietzscheańskiego motta przyświecającego tej powieści. Inni nie słyszą muzyki.

Ukłony

MC

Bestsellerowa, mroczna seria kryminalna
z komisarzem Erykiem Deryło



FILIA

**SPRAWDŹ, JAK NIEWIELE DZIELI IDEALNE ŻYCIE
OD PRZERAŻAJĄCEGO KŁAMSTWA.**



FILIA

